cena 15 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #235 07–08/2026

Antoni Rybczyński
KRYM JAK ODCIĘTA OD ROSJI WYSPA

Łukasz Czarnecki
POCZET POTWORÓW LETNICH

Piotr Lisiewicz
PODNIEBNY UŁAN. NIESAMOWITA HISTORIA PILOTA JERZEGO BAJANA

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

BIAŁORUŚ W RUSKIM MIRZE | MA SWOJE WAŻNE ZADANIA

OKŁADKA MARIUSZ TROLIŃSKI

ISSN 1895-4960

eprasa.pl f114f6759d

TEMAT NUMERU ▼ 4–29

Białoruś w ruskim mirze ma swoje ważne zadania / 4

IDEE ▼ 30–37

Duchowe życie Ameryki / 30

HISTORIA ▼ 38–65

Podniebny ułan. Niesamowita historia pilota Jerzego Bajana / 38

KULTURA ▼ 66–79

Poczet potworów letnich / 66

ŚWIAT ▼ 84–98

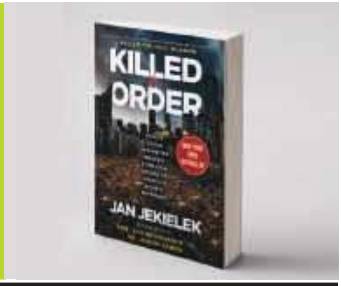

„Zabici na zamówienie". Co Zachód woli przeoczyć / 84

Spis treści

TEMAT NUMERU

Z Pawłem Łatuszką rozmawia Jakub Maciejewski
Białoruś w ruskim mirze ma swoje ważne zadania 4

Piotr Grochmalski
Białoruś rosyjską kolonią 14

Katarzyna Gójska
Trzy panny, trzech narzeczonych 20

Tomasz Panfil
Sowiecki przemysł zbrodni. Operacja antypolska NKWD 1937–1938 26

IDEE

Mateusz Matyszkowicz
Duchowe życie Ameryki 30

Małgorzata Matuszak
Nie o lody tu chodzi. O „paskach", sprawiedliwości i wychowaniu 34

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Podniebny ułan. Niesamowita historia pilota Jerzego Bajana 38

Dariusz Jarosiński
Wszyscy byli żołnierzami 44

Ewa Polak-Pałkiewicz
„Kwiat biały olbrzyma", czyli raj utracony Rotmistrza Pileckiego 50

Agnieszka Kowalczyk
Krzemieniec. Wyspa polskości na morzu historii 56

Tomasz Łysiak
Funkcjonariusz styka się z ludźmi, czyli „Uprzejmy milicjant" cz. 2 62

KULTURA

Łukasz Czarnecki
Poczet potworów letnich 66

Krzysztof Karnkowski
Drugi kolor zła 72

Stefan Czerniecki
Majster Bieda i inni 76

ŚWIAT

Hanna Shen
„Zabici na zamówienie". Co Zachód woli przeoczyć 84

oprac. Antoni Rybczyński
Oś Moskwa–Pekin coraz mocniejsza. Czy Rosja jest już wasalem Chin? 88

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

Antoni Rybczyński
Krym jak odcięta od Rosji wyspa 94

eprasa.pl f114f6759d

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Polski żołnierz przeszkadza w brataniu się z Mińskiem
NA POCZĄTEK 3

Marcin Wolski
Głupi jak aktor
PAPKULTURA 13

Małgorzata Matuszak
Czym jest... ekonomia uwagi
KATECHIZM INTELIGENTA 25

Marek Kalinowski
Klawesyn na nowe czasy
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 75

Krzysztof Wołodźko
Schröder i Putin. Geopolityczny thriller
DZIENNIK LEKTUR 80

Tomasz Sakiewicz
Z czego bierze się poczucie bezkarności władzy
OSTATNIE SŁOWO 99

„NOWE PAŃSTWO"
DOSTĘPNE WYŁĄCZNIE W PRENUMERACIE!
Zamów na prenumerata.swsmedia.pl i zyskaj dostęp do treści, które mają znaczenie!

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.
REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Stefan Czerniecki, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Marek Kalinowski, Krzysztof Karnkowski, Agnieszka Kowalczyk, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Jakub Maciejewski, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski, Krzysztof Wołodźko

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 22 290 29 58 (wew.1)
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.
ISSN 1895-4960

Katarzyna Gójska

Polski żołnierz przeszkadza w brataniu się z Mińskiem

Ponad dwa lata temu tuż przy granicy z Białorusią został zamordowany polski żołnierz. Mógł uciec z trasy patrolowej, oddalić się od grupy agresywnych ludzi przywiezionych w to miejsce przez białoruskie służby, ale nie zszedł z posterunku. Nie zdezerterował i się nie ewakuował. Pozostał na służbie i zapłacił za to najwyższą cenę – stracił życie. Z wielkich deklaracji ministra obrony narodowej, wypowiadanych po tej tragedii, nie zostało nic. Instytucje naszego państwa oficjalnie zawiesiły śledztwo kilka miesięcy temu. Niby ustalono dane sprawcy, niby tropiono go tu i ówdzie, niby przesłuchano ponad stu świadków. I co z tego? Nic! Skuteczność państwa – służb, wojska – mierzy się sprawczością, a nie liczbą wypełnionych protokołów. Dziennikarze portalu Niezależna.pl sprawdzili dokładnie bazy poszukiwanych należące do polskiej policji, zasoby Europolu i Interpolu. Nigdzie nie ma śladu poszukiwań mordercy młodego żołnierza. Prokuratura nie zgodziła się również na propozycję upublicznienia jego wizerunku w mediach tworzących Strefę Wolnego Słowa. W mediach pojawiły się za to publikacje (ewidentnie inspirowane przez prokuratorów) informujące o tym, iż toczy się jakaś niesamowita operacja, której celem jest schwytanie zabójcy, a wszelkie pytania o tę sprawę i publiczne jej roztrząsanie szkodzą tej arcyobławie. Prawda jest jednak taka, że medialna presja na schwytanie i ukaranie człowieka, który z terytorium Białorusi i pod ochroną instytucji tego bandyckiego państwa rzucił dzidą w polskiego żołnierza, nigdy nie była i nie jest przeszkodą w śledztwie – co najwyżej stanowi problem dla tych, którzy prowadzić go nie umieją lub nie chcą. Gdy likwidowane były przeżarte relacjami z Moskwą Wojskowe Służby Informacyjne, to słyszeliśmy, że ten proces był niemal zagładą dla zachodniego świata, bo szkoleni w Rosji funkcjonariusze nieśli na swych barkach bezpieczeństwo nie tylko Polski, lecz także całego NATO, na przykład będąc o włos od zdziesiątkowania Al-Kaidy. Wówczas byli tacy, którzy kolportowali te brednie – albo ze względu na związki z WSI, albo z głupoty. Dziś mają swoich następców – ci z kolei roznoszą w świat sensacje o tajemnych akcjach służb goniących za operatorem dzidy rzuconej z Białorusi. Należy jednak poważnie wziąć pod uwagę, że dezercja z wyjaśnienia śmierci sierż. Mateusza Sitka może nie być tylko nieudolnością, a świadomym wycofaniem się. Co rusz jakiś były czy obecny wysokiej rangi przedstawiciel służb RP mami opinię publiczną opowieściami o perspektywie porozumienia z Łukaszenką. Plecie androny o jego niezależności od Moskwy, a wręcz wielkim pragnieniu przeciwstawienia się Putinowi. Ta stara śpiewka prorosyjskiej części polskiej dyplomacji i przedziwnych funkcjonariuszy różnych naszych służb powraca falami do centrum polskiej polityki. Wszystko wskazuje na to, iż zbliża się kolejny taki przybój. I żeby było jasne – to zawsze okazywało się wyłącznie fortelem speców od mącenia Polakom w głowach, urzędujących w tym czy innym rosyjskim ośrodku – bo nawet nie Białoruś jest pomysłodawcą tej bujdy na resorach, a właśnie Rosja. To ona tak używa opowieści o niezależnym Łukaszence, który gotów jest współpracować z Zachodem, by ten Zachód mamić i osłabiać taką fałszywą grą. Tymczasem prawda jest taka, że oberkołchoźnik z Mińska jest nie tylko na krótkiej smyczy u Putina, lecz już wiele lat temu Kreml podpiął ją jeszcze pod prąd. Nie ma żadnej niezależnej Białorusi. Białoruś jest uzależniona w każdym aspekcie od FR. A doświadczenie uczy, że w Polsce reset z Rosją rozpoczynał się zawsze od resetu z Łukaszenką. Dlatego gdy dziś czytam o konieczności współpracy z Mińskiem, o jakichś korzyściach z tego płynących, to niestety wiem, co będzie za rogiem tej historii – nawiązywanie relacji z Kremlem. Jak to się ma do sprawy schwytania mordercy polskiego żołnierza? Zamach na Jego życie zorganizowało białoruskie państwo. Jeśli polskie państwo przygotowuje się do dialogu z Mińskiem, to śp. Mateusz Sitek jest przeszkodą w tym przedsięwzięciu. I dlatego jego śmierć na służbie musi być zapomniana. I tyle. ■

eprasa.pl f114f6759d

Jakub Maciejewski

Białoruś w ruskim mirze ma swoje ważne zadania

aprasa.pl f114f6759d

Jeżeli nauczanie w języku białoruskim istnieje tylko w około 10 proc. szkół na Białorusi, i to głównie poza wielkimi miastami; jeżeli dramatycznie spadła liczba białoruskich wydawnictw; jeżeli używanie języka białoruskiego jest na Białorusi znikome – to oznacza, że Łukaszenka praktycznie prowadzi politykę prorosyjską, w interesie ruskiego miru – mówi Paweł Łatuszka, białoruski polityk i dyplomata, były minister kultury i były ambasador w Polsce, dziś opozycjonista i wiceprzewodniczący Zjednoczonego Gabinetu Przejściowego Białorusi. Rozmawia Jakub Maciejewski.

TOMASZ JEDRZEJOWSKI/GAZETA POLSKA

» Rozprawmy się najpierw z mitem, że Łukaszenka jest jakimkolwiek gwarantem niezależności Białorusi od Rosji. Że gdyby nie on, byłoby gorzej, bo Rosja by weszła, a Białoruś zostałaby podzielona na rosyjskie gubernie.

Ten mit został stworzony przez byłego ministra spraw zagranicznych Władimira Makieja, który zginął w niewyjaśnionych okolicznościach kilka lat temu, po rozpoczęciu pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę, a powstał na użytek białoruskiej dyplomacji na Zachodzie. Pracowałem wtedy jako ambasador we Francji i w Hiszpanii. Pamiętam, że otrzymaliśmy instrukcję z MSZ, by mówić wszystkim europejskim, zachodnim, amerykańskim i brytyjskim partnerom, że tylko Łukaszenka może gwarantować suwerenność kraju i przeciwstawić się Rosji.

To było kłamliwe podejście od samego początku. Teraz sytuacja zmieniła się jeszcze bardziej. Po roku 2020, kiedy Łukaszenka przegrał wybory na Białorusi – co zresztą publicznie uznał w grudniu poprzedniego roku, mówiąc, że nigdy więcej nie pozwoli opozycji zwyciężyć – utracił swoją podmiotowość. I faktycznie traci ją każdego miesiąca. W 2020 roku poprosił Putina o wsparcie. Putin mu tego wsparcia udzielił, ale w zamian Łukaszenka zgodził się na udostępnienie terytorium Białorusi do pełnoskalowej agresji na Ukrainę. Faktycznie sprzedał Rosji politykę zagraniczną i wojskową Białorusi. Dziś znajduje się ona pod pełną kontrolą Rosjan. Nie widzimy nigdzie, żeby Łukaszenka mówił innym głosem niż Rosja. Przedstawiciele Białorusi głosują tak jak Rosja w ONZ i w innych organizacjach. Politykę wojskową Łukaszenka prowadzi w interesie Rosji, choć nie ma żadnej przyczyny ani żadnych podstaw, żeby Białorusini wspierali rosyjską agresję przeciwko Ukrainie. Nie mamy żadnych problemów z Ukraińcami.

eprasa.pl f1c4f6759d

Łukaszenka robi to tylko z jednego powodu: żeby utrzymać stołek uzurpatora na Białorusi. Gwarantem niepodległości może być już tylko naród białoruski. To trudne zadanie – przywrócić podmiotowość. Ale faktem jest, że przez 32 lata swoich rządów Łukaszenka ma dziś najniższy poziom podmiotowości. Potwierdzają to jego działania.

» Może jednak w polityce tożsamościowej Łukaszenka dba choćby o pozory odrębności?

Łukaszenka, niestety, prowadzi politykę antynarodową i antybiałoruską. To nie zaczęło się wczoraj, tylko trwa od lat.

Niedawno miałem wystąpienie w Komitecie Kultury Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy, gdzie mówiłem o tym, co dzieje się z kulturą białoruską. Jeżeli nauczanie w języku białoruskim istnieje tylko w około 10 proc. szkół na Białorusi, i to głównie poza wielkimi miastami; jeżeli dramatycznie spadła liczba białoruskich wydawnictw; jeżeli używanie języka białoruskiego jest na Białorusi znikome – to oznacza, że Łukaszenka praktycznie prowadzi politykę prorosyjską, w interesie ruskiego miru. Dotyczy to kultury, edukacji i podręczników. Na przykład w nowych podręcznikach historii Białorusi Wielkie Księstwo Litewskie i Rzeczpospolita są przedstawiane jako najgorszy okres w historii Białorusi, a czas, gdy Białoruś była częścią Imperium Rosyjskiego – jako okres rozkwitu i dobrobytu dla Białorusinów.

Jakie pomniki stawia się teraz na Białorusi? Na przykład ostatnio usuwa się pomniki Kostusia Kalinowskiego, Tadeusza Kościuszki czy Łarysy Geniusz. Odwrotnie – stawia się jedenastometrowy pomnik Aleksandra Newskiego [książę z dynastii Rurykowiczów, uznawany za świętego przez Rosyjski Kościół Prawosławny – przyp. red.]. Takich przykładów są setki.

» Jak ta zależność od Rosji przekłada się na polityczną praktykę? Czy na przykład białoruskie siłowiki to rosyjska agentura? Jakie metody nacisku na Łukaszenkę stosują Rosjanie wewnętrznie, w samym Mińsku?

Jeśli mówimy o bloku siłowym, także o ministerstwie obrony, to proszę spojrzeć: naczelnik sztabu, szef Sztabu Generalnego Paweł Murawiejko ukończył Akademię Wojskową Federacji Rosyjskiej. Aleksander Wolfowicz, sekretarz Państwowej Rady Bezpieczeństwa Białorusi, ukończył Moskiewską Wyższą Szkołę Wojskową w Moskwie. Urodził się w Rosji i ukończył Akademię Sztabu Generalnego Rosji. Minister obrony faktycznie spędził dzieciństwo w Rosji, a później również ukończył rosyjską szkołę wojskową. Szef białoruskiej Straży Granicznej także ukończył rosyjską szkołę FSB. I tu pojawia się pytanie: czy oni będą bronić Białorusi przed Rosją? Odpowiedź jest jasna: nie, nie będą.

Podobnie jest w ministerstwie spraw wewnętrznych. Bardzo ważną rolę odgrywa teraz generał Mikołaj Karpiankou, dowódca wojsk wewnętrznych na Białorusi i wiceminister spraw wewnętrznych. W gabinetach tych wojskowych jeszcze miesiąc temu można było zobaczyć rosyjskie flagi. Ostatnio KGB zaczęło patrzeć na to inaczej, więc te flagi pochowano do szuflad. Ale ich nie spalono ani nie zniszczono. One nadal leżą w tych szufladach.

Łukaszenka poszedł również drogą tworzenia Państwa Związkowego Białorusi i Rosji. Ten twór wymyślił jeszcze za czasów Jelcyna, bo myślał, że pomoże mu wejść na stołek na Kremlu. Jelcyn był wtedy stary i chory. Potem jednak do władzy doszedł Putin i wszystkie nadzieje Łukaszenki rozbiły się o ścianę. Ta instytucja Państwa Związkowego nadal jednak istnieje. Łukaszenka myślał, że będzie ją wykorzystywać do uzyskiwania

eprasa.pl f114f6759d

korzyści gospodarczych: kredytów, tańszych surowców i możliwości sprzedaży większej liczby towarów na rynku rosyjskim. Rosjanie patrzyli na to inaczej. Chcieli – i nadal chcą – poprzez Państwo Związkowe faktycznie zintegrować Białoruś z Rosją.

Białoruś podpisała kilka lat temu 27 punktów programu, będącego faktycznie utajnioną integracją białorusko-rosyjską. Wśród nich są także dokumenty dotyczące współpracy wojskowej. Na przykład kilka tygodni przed pełnoskalową agresją Rosji na Ukrainę z terytorium Białorusi Łukaszenka podpisał z Putinem doktrynę wojskową. Zawarto w niej m.in. zapis stworzenia wspólnej, białorusko-rosyjskiej grupy wojskowej oraz wspólnego dowództwa wojskowego. Istnieje wspólna białorusko-rosyjska obrona przeciwlotnicza. Cały czas odbywają się wspólne ćwiczenia wojskowe. Tak naprawdę decyzje wojskowe nie są podejmowane w Mińsku, tylko dyktowane z Moskwy. Instrumentami ich realizacji są z jednej strony dokumenty prawne, a z drugiej instrumenty gospodarcze. Jeśli Łukaszenka nie chce czegoś zrealizować, zawsze można zakręcić kranik rosyjskiej pomocy.

» Jak do tego doszło?

To jest wina Łukaszenki, który mentalnie jest człowiekiem prorosyjskim. Do tego jest dyktatorem, który nigdy nie będzie mile widziany na europejskich salonach. Z tego wynikają wszystkie problemy. Gdyby Łukaszenka był demokratą, nawet prorosyjskim, to byłby to okres na przykład ośmiu czy 10 lat. Ale jako dyktator trzyma władzę przez aparat siłowy i jest u władzy już 32 lata! Zmienić to i przywrócić podmiotowość Białorusi, podmiotowość narodu białoruskiego oraz niezależność Białorusi można tylko wtedy, kiedy zostanie obalony reżim Łukaszenki. Z Łukaszenką absolutnie nie da się tego zrobić.

» Łukaszenka nie jest mile widziany na europejskich salonach, a jednak co kilka lat ruski mir stosuje taką taktykę: periodycznie pokazuje łagodniejsze oblicze. Był Miedwiediew, był też Łukaszenka. Nawet Polska w czasach PiS miała taki epizod, że jeżdżono do Mińska, próbowano przyjaźnić się z Łukaszenką. Zachód czasami wierzy, że da się odciągnąć Łukaszenkę od Rosji. To stara pułapka ruskich dyktatorów: czasami udają gołębie. Czy myśli Pan, że Łukaszenka nie może znowu zagrać tą kartą: „Podajcie mi rękę, bo dzięki temu będę oddalał się od Rosji"?

Jestem pewien, że tym razem to się nie uda. Jako polityk białoruski i przedstawiciel gabinetu cieni na czele z Cichanouską oraz Rady Koordynacyjnej, wybranej przez Białorusinów, spotykam się każdego dnia z politykami europejskimi. Nie widzę absolutnie żadnych nastrojów, by zmienić stosunek do Łukaszenki. Odwrotnie. Pracujemy teraz nad tym, żeby Łukaszenka dostał nakaz aresztowania od prokuratora Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze. Toczy się już oficjalne śledztwo w związku ze zbrodniami przeciwko narodowi białoruskiemu. Deportowano setki tysięcy Białorusinów. To już oficjalne śledztwo, prowadzone z inicjatywy rządu Litwy, a my jako zespół je wspieramy. Łukaszenka może też dostać nakaz aresztowania za deportację co najmniej 3,5 tys. dzieci ukraińskich z tymczasowo okupowanych terytoriów Ukrainy na Białoruś i ich późniejszą indoktrynację.

Razem z naszymi europejskimi partnerami tworzymy elementy, które sprawią, że Łukaszenka już nigdy nie wróci do Europy i zawsze będzie na czarnej liście. Nikt mu już więcej nie uwierzy, bo taka sinusoida powtarzała się już pięć razy. Pięć razy Zachód próbował się z nim dogadać, szedł na ustępstwa, a Łukaszenka tworzył sztuczny wizerunek człowieka, który

eprasa.pl f114f6759d

zmienia swoją politykę wewnętrzną i zewnętrzną. De facto były to tylko kosmetyczne zmiany. De facto było to kłamstwo. Robił to we własnym interesie. Grał na ambicjach Rosji. Kiedy Rosja widziała, że Łukaszenka próbuje zrobić jakiś krok w stronę Europy, on od razu odwracał głowę w stronę Putina i mówił: „Płaćcie mi. Płaćcie jak najwięcej". Rosja płaciła: kredytami, finansami, rynkami. O to chodziło Łukaszence: zagrać Europą, okłamać Europę, udawać, że się zmienia, a jednocześnie wyciągnąć jak najwięcej od Putina.

Nigdy nie była to prawdziwa polityka Łukaszenki i nigdy nią nie będzie.

» Ale czasami te sztuczki Łukaszenki się udają. Podczas granicznej wojny hybrydowej w 2021 roku Unia Europejska dała 700 tys. euro na pomoc humanitarną Łukaszence. Polski rząd dwa lata temu zawiesił program Poland Business Harbour, który zabierał informatyków z Białorusi do Polski. Czasami więc udaje się trochę zmiękczyć Zachód.

Łukaszenka nadal jest objęty sankcjami. Wprowadzono 14 pakietów sankcji przeciwko Białorusi za łamanie praw człowieka. W pakietach sankcyjnych prowadzonych przeciwko Rosji znajdują się również białoruskie sektory i przedsiębiorstwa. My jako zespół także się tym zajmujemy. Cały czas pracujemy nad kolejnymi sankcjami. Te małe formy wsparcia – jeżeli w ogóle można tak o tym mówić – nie zmieniają podejścia Europy i nie zmieniają sytuacji gospodarczej na Białorusi. A sytuacja na Białorusi to stagnacja.

Oczywiście jeżeli Łukaszenka będzie pukał do drzwi Warszawy, Brukseli, Berlina czy Paryża, to powinien usłyszeć jednoznaczną odpowiedź. I prosimy naszych partnerów właśnie o taką odpowiedź: najpierw powinien rozpocząć rozmowy z narodem białoruskim, ze społeczeństwem obywatelskim i z siłami demokratycznymi. Powinien usiąść do okrągłego stołu.

Europa może w tej sytuacji odegrać rolę mediatora przymuszającego do takich działań. Ma bowiem największy i najmocniejszy pakiet sankcyjny przeciwko Łukaszence – tzw. złote sankcje. Łukaszence zależy na zniesieniu sankcji. Jeżeli mu na tym zależy, niech rozpocznie nie kosmetyczne, lecz realne zmiany na Białorusi.

Kiedy ostatnio rozmawiałem z Kają Kallas, komisarz z Brukseli, zapytała mnie: „Co, jeśli Łukaszenka nie będzie zmieniał polityki?". Nasza wspólna odpowiedź – pani Cichanouskiej, Rady Koordynacyjnej i większości naszego środowiska – jest taka: trzeba jeszcze większej presji na Łukaszenkę.

Łukaszenka rozumie tylko język siły. Właśnie wyłączono retransmitery na granicy białorusko-ukraińskiej, bo Łukaszenka obawia się ultimatum Zełenskiego – ostrzelania konkretnych obiektów na Białorusi. Zrozumiał, że przesłanie Ukraińców dotarło także do niego: oni nie żartują i mogą teraz zaatakować za to, że Białoruś wspiera Rosję w agresji przeciwko Ukrainie.

» Białorusini czasem powtarzają wewnętrzną propagandę reżimu, że Łukaszenka gwarantuje mirne niebo (pokojowe niebo, wolne od wojennych działań). Gdyby Białoruś była częścią Rosji, to byłaby uczestnikiem pełnoskalowego wtargnięcia na Ukrainę. A jednak jest tylko takim sojusznikiem. To daje Białorusi jakiś lekki oddech, prawda?

Po pierwsze, Łukaszenka nie gwarantuje spokojnego nieba nad Białorusią, dlatego że rosyjskie drony cały czas latają w przestrzeni powietrznej Białorusi i cały czas spadają na białoruskie miasta oraz wsie. Dzięki Bogu nie doszło do ofiar śmiertelnych, ale to tylko kwestia czasu. Jeżeli udostępniasz przestrzeń

eprasa.pl f114f6759d

powietrzną, ryzyko cały czas istnieje. To jest więc kłamstwo Łukaszenki. On nadal wspiera agresję. Produkuje broń i amunicję w ogromnych ilościach, co jeszcze w jakiś sposób ratuje gospodarkę białoruską, bo robi to na zamówienie Ministerstwa Obrony Federacji Rosyjskiej. Setki białoruskich przedsiębiorstw pracują na przemysł wojskowy Federacji Rosyjskiej.

Łukaszenka nie zakończył wojny hybrydowej przeciwko sąsiadom. Cały czas, może rzadziej, ale nadal słyszymy o próbach z udziałem imigrantów. To tylko kwestia czasu, kiedy Rosja będzie chciała kolejny raz wykorzystać białoruskie terytorium. Przecież wojska rosyjskie wkroczyły na Ukrainę także z Białorusi, stamtąd ostrzeliwano Ukrainę, stamtąd w pierwszym roku wojny startowały samoloty wojskowe.

Pytanie brzmi więc: czy Łukaszenka naprawdę jeszcze coś gwarantuje Białorusi? Jeszcze raz powtarzam: jego podmiotowość jest minimalna. Nie ma argumentów, żeby przeciwstawić się Rosjanom. Z drugiej strony nie ma co liczyć na to, że Europa przyjdzie mu z pomocą – zbrodniarzowi, który popełnił zbrodnie przeciwko ludzkości. Taka jest kwalifikacja jego czynów przez prokuratora Międzynarodowego Trybunału Karnego w Hadze.

Dla mnie rodzi się wtedy pytanie: czym będzie Europa dla mnie jako demokraty i przedstawiciela społeczeństwa obywatelskiego Białorusi? W co wtedy wierzymy? W prawo? Czy wierzymy w to, że dyktatorzy, zbrodniarze i przestępcy międzynarodowi mogą cały czas robić business as usual? Może wtedy lepiej skończmy z demokracją i obroną praw człowieka. Nie okłamujmy się nawzajem.

» Łukaszenka jednak bywa też potrzebny Putinowi jako pośrednik. Tak było w przypadku Prigożyna, kiedy białoruski dyktator odgrywał rolę mediatora. Albo podczas wojny hybrydowej na granicy polsko-białoruskiej – formalnie to nie Putin jest za nią odpowiedzialny, tylko Łukaszenka. Białoruś w ruskim mirze ma swoje ważne zadania.

Łukaszenka chce je mieć. On chce, żeby rozmowy pokojowe odbywały się w Mińsku, jak poprzednio. Słyszymy jednak jednoznaczne stanowisko strony ukraińskiej, które zostało potwierdzone podczas naszej wizyty w Kijowie. Kiedy pani Cichanouska i ja mieliśmy możliwość uczestniczyć w spotkaniach z prezydentem oraz ministrem spraw zagranicznych Ukrainy, usłyszeliśmy, że Ukraina nie chce, aby rozmowy odbywały się ani na terytorium Rosji, ani na Białorusi.

Ukraina patrzy na Białoruś jako na kraj agresora – i z punktu widzenia prawa międzynarodowego jest to absolutnie uzasadnione. Ale Łukaszenka chce zostać mediatorem, bo to pozwoliłoby mu uniknąć odpowiedzialności za zbrodnie, które popełnił. Liczy też na to, że pozwoliłoby mu to odbudować swoją podmiotowość. Mógłby wtedy zaprosić liderów innych krajów. Byłaby to oczywiście próba poprawienia jego całkowicie zniszczonego wizerunku politycznego.

Putinowi też zależałoby na ewentualnych rozmowach w Mińsku, dlatego że na terytorium Białorusi patrzy jak na część Federacji Rosyjskiej. Czuje się tam jak w domu. Niestety ma tam systemy obrony przeciwlotniczej, a nakaz aresztowania Międzynarodowego Trybunału Karnego nie działałby na terytorium Białorusi.

Jak będzie rozwijała się sytuacja? Tu niestety też mam wątpliwości. Moim zdaniem może dojść do tego, że jeżeli Putin – nie dziś, ale później – powie Trumpowi, prezydentowi Stanów Zjednoczonych, że chce odbyć rozmowy z Zełenskim, ale proponuje, by odbyły się w Mińsku, Ukraina znajdzie się w trudnej sytuacji, bo Amerykanie będą ją do tych rozmów zmuszali.

eprasa.pl f114f6759d

» A w życzliwą postawę Europy Pan wierzy?

Moim zdaniem dla Europejczyków byłby to wstyd: dla premiera Wielkiej Brytanii, prezydenta Francji, kanclerza Niemiec, premiera czy prezydenta Polski – przyjechać na Białoruś na rozmowy pokojowe, gdy w białoruskich więzieniach przebywają tysiące więźniów politycznych, gdy nadal nie ma żadnych partii politycznych, gdy zniszczono ponad 2 tys. organizacji pozarządowych, nie ma niezależnej prasy, a setki tysięcy Białorusinów deportuje się z kraju. Stworzono atmosferę strachu i terroru. Ludzie nadal uciekają z Białorusi. Nie wyobrażam sobie, żeby Europejczycy się na to zgodzili. Ale Łukaszenka naprawdę o tym marzy i robi wszystko, żeby tak się stało. Rozmawiał o tym – wiem to – z Putinem i wysyłał takie sygnały Amerykanom.

» Przejdźmy do waszej idei okrągłego stołu – przeciągnięcia części nomenklatury i omówienia procesu demokratyzacji. Ale wie Pan, to też bywa trudne. W warunkach liberalnej gospodarki wolnorynkowej i liberalnej demokracji społeczeństwo może przeżyć szok – zwłaszcza że na Białorusi jest jednak sporo apatii i mentalności homo sovieticus. Wolność w liberalnym stylu przynosi czasem zawód i rozżalenie. W Polsce po dzikim bezrobociu lat 90. i prywatyzacji był duży sentyment do komunizmu. Ten projekt w praktyce mógłby się czasami okazać brutalny dla społeczeństwa.

Tego nie wiemy. Co więcej, sytuacja na Białorusi jest nieco inna niż w Polsce w 1989 roku, kraju będącego wówczas w trybie gospodarki planowanej. Na Białorusi mamy sektor prywatny, chociaż znajduje się on pod ogromną presją. Mamy prywatnych właścicieli i prywatny biznes. Eksport Białorusi jest związany z Rosją, a także z wieloma krajami, do których trafiają białoruskie towary. Oczywiście teraz eksport na Ukrainę został absolutnie wyzerowany, a eksport do Unii Europejskiej jest bliski zeru. Otwarcie tych kierunków dałoby dodatkowe możliwości.

Nie sądzę więc, żeby na Białorusi doszło do terapii szokowej, takiej, jaka miała miejsce w Polsce. Jestem przekonany – i my jako Zjednoczony Gabinet Przejściowy [emigracyjny rząd białoruskich sił demokratycznych – przyp. red.] na czele z Cichanouską przyjęliśmy taką strategię – że dążymy do okrągłego stołu i że potrzebny jest narodowy dialog. Dojdzie do niego na pewno po obaleniu Łukaszenki albo wtedy, kiedy Łukaszenki już na Białorusi nie będzie.

Oczywiście bardziej realistycznym planem jest sytuacja, w której Rosja będzie słaba i nie będzie mogła przeszkadzać w dogadaniu się społeczeństwu białoruskiemu. Ale nie zgadzam się z podejściem politycznym mówiącym, że na Białorusi nie nastąpią zmiany, dopóki nie nastąpią zmiany w Rosji. To błędna strategia. Oznaczałaby porzucenie narodu białoruskiego w objęciach Federacji Rosyjskiej.

Za kilka lat może dojść do sytuacji, że na granicy białorusko-polskiej staną żołnierze białoruskiego pochodzenia, ale w rosyjskich mundurach, gotowi zaatakować Polskę. Dlatego zmiany na Białorusi leżą także w interesie Europy.

Ważne jest też to, że w Council Conclusions Unii Europejskiej z 2024 roku, w punkcie 10, wpisano, że Unia Europejska wzywa władze białoruskie do rozpoczęcia dialogu ze społeczeństwem obywatelskim. Ta strategia odpowiada więc interesom Europy i naszym interesom.

Wiem, że nomenklatura rządowa na pewno jest już zmęczona rządami Łukaszenki. Łukaszenka jednego dnia może zapytać, dlaczego zimą wieczorem w miastach pali się światło, i kazać wyłączyć światła, a dwa dni później karać urzędników, którzy wykonali jego rozkaz. Może też powiedzieć: „Dlaczego woda w rzekach

eprasa.pl f114f6759d

płynie w stronę Ukrainy? Zawrócimy tę wodę z powrotem".

» Brzmi jak amok ekonomiczny Nikity Chruszczowa.

Takie głupoty przychodzą do głowy starzejącego się dyktatora. Ludzie widzą, że faktycznie stawia Białoruś w bardzo trudnej sytuacji gospodarczej i zwiększa ryzyko doprowadzenia do realnych działań wojskowych na terytorium Białorusi. Wszyscy chcą, żeby odszedł. Tylko że w reżimach totalitarnych do przewrotów dochodzi dość rzadko. Ważne jest jednak, by z jednej strony dać nomenklaturze sygnał: proponujemy wam dialog i dogadanie się. Z drugiej strony – jeżeli nadal będziecie popierać Łukaszenkę, poniesiecie odpowiedzialność przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym albo przed Trybunałem Specjalnym do spraw Zbrodni Agresji przeciwko Ukrainie. To wasz wybór: bilet do Hagi razem z Łukaszenką albo porozumienie w interesie narodu i państwa. Szukajmy rozwiązania.

» A jaki jest scenariusz samego Łukaszenki na długie trwanie jego reżimu? Chodzi o następcę i przekazanie władzy. Czyżby następstwo dla młodszego syna – Koli?

Łukaszenka już zaplanował przeniesienie władzy na wypadek, gdy będzie stary i chory. Zostało to zapisane w ustawie o Ogólnobiałoruskim Zgromadzeniu Narodowym. Wprowadził na Białorusi trzecią izbę – właśnie takie ogólne zgromadzenie, które jest najwyższym organem władzy w kraju. Wchodzi do niego 1200 delegatów, mianowanych oczywiście osobiście za zgodą Łukaszenki. Nie ma tam żadnych wyborów.

Łukaszenka zajmuje stanowisko przewodniczącego Prezydium Ogólnobiałoruskiego Zgromadzenia Narodowego i jednocześnie uzurpuje stanowisko prezydenta Białorusi. Kiedy będzie stary, zostanie na stanowisku w Zgromadzeniu Narodowym, bo ono może decydować o impeachmencie prezydenta i ma wiele pełnomocnictw, które mogą wpływać na działania głowy państwa w kraju. Jego celem jest doczekanie do chwili, gdy młodszy syn będzie już w wieku, w którym będzie można zaproponować go na następcę na stanowisku prezydenta. Nie mam tu żadnych wątpliwości. Łukaszenka chce, żeby jego młodszy syn, Mikołaj Łukaszenka, został prezydentem Białorusi.

Opcjonalnie rozpatrują nawet możliwość rezygnacji z ogólnonarodowych wyborów prezydenta i przekazania wyboru prezydenta Ogólnobiałoruskiemu Zgromadzeniu Narodowemu. Mówił już o tym szef komisji wyborczej. W ten sposób próbują sprawdzić reakcję społeczeństwa na ten temat. Łukaszenka pokazuje to wszędzie. Zabiera Mikołaja na wizyty do Chin, zaprasza do uczestniczenia w obiedzie z przywódcą ChRL czy z prezydentem Rosji na Kremlu. Podczas różnych uroczystości Mikołaj Łukaszenka siedzi wśród głów państw. Łukaszenka pokazuje: to jest mój następca, chcę przekazać mu władzę.

Jeżeli więc Łukaszenka będzie już chory, raczej dojdzie do próby przekazania władzy Mikołajowi Łukaszence. Ale społeczeństwo tego nie przyjmuje. Nie chce tego. Nawet ostatnie badania opinii publicznej – które oczywiście trudno przeprowadzać w kraju totalitarnym – pokazują, że poparcie dla Łukaszenki jest bardzo małe. Nigdy nie wygra w wyborach demokratycznych. Tym bardziej nikt nie chce widzieć jego synka na stanowisku prezydenta Białorusi.

» Wasz gabinet cieni ma bardzo szczegółową diagnozę reżimu białoruskiego. Czy wyciągnęliście jednak wnioski z fiaska protestów 2020 roku? Wtedy naprawdę już się wydawało, że się uda, że Łukaszenka upadnie. Czego zabrakło?

eprasa.pl f114f6759d

Zabrakło dobrej organizacji protestów. Nie było siły politycznej, która powinna była być przygotowana na taki scenariusz wydarzeń na Białorusi. Sporo ludzi marzyło o zmianach, ale trzeba było poprowadzić protesty tak, żeby zakończyły się realnym naciskiem na władzę i doprowadziły do zmiany sytuacji politycznej na Białorusi. Pamiętam, kiedy kolumny szły na pałac Łukaszenki. Ja wtedy też szedłem na przodzie tej kolumny. A Maryja Kalesnikawa, która później została więźniarką polityczną, kiedy kolumna ruszyła w stronę pałacu prezydenta, biegła, żeby ją powstrzymać, żeby w żadnym razie nie próbować zaatakować „fortecy" Łukaszenki. Takie decyzje były błędne. Wszyscy myśleli, że możemy zwyciężyć serduszkami. Rewolucję robi się siłą.

Popełniono błąd także wtedy, kiedy trzeba było przejąć kontrolę nad telewizją państwową. To klasyka komunistyczna. Lenin pisał o kontroli nad telegrafem. Dziś trzeba mieć kontrolę nad telewizją. Prosiliśmy dziennikarzy, żeby nie podawali się do dymisji w sobotę, lecz w niedzielę. Mówiliśmy: przyjdziemy w niedzielę i wtedy możemy wziąć pod kontrolę całą telewizję. Nie było to jednak skoordynowane.

Oczywiście Łukaszenka działał wyprzedzająco. Przewidywał tę sytuację. Wielu liderów opozycji białoruskiej, takich jak Mikołaj Statkiewicz czy Paweł Siewiaryniec, trafiło do więzień jeszcze przed największymi akcjami. Główny kandydat na prezydenta, Wiktar Babaryka, też był więziony. Łukaszenka wykonał wiele działań prewencyjnych. W efekcie na ulicach nie było liderów, którzy – po pierwsze – byli liderami, a po drugie – mieli doświadczenie polityczne i doświadczenie walki politycznej. Oni już siedzieli w więzieniach.

Robotnicy raczej patrzyli niż uczestniczyli w większości tych akcji protestacyjnych. Można było ogłosić ogólnobiałoruski strajk. Tego nie udało się zrobić. Kolejna próba też nie miała takiej skali, żeby zablokować gospodarkę białoruską.

Łukaszenka poprosił także o wsparcie Rosję. Rosja wysyłała swoje siły wewnętrzne do zwalczania protestów na Białorusi.

» Rok 2020 samego dyktatora też nauczył nowych rzeczy. Służby wyciągają wnioski, aktualizują swoje strategie. Reżim ewoluuje, bardziej inwigiluje i może zastosować nowe metody. Wy będziecie protestować albo proponować okrągły stół, a Łukaszenka powie na przykład: „To będzie wojna z Rosją". Może użyć zastraszenia Putinem albo innych metod. Spodziewa się Pan, że reżim też się wzmocnił? Że pod wieloma względami nauczył się, jak zwalczać opozycję?

Na pewno tak. Łukaszenka stworzył silne wojska wewnętrzne, a następnie je rozszerzył. Powstało 13 specjalnych jednostek. Teraz znajdują się one we wszystkich miastach obwodowych i w najważniejszych miastach rejonowych Białorusi, żeby zwalczać protesty. Mają nawet technikę wojskową wykorzystywaną przez armię. Łukaszenka jest więc na to gotowy. Podpisał także najgorszą umowę za czasów swoich rządów – w 2024 roku. W tej białorusko-rosyjskiej umowie o gwarancjach bezpieczeństwa art. 5 przewiduje, że w sytuacji protestów na Białorusi rosyjskie wojska mają prawo wkroczyć na Białoruś, żeby po prostu zwalczyć protesty.

Dlatego jedynym na dziś wariantem rozwiązania tej sytuacji jest właśnie okrągły stół. Jeżeli dogadujemy się z nomenklaturą i społeczeństwo białoruskie dochodzi do porozumienia przy okrągłym stole, wtedy Rosja nie ma pretekstu, żeby wprowadzić armię rosyjską na terytorium Białorusi.

Jeżeli mamy protesty i rewolucję, choćby taką jak w 2020 roku, rosyjscy żołnierze zaczną po prostu zwalczać protesty, a może nawet strzelać do protestujących na Białorusi. Na prośbę Łukaszenki. ■

eprasa.pl f114f6759d

Marcin Wolski

Głupi jak aktor

Nie wiem, czy istnieje w naszym języku określenie „głupi jak aktor", ale elity pilnie pracują nad tym, by tak się stało. Żeby było jasne – doceniam potęgę aktorstwa. Do dziś (po 60 latach) odczuwam dreszcz emocji, kiedy wspominam „Karierę Artura Ui" i Tadeusza Łomnickiego grającego Führera chicagowskich oprychów na deskach Teatru Współczesnego. Pamiętam też swój paraliżujący strach, gdy Jan Świderski grał tak przekonująco Romulusa Wielkiego, wręcz wierzyłem, że zaraz zejdzie na serce (niczym Molier na premierze „Chorego z urojenia"). Nie zapomnę też tarzania się ze śmiechu, gdy aktorzy amatorzy Laskowik czy Smoleń wygłaszali swe najsłynniejsze monologi, pierwszy „Mamuśkę", drugi „Szeptankę", z powtarzającym się „Cicho być!".

Oczywiście niewielu rodzi się od razu wielkimi aktorami, są tacy, którzy latami szukają swego emploi, grając ogony lub role, które im nie pasują. Geniusz Romana Wilhelmiego rozbłysnął dopiero w „Zaklętych rewirach", a Zbigniew Zapasiewicz narodził się jako niezrównany odtwórca rozmaitych docentów dopiero w „Barwach ochronnych".

Najgorzej bywa, kiedy aktor postanawia obsadzać się sam, w dodatku w roli polityka. Niechlubnych przykładów dostarczają tu głównie panie – ziejąca nienawiścią Stalińska, zaczepna Janda, udająca intelektualistkę Szczepkowska czy wyborna jako słodka idiotka Kurdej-Szatan. Ale panom też niewiele brakuje – z żalem wspominam antypolskie wypowiedzi uwielbianego ongiś Stuhra, który będąc za granicą, wstydził się mówić w języku ojczystym, plugastwa Seweryna (bądź co bądź koryfeusza z Académie Francaise) czy żarty poniżej już nie pasa, ale chyba kolan mego dawnego kumpla Kryszaka. I wszystko na własne życzenie, bo przecież nikt ich nie zmuszał.

Olbrychski też wyrywa się na ochotnika. Aktorem wybitnym był od zawsze, a w kwestii wielkich ról spokojnie mógłby konkurować z Jeanem Gabinem i Gerardem Depardieu. Zagrał główne role w „Popiołach", „Potopie" i „Panu Wołodyjowskim" czy „Ziemi Obiecanej". Dał się poznać z innej strony, kiedy wpadł do warszawskiej Zachęty i bez niczyjej zachęty kmicicową szablą porąbał fotografie aktorów (w tym swoją) w niemieckich mundurach. A przecież celem wystawy było przestrzeganie przed nazizmem.

Od tego czasu rozwinął się publicystycznie. Jego najnowsza wypowiedź brzmi: „Społeczeństwo, które dwa razy na prezydenta wybiera kogoś takiego jak Duda, a puentuje to wybraniem pana Nawrockiego na prezydenta Polski, nie jest społeczeństwem wybitnym, łagodnie mówiąc". Faktycznie, podłe to społeczeństwo, które swego czasu nie chciało wybierać na ojca narodu żółwia Mazowieckiego, potem arcyeuropejskiego Olechowskiego, genialnego Tuska i pięknego jak Ken od Barbie Trzaskowskiego. Jedyne wyjście – trzeba zmienić sobie społeczeństwo. Tylko kto wówczas będzie chodził na filmy z Danielem O.?

Tyle że frekwencja w kinach to dzisiaj żaden miernik. Istotne, jeśli kasę da neo-TVP, nawet gdyby miała stać się telewizją jednego widza. A właśnie stąd wypłynęła niewątpliwie jako nagroda oferta zagrania w nowym „Ranchu". Niegdysiejszy Kmicico-Azja dostąpi zaszczytu grzania wspólnej ławeczki z niedoszłą gwiazdą Eurowizji, Piotrem Pręgowskim.

A może zanim przejmie rolę po ciepłym aż do bólu Franciszku Pieczce, artysta porozmawiałby sobie z prof. Jarosławem Flisem, który ostatnio w temacie mowy nienawiści ustawił do pionu red. Wysocką-Schnepf. „Nie jest ważne, kto zaczął, ważne, kto skończy" – mówił w kontekście „ośmiu gwiazdek". „Wtedy ważne jest, żeby zacząć kończyć samemu, a nie wzywać innych do zakończenia w ten sposób, żeby to było postrzegane w zasadzie jako obelga, tylko taka bardziej wysublimowana. A poza tym w czym nienawiść na tle politycznym jest lepsza od nienawiści na tle rasowym?". Tylko czy wielki aktor posłucha jakiegoś profesorka? ■

eprasa.pl f114f6759d

W sensie wojskowym znaczna część funkcji państwa białoruskiego została podporządkowana rosyjskiej strategii militarnej. Terytorium Białorusi służy rosyjskiej logistyce, szkoleniu, projekcji siły oraz naciskowi psychologicznemu na wschodnią flankę NATO. W praktyce Polska już dziś graniczy nie tylko z Białorusią Łukaszenki, lecz także z rosyjskim obszarem operacyjnym.

Białoruś rosyjską kolonią

Piotr Grochmalski

eprasa.pl f114f6759d

Moskiewskie elity strategiczne traktują Białoruś jako obszar o szczególnym znaczeniu, anektowany przez Rosję. Przez Mińsk prowadzi najkrótsza droga agresji na Polskę. Dmitrij Trenin, jeden z najważniejszych kremlowskich analityków strategicznych, wyraził to otwarcie. W czołowym geopolitycznym piśmie putinowskiego reżimu „Rossija w globalnoj politikie" opublikował w maju artykuł pt. „Wygląd i charakter wojen w nowej erze", w którym twierdzi, że totalna konfrontacja już się rozpoczęła, a jej obszar obejmuje Polskę. Stwierdza wprost: „Ta wojna już trwa. Toczy się otwarcie w Europie Wschodniej".

» Zaplecze techniczno-logistyczne dla rosyjskich operacji wojskowych

Szczególnie niepokojące jest to, że rosyjscy analitycy nie traktują już wojny z NATO jako scenariusza abstrakcyjnego, ale przygotowują się do niego. Do machiny wojennej Rosja w pełni włączyła już obszar Białorusi. Seva Gunitsky i Jeremy Morris w opublikowanej 3 czerwca 2026 roku analizie na łamach „Foreign Affairs" odrzucają popularne na Zachodzie przekonanie, że wystarczy decyzja Władimira Putina, aby konflikt ukraiński dobiegł końca. Ich diagnoza jest znacznie bardziej niepokojąca: „[…] wojna stworzyła samowystarczalny porządek instytucjonalny i gospodarczy, który ogranicza nawet Putina". Oznacza to, że konflikt przestał być jedynie projektem politycznym Kremla, a stał się mechanizmem napędzającym państwo rosyjskie. Jej ubocznym efektem jest realne wchłonięcie Białorusi. To z jej terytorium Kreml planuje agresję na Polskę. Skala fuzji wojskowej Mińska i Moskwy nie pozostawia złudzeń. A to oznacza, iż realna granica potencjalnej wojny z Rosją liczy dziś ponad 650 km. Stąd też poszło potężne uderzenie dronów w nocy z 9 na 10 września 2025 roku, gdy 21 rosyjskich dronów uderzyło w Polskę z terytorium Białorusi. Uruchomiliśmy wówczas procedurę artykułu 4 NATO. Od czasu agresji FR na Ukrainę w lutym 2022 roku, wschodnia flanka Sojuszu nagle znalazła się w radykalnie nowej rzeczywistości. Białoruś otworzyła swoje niebo, linie kolejowe i infrastrukturę wojskową, aby wesprzeć atak Moskwy na Kijów. W świetle prawa międzynarodowego Mińsk stał się współagresorem. Jest to jednak stan przejściowy. W każdej chwili Rosja może dokonać pełnej inkorporacji Białorusi. Ani Polska, ani NATO nie są jednak przygotowane na taki scenariusz. A dla Mińska to, co zaczęło się jako wsparcie logistyczne, przerodziło się w coś znacznie trwalszego: przekształcenie Białorusi w de facto militarny bastion państwa rosyjskiego.

Za fasadą suwerenności reżim Łukaszenki zamienił niepodległość na ochronę, przyjmując na białoruską ziemię rosyjskie wojska, sprzęt, a nawet broń jądrową. Do tego momentu obecność wojskowa Rosji na Białorusi ograniczała się jedynie do dwóch obiektów z czasów Związku Sowieckiego – stacji ostrzegania przed rakietami w Hancewiczach i morskiego centrum łączności w Wilejce. Moskwa co prawda naciskała na Mińsk już w 2013 roku, chcąc umieścić na Białorusi swoje stałe bazy i lotnisko, ale Łukaszenka oparł się wówczas presji. A po aneksji Krymu przez Rosję i zbrojnej interwencji w Donbasie na początku 2014 roku utrzymywał pozory balansowania między Wschodem a Zachodem. Był gospodarzem rozmów pokojowych w Mińsku, uwolnił niektórych więźniów politycznych, zabiegał o zaangażowanie Zachodu, a nawet powstrzymał się od uznania aneksji Krymu, publicznie kpiąc z kremlowskiej ideologii „rosyjskiego świata". Cała ta konstrukcja runęła po sfałszowanych wyborach w sierpniu 2020 roku i masowych protestach, które po nich nastąpiły. To Putin uratował wówczas głowę Łukaszenki i utrzymał go u władzy.

FOT. MARIUSZ TROLIŃSKI

eprasa.pl f114f6759d

Na początku lutego 2022 roku na Białorusi odbyło się referendum konstytucyjne – w warunkach represji i bez prawdziwej debaty – które zakończyło status kraju wolnego od broni jądrowej. Moment ten nie był przypadkowy: w ciągu kilku dni Rosja rozpoczęła inwazję na Ukrainę z aktywnym udziałem Białorusi. Lotniska wojskowe i cywilne w Homelu – w tym infrastruktura – służyły jako ważne centra operacyjne do przeprowadzania ataków rakietowych i dronów, zaplecza technicznego i logistycznego dla rosyjskich operacji wojskowych przeciwko Ukrainie. A jej zintegrowane systemy obrony powietrznej, sieci nawigacyjne i infrastruktura kontroli lotów wspierały działania Rosji. Rafineria w Mozyrzu zapewniała dostawy paliwa dla putinowskiej machiny wojennej, a białoruskie linie kolejowe stały się kluczowymi dla Rosji arteriami inwazyjnymi, transportując czołgi, wojska i amunicję przez granicę ukraińską. Białoruskie drogi, składy i węzły logistyczne wspierały ofensywę na Kijów.

» Zdrada Białorusi przez Łukaszenkę

Za cenę utrzymania się u władzy Łukaszenka oddał Białoruś Putinowi. Jak zauważa Hanna Lubakowa w raporcie „Mińsk pod władzą Moskwy: Jak Rosja podporządkowała sobie Białoruś bez aneksji", opublikowanym 13 listopada 2025 roku w Atlantic Council: „Do grudnia 2022 roku głębia tej integracji stała się ewidentna. Putin ogłosił, że białoruski samolot Su-25 zostanie zmodyfikowany do przenoszenia broni jądrowej, a rosyjskie systemy rakietowe Iskander-M – zdolne do przenoszenia ładunków jądrowych – zostały dostarczone Białorusi. Ponieważ kontrola operacyjna pozostała w rękach Rosji, symboliczna zmiana była głęboka. Tymczasem białoruski przemysł zbrojeniowy po cichu włączył się w wysiłek wojenny: naprawiał rosyjskie czołgi, modernizował samoloty i dostarczał systemy optyczne do pocisków rakietowych. Pociągi załadowane bronią i częściami zaczęły poruszać się w obu kierunkach, umacniając głębszą współzależność wojskowo-przemysłową".

Białoruś dla Rosji stała się jednym z kluczowych elementów wojny. Gdy putinowka armia ugrzęzła i nastąpiła stabilizacja frontu, Białoruś stała się strategiczną bazą zaplecza. Jak zauważa Hanna Lubakowa: „W październiku 2022 roku, gdy ukraińskie kontrofensywy przybierały na sile, Mińsk i Moskwa aktywowały Regionalne Zgrupowanie Sił (RGF), dwustronną formację wojskową, która zapewniała prawną osłonę nowym rosyjskim rozmieszczeniom. Około dziewięciu tysięcy rosyjskich żołnierzy, wraz z setkami czołgów i systemów artyleryjskich, przybyło na Białoruś pod wspólnym dowództwem. RGF stanowiło punkt zwrotny: doraźna współpraca przekształciła się w zinstytucjonalizowaną integrację wojskową". W marcu 2023 roku Putin ogłosił, że Moskwa zawarła porozumienie z Mińskiem w sprawie rozmieszczenia taktycznej broni jądrowej na terytorium Białorusi. Na początku 2023 roku białoruskie załogi ukończyły szkolenie z obsługi taktycznego systemu rakietowego Iskander w kontekście potencjalnych ataków nuklearnych. W 2024 roku Białoruś przyjęła nową doktrynę wojskową, która skodyfikowała głębszą integrację z siłami zbrojnymi Rosji. Po raz pierwszy wyraźnie zezwoliła na rozmieszczenie i potencjalne użycie rosyjskiej taktycznej broni jądrowej na terytorium Białorusi. W praktyce doktryna ta dała Moskwie strategiczną przewagę w pobliżu granic NATO. Ceną za to była dalsza erozja autonomii Białorusi.

Rosyjskie myśliwce MiG-31K, uzbrojone w hipersoniczne pociski Kinżał, na stałe przebywały już na terytorium Białorusi, utrzymując ukraińską obronę powietrzną w stanie ciągłej gotowości. W grudniu 2024 roku Rosja i Białoruś podpisały Traktat o gwarancjach bezpieczeństwa w ramach Państwa Związkowego. Włączyło ono Białoruś do rosyjskiej strategii odstraszania nuklearnego. A siły rosyjskie, około 2 tys. żołnierzy, już na stałe

eprasa.pl f114f6759d

stacjonują na Białorusi. Rosyjskie operacje są kontynuowane z kluczowych lokalizacji, takich jak lotniska w Mozyrzu (Bokau) i Ziabrauka. Mińsk potwierdził też plany rozmieszczenia systemu rakietowego Oriesznik; Rosja użyła już tego systemu w atakach na Ukrainę.

Jak podkreśla Hanna Lubakowa: „W niecałe trzy lata Białoruś przekształciła się z niechętnego sojusznika w państwo satelickie. Łukaszenka zrzekł się kontroli nad wojskiem i polityką bezpieczeństwa kraju w zamian za poparcie Kremla. W rezultacie Białoruś stała się wysuniętą bazą rosyjskiej agresji – potencjalnie dysponującej bronią jądrową. Ten rozwój sytuacji zmienia wschodnią granicę NATO, próbuje legitymizować wysunięte rosyjskie zasoby nuklearne i znosi granice między suwerennym sojusznikiem a podporządkowanym mu podmiotem. Konsekwencje są drastyczne. Dawne państwo buforowe stało się rosyjską placówką wojskową. Białoruś znajduje się na pierwszej linii frontu wojny Rosji z Ukrainą i Zachodem".

» Rosja już dokonała aneksji Białorusi

Thomas Graham, jeden z czołowych analityków Rady Stosunków Zagranicznych (CERF), w raporcie tego wpływowego think tanku wskazuje, w jaki sposób „Waszyngton musi prowadzić politykę wobec Białorusi, która będzie obejmować ostrożne odnawianie stosunków z Mińskiem, współpracę z Moskwą w celu ograniczenia ryzyka przesadnej reakcji oraz przygotowania do aneksji pomimo wszelkich wysiłków Waszyngtonu, aby temu zapobiec". Jak podkreśla: „[…] obecna sytuacja stawia przed stosunkami białorusko-rosyjskimi wyjątkowe wyzwania. Rosnące obawy o bezpieczeństwo związane z wojną na Ukrainie, niepewność co do sukcesji po Łukaszence oraz ocieplenie stosunków między Stanami Zjednoczonymi a Białorusią mogą doprowadzić Kreml do wniosku, że bezpieczeństwo Rosji wymaga formalnej aneksji Białorusi w ciągu najbliższych dwóch lat. Taki krok miałby dalekosiężne konsekwencje dla relacji Rosji ze Stanami Zjednoczonymi i Europą, niezależnie od tego, czy aneksja przebiegałaby stopniowo, poprzez włączenie białoruskich instytucji do rosyjskiego systemu administracyjnego, czy też gwałtownie, siłą. W obu scenariuszach stabilność na granicy rosyjsko-zachodniej, rozciągającej się od Morza Barentsa do Morza Czarnego, byłaby dodatkowo zagrożona, a skutki byłyby najbardziej odczuwalne w państwach NATO graniczących z Białorusią: Łotwie, Litwie i Polsce". Autor zwraca uwagę, że Trump od roku stopniowo odnawia relacje z Białorusią, by wzmocnić autonomię tego kraju. A tym samym ograniczyć możliwość Rosji wykorzystywania Białorusi do wywierania presji na wschodnią flankę NATO. „Waszyngton musi jednak działać ostrożnie. Wyzwaniem jest ograniczenie wpływów Rosji na Białorusi bez prowokowania jej do formalnej aneksji kraju, a jednocześnie przygotowanie się na taką ewentualność".

Analiza Grahama pokazuje, że pełna aneksja Białorusi przez Rosję nie byłaby dla Kremla skokiem jakościowym, lecz raczej formalizacją procesu, który w dużej mierze już trwa. Autor pisze wprost, że „pod wieloma względami stopniowa aneksja stanowi logiczny punkt końcowy obecnej trajektorii stosunków białorusko-rosyjskich", a Rosja od lat „stopniowo akumulowała władzę i wpływy na Białorusi". Z punktu widzenia Polski najważniejsze jest to, że według Grahama Białoruś już dziś przestała być klasycznym państwem neutralnym czy nawet samodzielnym strategicznie. Autor podkreśla, że „Rosja wykorzystuje ten kraj jako wysuniętą bazę operacyjną do projekcji siły na Ukrainę i Europę", a także rozmieściła tam taktyczną broń jądrową. Oznacza to, że w sensie wojskowym znaczna część funkcji państwa białoruskiego została podporządkowana rosyjskiej strategii militarnej. Terytorium Białorusi służy rosyjskiej logistyce, szkoleniu, projekcji siły oraz naciskowi

eprasa.pl f114f6759d

psychologicznemu na wschodnią flankę NATO. W praktyce Polska już dziś graniczy nie tylko z Białorusią Łukaszenki, lecz także z rosyjskim obszarem operacyjnym.

» Protektorat wojskowy Rosji

Graham uważa jednak, że istnieje różnica między dominacją a formalną aneksją. Obecny model nadal daje Moskwie pewne korzyści strategiczne, ponieważ „utrzymanie Białorusi jako bufora zmniejsza ryzyko bezpośredniego konfliktu zbrojnego z siłami NATO". Formalne włączenie Białorusi do Federacji Rosyjskiej oznaczałoby likwidację tej strefy pośredniej. Dla Polski skutki byłyby fundamentalne. Graham podkreśla, że „formalna aneksja Białorusi przez Rosję rozszerzyłaby jej wpływy na zachód, w głąb Europy, zwiększając bezpośrednie zagrożenie dla Łotwy, Litwy i Polski". Kluczowym elementem byłby tu przesmyk suwalski. Autor zaznacza, że Rosja „byłaby w stanie wywierać większą presję na przesmyk suwalski", czyli wąski pas na granicy polsko-litewskiej, oddzielający obwód królewiecki od reszty Rosji. Z militarnego punktu widzenia oznaczałoby to możliwość szybszego skoncentrowania rosyjskich sił na granicach NATO i skrócenie czasu reakcji państw zachodnich. Graham pisze wręcz, że rosyjska obecność wojskowa w zachodniej Białorusi „skróciłaby harmonogram decyzyjny Zachodu w przyszłym kryzysie". Dla Polski oznaczałoby to konieczność utrzymywania permanentnie podwyższonej gotowości wojskowej oraz dalszego wzmacniania infrastruktury NATO na wschodzie kraju.

Jednocześnie analiza pokazuje, że pełna aneksja nie musi oznaczać klasycznej inwazji. Graham opisuje scenariusz „pełzającej aneksji", polegającej na „stopniowej erozji suwerenności Białorusi: przyjęciu rubla rosyjskiego, pełnej integracji służb bezpieczeństwa, rosyjskiej kontroli nad mediami i edukacją". W praktyce wiele z tych procesów już zachodzi. Białoruskie bezpieczeństwo strategiczne jest zależne od Rosji, gospodarka pozostaje silnie związana z rosyjską, a aparat siłowy Łukaszenki po 2020 roku przetrwał głównie dzięki wsparciu Kremla. Dlatego można argumentować, że Białoruś nie jest dziś częścią Rosji formalnie, lecz w wielu wymiarach funkcjonuje jako rosyjski protektorat wojskowo-polityczny.

Z perspektywy Warszawy szczególnie niepokojący jest fragment, w którym Graham przewiduje, że po aneksji „Polska i państwa bałtyckie niemal na pewno domagałyby się zwiększonej obecności NATO w swoim regionie". To oznacza, że amerykański analityk zakłada trwałą militaryzację wschodniej flanki oraz długoterminową konfrontację strategiczną między Rosją a NATO. Polska stałaby się jeszcze ważniejszym zapleczem logistycznym i operacyjnym Sojuszu. Najważniejszy wniosek Grahama brzmi więc paradoksalnie: formalna aneksja mogłaby niewiele zmienić w kwestii realnej kontroli Rosji nad Białorusią, ale radykalnie zmieniłaby architekturę bezpieczeństwa Europy. Dziś Moskwa kontroluje Białoruś pośrednio i korzysta z jej statusu bufora; po aneksji granica rosyjska przesunęłaby się politycznie i wojskowo bezpośrednio pod Białystok i Suwałki. Dla Polski oznaczałoby to przejście od sytuacji „zagrożenia pośredniego" do trwałego sąsiedztwa z rozszerzonym rosyjskim teatrem operacyjnym.

» Polska odpowiedź na aneksję Białorusi przez Rosję

Udana prowokacja Zełenskiego wobec Polski (nadanie jednej z ukraińskich jednostek sił zbrojnych imienia „Bohaterów UPA – przyp. red.) pokazuje, iż ekipa Tuska nie ma zwartej, długofalowej strategii wobec Ukrainy. Ale też nie jesteśmy zupełnie przygotowani na to, co sugeruje Graham – realną możliwość siłowej aneksji Białorusi przez Rosję nawet w perspektywie dwóch lat. Jak zauważa ten wpływowy

eprasa.pl f114f6759d

analityk CERF: „Nagła aneksja byłaby o wiele bardziej destabilizująca niż stopniowa. Mogłaby wywołać opór społeczny na Białorusi, w tym wśród białoruskiego wojska, i skłonić Ukrainę do ataków na cele na Białorusi, gdy formalnie stałyby się częścią rosyjskiej machiny wojennej. Przymusowa aneksja, zwłaszcza przeprowadzona z widoczną brutalnością, mogłaby spowodować masowy exodus humanitarny w kierunku Łotwy, Litwy i Polski, znacznie zwiększając napięcia wzdłuż granic NATO i zwiększając ryzyko incydentów, które mogłyby wciągnąć w konflikt siły sojuszu". Dlatego Polska powinna stale monitorować sytuację i ścisłe współpracować z USA w kwestii białoruskiej i rosyjskiej.

Niestety, istnieje daleko idące niezrozumienie rządu 13 grudnia skali zagrożeń, a także prowadzonej przez Trumpa polityki wobec Białorusi. Ekipa Tuska, po skali dewastacji instytucji państwa polskiego, jest teraz skupiona wyłącznie na utrzymaniu się za wszelką cenę u władzy, aby nie ponieść odpowiedzialności karnej za skalę nadużyć i łamania prawa. A to powoduje, że nie jesteśmy przygotowani na gwałtowne przyspieszenie wydarzeń na Białorusi. Zamiast tego ekipa Tuska wspiera wypychanie USA z Europy przez Niemcy i Francję i podporządkowuje swoje bezpieczeństwo interesom Berlina.

Graham uważa też, iż siłowa aneksja Białorusi potężnie uderzyłaby w NATO, które utknęłoby na próbach wypracowywania skutecznej odpowiedzi. Jego zdaniem wywołałaby ona prawdziwe tsunami w przestrzeni byłego Związku Sowieckiego, szczególnie w Armenii, Gruzji i Mołdawii, które zwróciłyby się do USA i Europy o wsparcie w obliczu potencjalnej agresji. Także Polska – zdaniem Grahama – domagałaby się radykalnego zwiększenia obecności NATO-wskich sił na swoim terytorium. Jego zdaniem „Aneksja skutecznie uniemożliwiłaby [...] jakiekolwiek wynegocjowanie porozumienia w sprawie bezpieczeństwa dla Europy w dającej się przewidzieć przyszłości".

A Kreml wywiera coraz większą presję strategiczną na Polskę i NATO. Jej elementem jest prężenie nuklearnych muskułów. Od 19 do 21 maja br. jądrowy strategiczny i taktyczny komponent rosyjskiej armii ćwiczył z białoruskimi siłami użycie taktycznej broni jądrowej. Analitycy OSW – Andrzej Wilk, Witold Rodkiewicz i Kamil Kłysiński – trafnie zauważają, że politycznym celem ćwiczeń było „przywrócenie poczucia strachu wśród europejskich elit i przekonanie ich, że kontynuowanie dostarczania broni Ukrainie doprowadzi do konfliktu zbrojnego z Federacją Rosyjską, w którym ta ostatnia użyje broni nuklearnej". Ten aspekt jest kluczowy dla Polski. Rosja buduje bowiem wokół Białorusi model tzw. coercive nuclear signaling – nuklearnego szantażu politycznego. Chodzi nie tylko o zdolność użycia broni, lecz także o trwałe oddziaływanie psychologiczne na decyzje NATO. Z perspektywy Moskwy Białoruś staje się wysuniętym bastionem odstraszania nuklearnego wobec Polski, państw bałtyckich i częściowo Niemiec. Samo bowiem rozmieszczenie rosyjskiej broni nuklearnej na Białorusi jest de facto częściową aneksją wojskową. Nie chodzi wyłącznie o obecność głowic, lecz o podporządkowanie białoruskiego terytorium rosyjskiej logice strategicznej – to już nie tylko baza operacyjna, lecz wręcz element rosyjskiego systemu odstraszania jądrowego skierowanego przeciw NATO, w tym głównie Polsce. W praktyce oznacza to, że decyzje o użyciu lub rozmieszczeniu tej broni pozostają całkowicie poza kontrolą Mińska. Łukaszenka może uczestniczyć w ceremoniale politycznym, ale realna kontrola nad arsenałem pozostaje rosyjska.

Tak wygląda klasyczny model podporządkowania strategicznego. Dla bezpieczeństwa militarnego Polski oznacza to radykalne skrócenie czasu ostrzegania i czasu reakcji. Systemy Iskander rozmieszczone na Białorusi mogą razić cele na niemal całym terytorium Polski w ciągu kilku minut... ■

eprasa.pl f114f6759d

Katarzyna Gójska

TRZY PANNY, TRZECH NARZECZONYCH

eprasa.pl f114f6759d

FOT. WIKIPEDIA

Do pokoju wdrapała się przez okno. Stopy stawiała tak, by nie deptać ciał. Pod ścianą, blisko szafy zobaczyła uniesioną niemowlęcą dłoń.

Podkamień 2006 rok. Małe miasteczko, poprzecinane ulicami. Każdy dom otacza bogato obsadzony warzywniak. Na chodnikach niewielu przechodniów. Nawet koło sklepu nie widać większego ruchu. Jest kilka urzędów, szkoła i niedawno postawiony pomnik UPA. Próżno szukać miejsca poświęconego największej tragedii, jaka dotknęła Podkamień w czasie wojny. O tym wydarzeniu głośno dziś mówić tu nie wypada. Jadwigę, Irenę i Marię podkamieńskie piekło połączyło do końca życia. W nim przepadli ich najbliżsi i przyjaciele. Przez wiele lat tłamsiły w sobie wojenne wspomnienia. Teraz po raz pierwszy od półwiecza rozmawiały o nich szczerze.

» Maria. Palikrowy, 1944 rok

W podkamieńskim klasztorze przeżyła konfirmację. Przychodziła tu z rodzicami w każdą niedzielę na mszę świętą, jak inni z niewielkich Palikrów. Wioska była w większości polska, mieszkało też kilka rodzin ukraińskich. Ale swoi byli. Ludzie świętowali podwójnie – grekokatoliccy Ukraińcy odwiedzali swoich rzymskokatolickich sąsiadów w ich święta, a później zapraszali na swoje.

Robili ze sobą interesy, pomagali w pracy, zakochiwali się w sobie. Na pytanie o zatargi, Maria kręci głową. „U nas?" – pyta i odpowiada z dumą: – Tu była zgoda. W czasie wojny żaden z palikrowskich Ukraińców nie poszedł do UPA. Za to każdy, jak sąsiedzi Polacy, wybudował sobie schron na podwórzu i krył się w nim przed Ukraińską Armią Powstańczą.

O nadciągającym nieszczęściu dowiedzieli się od uciekających z Wołynia polskich rodzin. A te opowiadały o takim bestialstwie, że na początku palikrowiczanie traktowali je z przymrużeniem oka. Pomagali, ale nie do końca

eprasa.pl/f/14f6759d

dawali wiarę relacjom. Wkrótce życie samo uwiarygodniło te świadectwa.

Marzec 1944 roku rozpoczął się niespokojnie. Zewsząd dochodziły wieści o napadach na wsie. Palikrowy czekały na swoją kolej. Ludzie każdej nocy kryli się w schronach. Przygotowywali tobołki z jedzeniem na wypadek nagłej ucieczki. Wiedzieli, że w nieodległym Podkamieniu klasztor zamieniono w twierdzę – przybywali tu dawni mieszkańcy Wołynia, nieraz z całym dobytkiem. Pewnego popołudnia również rodzice Marii zdecydowali, że wraz z dziećmi przenocują w klasztorze. Rankiem wrócili jednak do swoich. „A może nic już nie będzie" – dodawali sobie otuchy.

11 marca przez Palikrowy przeszła hiobowa wieść. „Podkamieński klasztor okrążyli banderowcy" – wspomina Maria. Co rusz dochodziły nowe informacje. Nikt nie mówił o niczym innym. Jedni twierdzili, że Ukraińcy już wdarli się za mury, inni, że zostali odparci, jeszcze inni – że sami odstąpili od natarcia i wzięli klasztor na przeczekanie.

Był środek dnia, kiedy w Palikrowach usłyszano huk pędzących wozów. Maria pamięta rozpaczliwy głos matki wołającej ją do schronu. Nie posłuchała, wraz z innymi dziećmi pobiegła na łąkę. Złapali wszystkich. Wpadali na podwórka i szukali kryjówek – wypędzali z nich każdego: i Ukraińców, i Polaków. Całą wieś pognali na łąkę graniczącą z lasem. Maria w tłumie dostrzegła rodziców, siostrę i szwagra. Stała razem z ukraińską koleżanką i kurczowo trzymała ją za rękę. Wkrótce okazało się, że po stronie oddziału UPA, który zaatakował Palikrowy, stanęły trzy młode dziewczęta. „Później dowiedzieliśmy się, że każda miała tam narzeczonego" – wspomina Maria. Panny dzieliły swych bliskich i sąsiadów: Polak na lewo, Ukrainiec na prawo. Maria skorzystała z chwili zamieszania i wraz z przyjaciółką Ukrainką przeszła na jej – bezpieczną – stronę. Podobnie uczyniło kilka innych osób. A ukraińscy sąsiedzi nie zdradzili ich obecności. Tymczasem polską część wsi banderowcy zapędzili pod las. Starali się ustawiać przerażonych ludzi w rzędy, ale mało kto poddawał się tej musztrze. Rozpoczęła się strzelanina. Ofiary padały na ziemię. Gdy jedni napastnicy dobijali ostatnich palikrowian, inni już obdzierali ciała z butów i kożuchów. Ukraińską część mieszkańców Palikrów nadal trzymano na muszce. W pewnym momencie jedna z denuncjatorek wskazała palcem na tulącą się do koleżanki Marię. Uzbrojony mężczyzna ruszył w stronę dziewczynki. Pomylił się i chwycił za rękę małą Ukrainkę.

„Przeżegnaj się i zmów pacierz!" – ryknął. Cichym głosem wyrecytowała modlitwę w swoim języku. To ją uratowało. Maria nie pamięta, jak długo stała i czekała. Gdy w końcu huczące wozy znikły im z oczu, pobiegli w stronę lasu, ku plątaninie nagich powywracanych ciał. Okazało się, że wiele osób jedynie upozorowało śmierć. Wygrzebywali się spod trupów bliskich i sąsiadów. Masakrę przeżyli rodzice Marii. Kula śmiertelnie ugodziła jej siostrę i szwagra. Tylko nieliczni ocaleni zdecydowali się pozostać w Palikrowach. Większość zabrała to, czego nie zrabowali mordercy, i ruszyła na Zachód. Później w ramach repatriacji osiedliła się w nowej Polsce. Rodzina Marii pozostała na ojcowiźnie. Po wojnie Maria z mężem przeniosła się do pobliskiego Podkamienia. Niedaleko od niej mieszka znajoma z Palikrów – ta sama, która wskazała ją jako Polkę tuż przed masakrą.

» Irena. Podkamień, 1944 rok

Urodziła się w mieszanej rodzinie – mama była Polką, ojciec Ukraińcem. Wedle powszechnie stosowanego zwyczaju została ochrzczona w kościele, a bracia w cerkwi

eprasa.pl f114f6759d

greckokatolickiej. Święta obchodzili podwójnie. Każde były równie ważne i równie huczne. W marcu 1944 roku, gdy w podkamieńskim klasztorze rozgrywała się tragedia, Irena była już mężatką. Nadal mieszkała jednak w rodzinnym domu. Pewnego dnia na podwórko wbiegli nieznajomi – mężczyzna i kobieta z kilkuletnim chłopcem. Wyszedł do nich ojciec Ireny. Po chwili zaprosił do środka. Nieznajomi przybyli tu z Wołynia. Uciekli po tym, jak zamordowano ich sąsiadów. Nie chcieli być następni. Tułali się po ludziach, aż przybyli do podkamieńskiego klasztoru. Wraz z innymi barykadowali drzwi świątyni. Później uciekli przez okno. Zostawili w klasztorze cały swój dobytek, zabrali dosłownie kilka ubrań. Gospodarze obiecali im pomóc. W stodole urządzili tajny schron dla dwojga dorosłych, ich syn zamieszkał w domu rodziców Ireny. Udawali, że jest ich najmłodszym dzieckiem. By zminimalizować ryzyko wpadki, chłopcu nie powiedziano, co się stało z jego matką i ojcem. Zobaczył ich dopiero, gdy do Podkamienia wkroczyli Rosjanie.

W następnych dniach z podkamieńskiej świątyni uciekało coraz więcej ludzi. Szukali schronienia na peryferiach miasteczka, ale mało kto odważył się wówczas udzielić im pomocy. Banderowcy przeczesywali pobliskie lasy. Tych, których tam znaleźli, zaganiali do położonego na uboczu domu. Do stłoczonych w środku ludzi strzelali przez okna. „Opowiadała mi o tym teściowa Ukrainka. Słyszała wszystko, bo mieszkała po sąsiedzku" – wspomina dziś Irena. Po dwóch dniach odważyła się tam podejść. To, co wówczas zobaczyła, prześladowało ją do końca życia – obryzgane krwią ściany, podłoga zasłana trupami. Chciała stamtąd uciec, ale usłyszała płacz dziecka. Przez okno wdrapała się do pokoju. Stopy stawiała tak, by nie deptać ciał. Pod ścianą, blisko szafy, zobaczyła uniesioną niemowlęcą dłoń. Wyciągnęła maleństwo i zabrała je do domu. Po kilku tygodniach po dziecko zgłosili się krewni jego rodziców.

» Jadwiga. Klasztor, 1944 rok

Był sobotni poranek. Jadwiga umyła włosy. Usiadła przy kuchni, by szybciej wyschły. W szybę zapukała jej koleżanka. Jadwiga skinieniem zaprosiła ją do środka.

– Nie uciekacie? – zapytała. – Tłumy ludzi ciągną do klasztoru – tłumaczyła, nie czekając na odpowiedź gospodyni. Wiśka chciała od razu lecieć, ale rodzice nie pozwolili. Tłumaczyli, że bezpieczniejsza będzie kryjówka w lesie. Ale dziewczyna nie posłuchała. Poszła do klasztoru. Była jedną z ostatnich, którym udało się dostać za bramę świątyni. Chwilę później kierujący obroną ksiądz wraz z bardziej aktywnymi mężczyznami postanowili rozpocząć budowę barykad. Brali wszystko, co mogli przytargać: meble, worki ze zbożem, ławki. Na klasztornym dziedzińcu stały krowy, kozy i konie. Wokoło biegały tuziny płoszonych co chwila kaczek i kur. Cały majątek uciekinierów z Wołynia. W kościele rozpoczęły się spowiedzi. Trwało niekończące się nabożeństwo. Jadwiga wraz z koleżanką noc spędziły skulone za ołtarzem. Prawie w ogóle nie zmrużyły oczu. O świcie dziewczyny podeszły do okna, w kilku innych już stali nastoletni chłopcy. Padły na podłogę wystraszone hukiem wystrzału. Kilka metrów dalej osunął się na ziemię młody chłopak – kula ugodziła go w klatkę piersiową. W klasztorze zawrzało. Jedni kipieli chęcią do walki, inni truchleli ze strachu o swój los. Po kilku minutach pod główną bramą kościoła stanął mężczyzna. Krzyczał do pilnujących wrót czystą polszczyzną. „Rozpoznaję go od razu, bo to był mój wuj Emil Siemniak" – tłumaczy Jadwiga. Banderowcy zrobili z niego swojego posłańca, choć człowiek

eprasa.pl f114f6759d

ledwo rozumiał po ukraińsku. Komunikat brzmiał: otwórzcie klasztor, a nic złego się wam nie stanie. Jeśli nie odryglujecie, to niemieckie samoloty zrzucą na was bomby. Ale ci z Wołynia nie dali wiary zapewnieniom. Wraz z księdzem kierującym obroną odesłali posłańca z kwitkiem. Po pół godzinie UPA znowu wysłała Siemniaka pod mury klasztoru. A gdy i tym razem nic nie wskórał, rozległy się strzały. Na klasztorny dziedziniec wpadło kilka granatów. Broniący się odpowiedzieli strzałami z karabinów. Zamieszanie nie trwało dłużej niż kwadrans. Skończyło się równie szybko, jak się zaczęło. Kilkanaście osób postanowiło wykorzystać chwilę spokoju i uciec. Jakiś mężczyzna wyskoczył przez okno, kilku innych przeciskało się kanałami ściekowymi. Jadwiga zdecydowała się na ucieczkę. Razem ze znajomymi chłopcami związała linę z ręczników.

Po niej zsunęła się za klasztorne mury i pędem pobiegła w stronę domu. Po drodze spotkała znajomego. „Dziecko nie leć do domu, tam biją, kryj się w lesie!" – krzyknął. Ale nie skręciła. Rodziców zastała pogrążonych w płaczu. Byli pewni, że już nie zobaczą córki. Sąsiadów stracili minionej nocy. Nie chcieli czekać na swoją kolej. Jadwiga pomogła matce spakować kilka najpotrzebniejszych ubrań. Pobiegli do mieszkających nieopodal znajomych, którzy przyjęli niemieckie obywatelstwo. Poprosili o schronienie. „Niech was Bóg prowadzi, uciekajcie do lasu, bo i nas przy was zatłuką" – powiedział gospodarz. Ale w lesie aż szumiało od przeczesujących okolicę żołnierzy UPA.

Wrócili zatem do domu. Ojciec Jadwigi zarządził, że schowają się w ziemiance. Wejście do niej znajdowało się w kuchni, a wyjście poza domem. Cała rodzina i dwie napotkane pod lasem kobiety – uciekinierki z Wołynia, które podobnie jak Wiśka wydostały się z klasztoru – weszły do piwnicy. Ojciec naciągnął na kuchenny właz chodnik i bambetel, czyli drewnianą kanapę. Zdążyli zakończyć maskowanie, a na podwórzu padły pierwsze strzały. Słyszeli chodzących po domu mężczyzn. Na szczęście nie udało im się odnaleźć kryjówki.

Rodzina spędziła w piwnicy całą noc. Rankiem Jadwiga usłyszała nawoływania koleżanki. Nie wyszła. Ojciec obawiał się, że to tylko podstęp. Wygramolili się z ziemianki już po zapadnięciu zmroku. Jeszcze przez najbliższy tydzień nie nocowali w domu. Spali w sadzie, w lesie. Wieczorami podchodzili pod domy mieszkających nieopodal bliskich i przyjaciół. Nikt już nie żył.

Gdy zrobiło się bezpieczniej, Wiśka zaczęła wypytywać o swojego narzeczonego, Stacha z Palikrów. Odwiedził ją dzień przed feralną sobotą, w którą pobiegła do klasztoru. Rozmawiał z jej rodzicami, ustalili, że za tydzień, elegancko ubrani, pójdą na plebanię i dadzą na zapowiedzi. Ojciec Wiśki nalegał, by przyszły zięć nie wracał do domu po ciemku. Zaproponował nocleg i wytłumaczył, że żadnego wstydu nie będzie z tego. Ale chłopak był honorowy. Zaklinał się, że sobie poradzi. Poszedł. Od tamtej pory słuch po nim zaginął. Po kilku dniach Wiśka dowiedziała się, że Stanisław nie żyje. Banderowcy złapali go gdzieś po drodze i zawlekli do organistówki.

Męczyli chłopca długo, zanim umarł, a wraz z nim jeszcze kilku innych nieboraków. Zabili też organistę i jego żonę. Sprawa może na zawsze pozostałaby tajemnicą, gdyby nie Żydzi, którym organista urządził w swoim domu kryjówkę. Gdy do Podkamienia weszło wojsko, oni ledwo żywi wydostali się ze schronu i opowiedzieli o okropnościach, których byli świadkami. ■

Reportaż został po raz pierwszy opublikowany w tygodniku „Gazeta Polska" w 2006 roku.

eprasa.pl f114f6759d

Małgorzata Matuszak

Czym jest... ekonomia uwagi

Ekonomia uwagi" jest pojęciem stosunkowo młodym, pojawiło się ono bowiem w drugiej połowie XX wieku, opisując zjawisko, które w ostatnich latach nabrało szczególnego znaczenia. Podwaliny pod to pojęcie położył Herbert A. Simon, który zauważył, że „bogactwo informacji tworzy ubóstwo uwagi": im więcej informacji jest dostępnych, tym bardziej ograniczona staje się zdolność człowieka do ich przyswajania i świadomego wybierania. Najcenniejszym zasobem nie są zatem już dzisiaj same informacje, lecz ludzka zdolność do skupienia i poświęcania czasu określonym treściom.

Ekonomia uwagi znajduje zastosowanie w wielu dziedzinach życia. Jest obecna w marketingu, mediach społecznościowych, edukacji, polityce i kulturze. Platformy cyfrowe konkurują o zainteresowanie użytkowników, a projektowanie aplikacji, stron internetowych czy przekazów medialnych coraz częściej podporządkowane jest temu, by przyciągać uwagę i zatrzymywać ją jak najdłużej. W rezultacie ludzka koncentracja stała się źródłem wartości ekonomicznej.

Jednak ekonomia uwagi nie jest wyłącznie teorią dotyczącą współczesnych mediów czy owych technologii, w głębszym bowiem sensie dotyka jednego z najważniejszych pytań: jakim człowiekiem stajemy się poprzez to, czemu poświęcamy swoje życie? Uwaga nie jest wszak czymś neutralnym. To, na czym zatrzymujemy wzrok, myśli, czas, pozostawia w nas swój ślad, stopniowo nas kształtując. W tym sensie uwaga nie jest jedynie zasobem psychicznym, lecz także egzystencjalnym, sposobem rozdysponowywania własnego życia. Można nawet powiedzieć: powiedz mi, czemu poświęcasz uwagę, a powiem ci, kim jesteś.

Ponieważ czasu nie można odzyskać, każda chwila poświęcona czemuś jest zarazem chwilą odebraną czemuś innemu. Człowiek zawsze coś wybiera, a przez to – świadomie bądź nie – określa samego siebie. W tym sensie ekonomia uwagi staje się również problemem etycznym. Jeśli to, co przyciąga naszą uwagę, wpływa bowiem na sposób myślenia, przeżywania i działania, to pytanie o uwagę staje się zarazem pytaniem o dobre życie. Od starożytności wszak filozofowie podkreślali znaczenie nawyków i codziennych wyborów. Arystoteles uważał, że człowiek nie staje się dobry dzięki pojedynczym czynom, lecz poprzez wielokrotnie powtarzane działania. Podobnie można powiedzieć, że człowiek staje się tym, czemu konsekwentnie poświęca swoją uwagę. To, co zajmuje nasze myśli, wpływa na naszą wrażliwość, charakter i sposób postrzegania świata.

Być może odpowiedzialność za własną uwagę staje się jednym z najważniejszych wymiarów odpowiedzialności moralnej w XXI wieku. I nie chodzi tu o to, że każda chwila musi być wykorzystana maksymalnie, lecz o przypomnienie, że każda chwila jest niepowtarzalną częścią naszego życia, a życie – w ostatecznym rozrachunku – składa się właśnie z tego, czemu poświęciliśmy czas. Ekonomia uwagi przypomina nam, że warto troszczyć się o to, by nie roztrwaniać jej na to, co przypadkowe i powierzchowne, lecz świadomie kierować uwagę ku temu, co nas rozwija i nadaje sens naszemu życiu. ■

eprasa.pl f114f6759d

Sowiecki przemysł zbrodni

OPERACJA ANTYPOLSKA NKWD 1937–1938

Tomasz Panfil

Rosyjskiego i sowieckiego okrucieństwa naród polski doświadczał wielokrotnie. Usiłując zrozumieć trwające przez wieki rosyjskie dążenie do eksterminacji Polaków, szukaliśmy przyczyn tej postawy w ciemnej stronie duszy i ludzkiego umysłu. Uznaliśmy, że Rosjanie po prostu nas, Polaków i Polski, nienawidzą. Szukając przyczyn tej nienawiści, dochodzili Polacy do motywu zemsty. Nienawidzą nas, bo jako jedyni zdobyliśmy Moskwę i dwa lata stacjonowaliśmy na Kremlu, bo nie dawaliśmy się brać na gładkie słówka o wspólnocie słowiańskiej, słowiańskiej misji dziejowej, panslawizmie i buntowaliśmy się przeciwko rosyjskiemu panowaniu nieustannie i konsekwentnie. Bo w 1920 roku odrzuciliśmy z przekonania i z mocą uwodzicielskie hasła rewolucji bolszewickiej o sprawiedliwości i równości, tak jak wcześniej odrzucaliśmy slogany o braterskiej wspólnocie Słowian.

eprasa.pl f114f6759d

Stworzyliśmy teorię, że nienawiść rosyjska do Polaków i Polski jest nienawiścią więźnia do człowieka wolnego, nienawiścią tym mocniejszą, że połączoną ze strachem przed wolnością i prawdą. Bo przecież imperium rosyjskie było „więzieniem narodów", jak stwierdził w 1839 roku podróżujący po imperium carów markiz Astolphe de Custine. Imperium sowieckie od chwili powstania opierało się na kłamstwie, zniewoleniu i strachu. W ten sposób kolejne hipostazy rosyjskiej państwowości stały się w polskich oczach zaprzeczeniem kultury rzymsko-chrześcijańskiej, którą tworzą w ujęciu świętego Pawła trzy cnoty: wiara, nadzieja i miłość. Antycywilizację rosyjsko-bolszewicką tworzyły kłamstwo, strach i nienawiść.

Wypada jednak dopuścić możliwość, że jest jeszcze gorzej. Nienawiść, mimo całej swej niszczycielskiej mocy, jest uczuciem ludzkim. Tymczasem największe prześladowanie Polaków, rozpoczęte z rozkazu Stalina w 1937 roku, było operacją przemysłową – zarówno w założeniach, jak i we wdrożonych procedurach. Ludzie poddani represjom traktowani byli przez sowieckich oprawców w sposób absolutnie zdehumanizowany. Polacy pozbawieni przez NKWD ludzkiej godności byli pozycjami w wykazach, byli „brudem", który należało usunąć.

» O zaostrzaniu się walki w miarę postępów w budowie komunizmu…

Klęska poniesiona przez bolszewicką Rosję w wojnie z Polską zbiegła się w czasie z zupełnym upadkiem rosyjskiej gospodarki. W 1921 roku Lenin ratując ekonomię – czyli w myśl teorii marksistowskiej bazę ustrojową – zarządził rozpoczęcie Nowej Ekonomicznej Polityki (NEP). Rozpoczęto wprowadzanie elementów kapitalizmu do gospodarki „socjalistycznej". NEP-owi towarzyszyła polityka tzw. korenizacji, czyli uwzględniania kryteriów etnicznych w zarządzaniu mniejszymi, nierosyjskimi republikami. Dopuszczano do użytku języki narodowe. Wśród republik sowieckich były również dwie polskie: Marchlewszczyzna na Białorusi i Dzierżyńszczyzna na Ukrainie.

W republikach tych polskie dzieci uczyły się języka polskiego z elementarzy wzorowanych na doskonałym elementarzu Mariana Falskiego. Ale w miejscach, gdzie dzieci w wolnej Polsce w swoich elementarzach miały zdania: „To jest dom i sad. To dom i sad Ali. Tam daleko stoi dom. To dom taty i mamy Ali", dzieci w sowieckich republikach polskich czytały: „To sad komuny. Tam daleko pola komuny Lenina. To komuna Lenina".

I NEP, i korenizacja skończyły się, gdy po śmierci Lenina w 1928 roku władzę objął Josif Stalin. Na jego polecenie likwidowano elementy kapitalizmu, przeprowadzając kolektywizację rolnictwa i przyspieszoną industrializację, rozbudowując przemysł ciężki i zbrojeniowy, a lekceważąc zupełnie przemysł lekki produkujący dobra konsumpcyjne. Efektem brutalnych działań prowadzonych przez NKWD był Wielki Głód (1930–1932). Gdy w miejsce prywatnych gospodarstw utworzono niewydolne kołchozy i sowchozy, produkcja rolna drastycznie spadła, więc władze centralne rozpoczęły konfiskatę ziarna i inwentarza żywego. Nie było czym obsiać pól – na żyznej Ukrainie z głodu umarło od 6 mln do 9 mln ludzi, liczba ofiar głodu na Kubaniu i w republikach azjatyckich jest nieznana.

» Wielki terror

Następnie Stalin, by ostatecznie zniszczyć stary ład i uformować nowego, sowieckiego

FOT. ARCH.SSSS

eprasa.pl f114f6759d

człowieka, postanowił pozbyć się konkurentów do władzy. Wielki terror ruszył w 1936 roku: pokazowe procesy starych bolszewików z Zinowiewem i Bucharinem na czele, kończące się wyrokami śmierci, potem bezwzględna czystka wśród wyższych oficerów Armii Czerwonej – zamordowano ich około 40 tys. Ostatnim aktem stalinowskiego formatowania nowego, sowieckiego społeczeństwa była walka z „kułakami", chłopami uparcie tyrającymi na własnych skrawkach ziemi, niedobitkami kolektywizacji. Wydany w lipcu 1937 roku rozkaz 00447 „O operacjach represjonowania byłych kułaków" wyznaczał NKWD limity: należało znaleźć i rozstrzelać 79 950 kułaków, a 193 tys. wysłać do łagrów. Nie przewidywano postępowania sądowego. Nie było zresztą podstaw prawnych – rozkaz aresztowania zastępował całą procedurę. Za realizację operacji odpowiedzialne były „trójki" złożone z funkcjonariuszy NKWD z zarządów rejonowych. Taka metodologia stała się obowiązująca w następnych operacjach.

» Eksterminacje, czystki

W marcu 1937 roku rozstrzelano Bucharina oraz byłego szefa NKWD Gienricha Jagodę. 2 lipca Komitet Centralny WKP(b) podjął decyzję (podpisał ją osobiście Stalin) o likwidacji kułaków, oficerów i urzędników carskich, dawnych oficerów kozackich z Ukrainy, Donu i Kubania, ludzi już raz skazanych za działalność antybolszewicką. Dwa tygodnie później Komitet Wykonawczy ZSRS oraz Rada Komisarzy Ludowych – oczywiście na polecenie Stalina – postanowiły utworzyć specjalne strefy przygraniczne i wysiedlić z nich ludność polskiego pochodzenia. 30 lipca Jeżow wydał rozkaz 00447 rozpoczynający operację „kułacką". Rozkaz wprowadzał specjalną, wybitnie uproszczoną metodę likwidacji całych grup społecznych. Po pierwsze, odgórnie ustalano „kontyngent" ludzi do zabicia. Kontyngent dzielono na poszczególne regiony NKWD – jako plan do wykonania. Miejscowe NKWD musiało znaleźć tylu „winnych", ilu przewidziano w kontyngencie. Funkcjonariusze więc bardzo się starali w obawie, by nimi samymi nie uzupełniono braków. Dla „winnych" – czyli praktycznie wszystkich umieszczanych na listach – przewidywano tylko dwie kary – karę śmierci lub 10 lat łagru. Na przykład funkcjonariusze NKWD w Białoruskiej SRR mieli rozstrzelać 2 tys. kułaków, a 10 tys. odesłać do łagrów, dla Ukraińskiej SRR przewidziano rozstrzelanie 8 tys. kułaków i aresztowanie 20,5 tys. Enkawudziści też chcieli przekraczać plany i rywalizować w morderczej gorliwości w nadziei na premie i nagrody. Pod koniec września ludowy komisarz spraw wewnętrznych USSR napisał do Jeżowa prośbę „o zatwierdzenie dla Ukrainy dodatkowego limitu: dla 1 kategorii 4500 osób oraz dla 2 kategorii – 15 200 osób".

Nikołaj Jeżow, stojący na czele NKWD od września 1936 roku, bardzo starał się przypodobać Stalinowi. Osobiście wydobywał od aresztowanych oczekiwane przez satrapę zeznania – zasłużył sobie więc na przydomek Krwawy Karzeł (miał 153 cm wzrostu). Jedną z jego ofiar był Tomasz Dąbal. Legionista i poseł na Sejm, potem gorliwy komunista, który porzucił Polskę dla „sowieckiego raju", został aresztowany w czasie wielkiej czystki. Na torturach przyznał się, że był dowódcą „Polskiej Organizacji Wojskowej", rzekomej potężnej struktury wywiadowczej z tysiącami agentów ulokowanych we wszystkich instytucjach Związku Sowieckiego.

eprasa.pl f114f6759d

» „Polski brud”

Rozkazem 00485 z 11 sierpnia 1937 roku polecał Jeżow rozpoczęcie operacji niemającej precedensu w krótkich, lecz krwawych dziejach Związku Sowieckiego. W preambule rozkazu Jeżow oznajmiał, że NKWD odkrył „długoletnią i stosunkowo bezkarną… faszystowsko-powstańczą, szpiegowską, dywersyjną, defetystyczną i terrorystyczną działalność polskiego wywiadu w ZSRS”. Ukazywał POW jako wszechpotężną organizację, która przekształciła Komunistyczną Partię Polski w „swoisty dodatek do piłsudczyzny”, opracowała „niszczycielski projekt wysuszenia poleskich bagien… jedyną przeszkodę w natarciu polskiej armii”, a także rozprzestrzeniała w ZSRS choroby infekcyjne „(zapalenie opon mózgowych, anemia, dżuma)… w celu zniszczenia hodowli świń i koni na Białorusi, w wyniku czego tylko w przeciągu 1936 r. w BSRS zdechło ponad 30 tys. koni”.

Rozkaz polecał zatem likwidację Polaków z tego powodu, że są Polakami, a każdy Polak jest wrogiem „ojczyzny proletariatu”, czyli zasługuje na śmierć. W stosunku do Polaków Jeżow nie ustanowił limitów kontyngentów, pozwalając na nieograniczoną eksterminację. Taki rozmach w działaniu pochwalił sam Józef Stalin. Na marginesie sprawozdania Jeżowa z pierwszego etapu ludobójczej czystki na Ukrainie sowiecki satrapa napisał własnoręcznie: „Bardzo dobrze! Kopcie i czyście nadal ten polsko-szpiegowski brud. Niszczcie go w interesie Związku Sowieckiego. J. Stalin 14.09.1937”.

» Zbrodnia ludobójstwa

Wyniki „czyszczenia”: od 25 sierpnia 1937 roku do 15 listopada 1938 roku aresztowano 143 810 Polaków, za winne uznano 139 835 osób, więc na karę śmierci skazano (i zabito) 111 091, na 10 lat łagru skazano 25 967, na 8 lat – 2224, na 3 lata – 153 osoby, na zsyłkę – 400. Dodatkowe śledztwo wdrożono wobec 3995 osób, a uniewinniono… 40. Przed każdą z tych liczb musi znajdować się słowo „co najmniej” – bowiem stowarzyszeniu „Memoriał” badającemu operację antypolską NKWD udało się dotrzeć tylko do części dokumentów przechowywanych w archiwum NKWD na Łubiance. Potem dostęp został zamknięty. Zatem nie wiemy, czy ustaloną liczbę 111 091 zamordowanych Polaków należy pomnożyć przez dwa, czy trzy. A może przez pięć lub siedem?

O los polskich dzieci osieroconych przez zamordowanych rodziców zatroszczył się Jeżow w rozkazie 00486: „Niebezpieczne społecznie dzieci skazanych, w zależności od wieku, stopnia niebezpieczeństwa i możliwości poprawy, zostają uwięzione w obozach albo koloniach pracy NKWD lub w domach dziecka o specjalnym reżimie prowadzonych przez Ludowe Komisariaty Oświaty republik”.

W listopadzie 1937 roku, obchodząc 20. rocznicę bolszewickiego puczu, Stalin wzniósł toast: „Bezlitośnie zniszczymy każdego, kto swoimi czynami lub myślami – tak, myślami! – zagraża jedności socjalistycznego państwa. Za unicestwienie wszystkich wrogów – ich samych i ich krewnych!”.

Ostatnim akordem operacji antypolskiej był rozkaz nowego szefa NKWD, Ławrientija Berii, z 5 marca 1940 roku, zatwierdzony przez Biuro Polityczne WKP(b). W jego efekcie zamordowano około 22 tys. Polaków przetrzymywanych w obozach w Kozielsku, Starobielsku i Ostaszkowie oraz w więzieniach rozsianych na terenach republik białoruskiej i ukraińskiej. ■

eprasa.pl f114f6759d

Mateusz Matyszkowicz

Duchowe życie Ameryki

eprasa.pl 1214f6759d

Stany Zjednoczone mają 250 lat. Ta rocznica jest przedmiotem istotnych dyskusji w USA. W Polsce ukazała się znakomita synteza dziejów Ameryki, którą napisał prof. Wojciech Roszkowski.

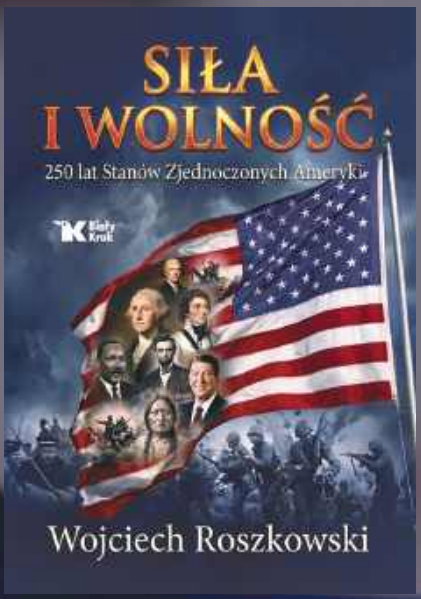

Wojciech Roszkowski, „Siła i wolność. 250 lat Stanów Zjednoczonych Ameryki", wyd. Biały Kruk, Kraków 2026.

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA

Siła i Wolność. 250 lat Stanów Zjednoczonych Ameryki" to książka obszerna, ale w przypadku państwa z historią taką, jaką ma USA, to zaledwie skrót. Wszelako właśnie patrząc na dzieje w takiej syntezie, możemy zobaczyć ich sens. Zwłaszcza jeśli patrzy się na nie nieco z boku. Poza monumentalnymi „Historią cywilizacji amerykańskiej" prof. Zbigniewa Lewickiego oraz pierwszymi tomami historii prezydentów amerykańskich XX wieku autorstwa Piotra Zaremby do czynienia mamy głównie z syntezami pisanymi przez samych Amerykanów, a więc będącymi częścią ich sporów na temat własnych dziejów.

Pisanie takiej syntezy przez Polaka ma jednak sens podwójny. Po pierwsze, fascynujące jest właśnie to oddalenie, życzliwe niezaangażowanie, które sprawia, że dostrzec można więcej niż będąc w środku. Po drugie, niezwykle ciekawe jest zderzenie tych dwóch duchów republikanizmu, polskiego i amerykańskiego, które siłą rzeczy będzie zaznaczać się w takiej książce. Nie chodzi tylko o tzw. polskie wątki w historii USA, które prof. Roszkowski omawia niemal w każdym rozdziale, od pierwszych osadników w Jamestown po wiek XXI. To ważne, ale o wiele ciekawsze jest zderzenie polskiego i amerykańskiego rozumienia państwowości.

eprasa.pl 104f6759d

» Amerykańska rewolucja

Amerykańskie doświadczenie niepodległości bywało później odczytywane przez zderzenie z rewolucją francuską. Tocqueville widział w niej rewolucję lepszą, bo mniej destrukcyjną. Nie dlatego, że Amerykanie byli ludźmi anielskimi, a Francuzi ulegli jakiejś szczególnej skłonności do przemocy. Różnica polegała raczej na tym, że rewolucja amerykańska nie chciała stworzyć człowieka od nowa. Nie była zerwaniem z całą przeszłością, nie była wojną wydaną religii, obyczajowi, rodzinie, własności i lokalnym wspólnotom. Była raczej politycznym usamodzielnieniem się społeczeństwa, które już wcześniej posiadało nawyki wolności.

To właśnie fascynowało Tocqueville'a najbardziej. W Ameryce demokracja nie przyszła wyłącznie z ideologicznego dekretu. Ona wzrastała w gminie, w kościele, w stowarzyszeniu, w sąsiedzkim obowiązku, w praktyce samorządu. Amerykanie nie zaczęli od ogłoszenia, że budują nowy świat na ruinach starego. Oni w znacznej mierze bronili praw, które uważali za swoje dziedzictwo. Ich rewolucja miała więc charakter paradoksalnie konserwatywny: była buntem w imię odziedziczonej wolności.

Francja była dla Tocqueville'a przypadkiem odmiennym. Tam rewolucja uderzyła nie tylko w określony porządek polityczny, lecz także w cały system pośredniczących instytucji, które mogłyby chronić człowieka przed państwem. Stary absolutyzm przygotował teren pod nową centralizację. Rewolucja zniosła monarchię, ale przejęła po niej pokusę zarządzania społeczeństwem z jednego centrum. Dlatego francuska wolność tak łatwo przechodziła w administracyjny przymus, a język praw człowieka – w język politycznej podejrzliwości.

W tym sensie zderzenie Ameryki i Francji jest jednym z najważniejszych sporów nowoczesności. Obie rewolucje mówiły o wolności, ale rozumiały ją inaczej. Amerykańska wolność wyrastała z ograniczenia władzy, z religijnego i obyczajowego samoograniczenia obywateli, z praktyki lokalnej odpowiedzialności. Francuska częściej ciążyła ku wolności rozumianej jako projekt emancypacyjny, który państwo ma przeprowadzić w imieniu abstrakcyjnego ludu. Jedna rewolucja bardziej nie ufała władzy. Druga bardzo szybko zaczęła wierzyć, że władza może ulepić lepsze społeczeństwo.

Dlatego Tocqueville nie pisał po prostu pochwały Ameryki. Jego spojrzenie było przenikliwsze. Widział zagrożenia demokracji: konformizm większości, spłaszczenie ambicji, miękki despotyzm administracji, która nie tyranizuje obywateli wprost, lecz stopniowo oducza ich samodzielności. Ale właśnie dlatego Ameryka była dla niego tak ważna. Pokazywała, że demokracja może istnieć bez rewolucyjnej nienawiści do dziedzictwa. Może być nowoczesna, a jednocześnie zakorzeniona. Może rozszerzać wolność, nie niszcząc wszystkich form życia, które tę wolność czynią znośną.

» Amerykańska wolność

Ameryka wyrosła więc w wolności. Tworzyli ją od początku – czemu prof. Roszkowski poświęca wiele miejsca – uciekinierzy religijni z Wielkiej Brytanii i innych państw ogarniętych religijnymi sporami. Ci uciekinierzy to nie byli po prostu buntownicy ani heretycy, lecz ludzie ogarnięci pragnieniem przełożenia swojej głęboko przeżywanej wiary na rzeczywistość społeczną. Nie potrzebowali teokratycznego państwa. Ich pragnieniem było tworzenie państwa, które pozwalałoby im żyć według zasad uznawanych przez nich za ważne. Jednocześnie państwa, które odbijałoby pierwotne założenia chrześcijańskiej antropologii, w której człowiek

eprasa.pl f114f6759d

jest stworzony przez Boga jako równy innym ludziom.

USA były więc od początku państwem nie teokratycznym, lecz z silnym transcendentnym uzasadnieniem własnego systemu. Założenia te miały na celu obronę podstawowych praw człowieka.

Wśród tych uciekinierów byli także liczni katolicy prześladowani w ojczyźnie, jak choćby w kolonii Maryland. Wszelako w większości protestancki duch pierwotnej Ameryki próbował ten żywioł wypchnąć, co tworzy zauważany przez Roszkowskiego paradoks selektywnej tolerancji religijnej. Podobnie było z niewolnictwem oraz prześladowaniem ludności rdzennej, będącymi skazą na wczesnej historii USA. Ameryka zatem, mimo że stworzona według równościowych zasad i z głęboko religijnym duchem, który miał przynosić wolność, ma swoją grzeszną, brutalną i nieludzką stronę.

Zarazem to w tym duchu powstało państwo silne nie tylko wielkością obszaru, lecz także własną gospodarką. Do Ameryki przybywali ludzie chętni do pokonania wcześniejszych ograniczeń stanowych, pragnący się wzbogacić, inspirowani także protestancką etyką kapitalizmu – tym specyficznym połączeniem pragnienia ekonomicznej siły i realizacji etycznego ideału.

Był to kraj bogaczy, o których autor wiele pisze, a zarazem filantropów, którzy własne bogactwo potrafili przekładać na siłę państwa i społeczeństwa. Tym zdecydowanie różnili się od europejskich, w tym polskich, magnatów, dla których własna potęga ekonomiczna bywała przeciwstawiana sile państwa.

» A Polska?

To wszystko mogłoby się wydawać bardzo różne od polskiego doświadczenia wolności. Niech uchwalone w podobnym czasie konstytucje nas nie zwiodą. Kiedy Stany Zjednoczone się rodziły, Rzeczpospolita umierała. To podstawowy fakt, od którego nie można uciekać. Rzeczpospolita ginęła jako państwo starego porządku, który dla oświeconej nowożytności był zbyt stary, zbyt archaiczny, zbyt feudalny. Stany Zjednoczone rodziły się natomiast jako państwo zupełnie nowe, założone, mające nie mitycznych, lecz z krwi i kości założycieli.

A jednak, jeśli zestawiamy trzy rewolucje: francuską, amerykańską i polską, to mimo oczytania Polaków i Francuzów w tej samej literaturze widzimy, że republikański duch wolności był dość podobny.

Republikańska wolność ma charakter pozytywny. Człowiek staje się wolny nie po to, by jedynie obalić tyranów, lecz po to, by stać się silniejszym. Człowiek staje się religijny także dlatego, by być bardziej wolnym i móc więcej. Te dwa czynniki bardzo zbliżają – mimo wszystkich różnic – Polaków i Amerykanów.

Zresztą historia amerykańska zatacza niezwykle ciekawą pętlę. O ile wśród pierwszych kolonistów było wielu katolików, o tyle późniejsza historia tej cywilizacji od katolicyzmu się dystansowała. Dzisiaj jednak, gdy także z powodu rocznicy Deklaracji niepodległości trwa ponowna dyskusja o charakterze amerykańskiej cywilizacji, widzimy, że głos konserwatywny w USA jest coraz bardziej katolicki. To katolicy mają dziś istotny wpływ na administrację Donalda Trumpa, choćby przez ośrodki takie jak Claremont Institute. Z kolei strona krytyczna wobec niektórych aspektów polityki aktualnych republikanów ma swojego patrona w papieżu Amerykaninie. Można chyba śmiało powiedzieć, że jeszcze nigdy w historii intelektualnej Stanów Zjednoczonych katolicyzm nie był tak istotnym punktem odniesienia, a już na pewno nie był tak pełnoprawnym uczestnikiem sporów. ■

eprasa.pl f114f6759d

Małgorzata Matuszak

Nie o lody tu chodzi. O „paskach”, sprawiedliwości i wychowaniu

Celem wychowywania nie jest wychowywanie dziecka do biało-czerwonego paska na świadectwie. Jest nim wychowanie człowieka, który ani sukcesem nie będzie się pysznił, ani porażką nie pozwoli się zdefiniować.

Darmowy lód dla ucznia ze świadectwem „z paskiem" wydaje się rzeczą błahą. A właśnie ta tradycja, obecna od ćwierć wieku w jednej z pszczyńskich lodziarni, stała się zarzewiem ogólnopolskiej dyskusji. Doszło do tego po tym, jak rzeczniczka praw dziecka zwróciła uwagę, że system nagradzania oparty wyłącznie na ocenach może wzmacniać presję, poczucie wykluczenia oraz przekonanie, że wartość dziecka zależy od szkolnych wyników, sugerując tym samym właścicielce lodziarni zakończenie tej tradycji. Darmowych lodów w tym roku zatem nie było, ale pytania, które akcja ta sprowokowała, pozostaną na dłużej. W gruncie rzeczy w dyskusji, która się wywiązała, nie chodzi bowiem ani o lody, ani nawet o „paski". Pytanie, które wybrzmiewa w tle tej debaty, brzmi: Czy docenianie osiągnięć jednych ludzi nieuchronnie oznacza pomijanie innych i czy każda forma nierównego traktowania jest już niesprawiedliwością?

» Między równością a jednakowością

Wiele głosów pojawiających się w dyskusji odwołuje się do troski o dzieci, które mimo wysiłku nie są w stanie osiągnąć najwyższych wyników. Rzeczywiście, ludzie nie rozpoczynają życia z tej samej pozycji – jedni mają większe zdolności, drudzy zmagają się z chorobami, zaburzeniami, problemami rodzinnymi czy zwyczajnie mniejszymi predyspozycjami w określonych dziedzinach. Z tej perspektywy wyróżnianie tych, którzy mają wyższą średnią ocen, może wydawać się niesprawiedliwe. Jeśli sukces zależy nie tylko od pracy, także od talentu i okoliczności, czy nie krzywdzimy tych, którzy – mimo wysiłku – pozostają w tyle?

Jednocześnie trudno nie zauważyć, że podobna logika podważałaby sens wszelkich nagród, stypendiów, konkursów czy medali. Nie każdy przecież ma talent muzyczny, sportowy czy artystyczny, nie wszyscy są tak samo uzdolnieni matematycznie, językowo czy w jakiejkolwiek innej dziedzinie. Nie jest tak, że wszyscy mają jednakowe predyspozycje intelektualne. Czy to oznacza, że dla dobra wszystkich należałoby zrezygnować z doceniania osiągnięć? Czy szkolny sukces jednego ucznia musi oznaczać porażkę drugiego? I czy nie można cieszyć się osiągnięciami innych, nie odbierając przy tym nikomu poczucia własnej wartości?

Wydaje się, że współczesna kultura coraz częściej utożsamia nierówność z niesprawiedliwością. Tymczasem nie są to pojęcia tożsame. Nierówność jest faktem wpisanym w ludzką kondycję. Ludzie różnią się wszak temperamentem, zdrowiem, talentami i możliwościami wynikającymi z uwarunkowań wewnętrznych i zewnętrznych. Niektórzy szybciej uczą się języków, inni posiadają wybitną wyobraźnię przestrzenną, jeszcze inni odnajdują się w sporcie czy w sztuce. Równość nie polega na niedostrzeganiu czy unieważnianiu tych różnic ani na zapewnieniu wszystkim identycznych

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI AI

eprasa.pl f114f6759d

rezultatów. Problem pojawia się wtedy, gdy zaczynamy utożsamiać wartość człowieka z jego osiągnięciami. To właśnie w tym momencie sukces jednych zaczyna być odbierany jako upokorzenie innych.

Dużym problemem współczesnej debaty jest też utożsamianie równości z jednakowością. Równość oznacza, że każdy człowiek posiada taką samą godność i zasługuje na szacunek, jednakowość oznaczałaby zaś identyczne nagrody i identyczne uznanie bez względu na osiągnięcia. A przecież życie nigdy tak nie wyglądało i nie wygląda.

» Nagroda za wiedzę, postępy czy oceny?

Głośno wybrzmiewają w tej dyskusji także głosy krytyczne wobec zjawiska określanego mianem „ocenozy". Coraz częściej słyszy się, że uczniowie uczą się nie dla wiedzy, lecz dla samych stopni, a końcówka roku szkolnego zamienia się w gorączkową walkę o każdą dziesiątą część średniej. Poprawy, dodatkowe zadania, negocjacje ocen – wszystko to sprawia, że uwaga uczniów, rodziców i nauczycieli coraz częściej koncentruje się nie na samym procesie uczenia się, lecz na jego liczbowym efekcie. Czy to jednak oznacza, że uczeń nie powinien w ogóle mieć możliwości poprawiania otrzymanej wcześniej oceny czy podjęcia dodatkowego zadania, by swoją ocenę podnieść, jeśli ta się waha?

Problem polega jednak na tym, że stopień jest jedynie symbolem. Nie oddaje ciekawości poznawczej, samodzielności myślenia, wytrwałości ani rzeczywistych kompetencji ucznia. Co więcej, Polski system oceniania od lat budzi zastrzeżenia. Oceny nie są standaryzowane, ta sama więc piątka i „pasek" mogą oznaczać zupełnie inny poziom wiedzy w różnych szkołach. Nic więc dziwnego, że coraz częściej pojawiają się pytania o to, czy świadectwo rzeczywiście odzwierciedla osiągnięcia ucznia, które nabiera szczególnej mocy w kontekście „pasków" świadectw ósmoklasistów i dodatkowych punktów za nie w procesie rekrutacji do szkół średnich.

Nie oznacza to jednak, że należy odrzucić wszelkie formy oceniania czy wyróżniania osiągnięć. Każdy system oceniania będzie w pewnym stopniu niedoskonały. Pytanie nie brzmi więc, czy oceniać, ale jak oceniać, by stopnie pozostawały narzędziem wspierającym rozwój, a nie celem samym w sobie. Być może problemem nie jest bowiem samo docenienie osiągnięć, lecz zbyt wąskie rozumienie tego, czym właściwie jest sukces.

W dyskusji toczącej się wokół problemów związanych z samym ocenianiem pojawia się jeszcze jeden aspekt tej sprawy: temat motywacji i nagradzania za dobre oceny. Część psychologów przekonuje, że nagrody osłabiają motywację wewnętrzną, dziecko bowiem zaczyna uczyć się dla nich, a nie z ciekawości świata. Trudno jednak nie zauważyć, że oczekiwanie od młodego człowieka w pełni ukształtowanej motywacji wewnętrznej jest mało realistyczne. Dziecko w tym wieku dopiero odkrywa sens własnego wysiłku. Najpierw potrzebuje zachęty, pochwały i zewnętrznego potwierdzenia, by z czasem nauczyć się czerpać radość i satysfakcję z samego rozwoju. Być może zatem motywacja zewnętrzna i wewnętrzna nie są wobec siebie konkurencyjne, lecz pierwsza jest etapem prowadzącym do drugiej. Nagroda nie musi być bowiem celem, lecz drogowskazem, Tak jak boczne kółka w dziecięcym rowerze nie są po to, by jeździć na nich całe życie, lecz by nauczyć się utrzymywać równowagę.

» Szkoła kształci, dom wychowuje

W tym miejscu dochodzimy do roli, której nie da się zastąpić żadną reformą edukacji. Coraz częściej oczekujemy od szkoły, że będzie

eprasa.pl f114f6759d

nie tylko uczyć, lecz także chronić dzieci przed każdym trudnym doświadczeniem. Tymczasem szkoła może przekazywać wiedzę, rozwijać kompetencje i kształtować postawy społeczne, ale nie zastąpi rodziny w tym, co stanowi istotę wychowania. To właśnie rodzice uczą dziecko oddzielać własną wartość od osiągnięć. To oni pomagają zrozumieć, że brak „paska" na świadectwie nie oznacza życiowej porażki, podobnie jak jego zdobycie nie czyni nikogo człowiekiem lepszym od innych. To oni pokazują, że sukces drugiego człowieka nie odbiera niczego naszym możliwościom.

Rolą rodzica nie jest usuwanie z życia dziecka wszystkich przeszkód. Jest nią raczej wyposażenie go w wewnętrzną siłę, dzięki której będzie potrafiło przez te przeszkody przejść. Dom nie powinien być miejscem izolującym od rzeczywistości, lecz przestrzenią, z której dziecko wychodzi w świat z przekonaniem, że niezależnie od sukcesów i porażek pozostaje kimś wartościowym. Oczywiście, naturalnym odruchem każdego rodzica jest chronienie dziecka przed cierpieniem. Jednak między ochroną a eliminowaniem wszelkich trudnych doświadczeń istnieje zasadnicza różnica. Frustracja nie jest przeciwieństwem szczęścia, lecz jednym z warunków dojrzewania. To właśnie dzięki niej człowiek odkrywa własne granice, uczy się wytrwałości, pokory i odporności psychicznej. Życie nie nagradza wszystkich jednakowo, a włożony wysiłek nie zawsze przynosi oczekiwany rezultat. Nie zawsze okazujemy się najlepsi. Nie da się wychowywać człowieka do życia, chroniąc go przed samym życiem. Paradoks współczesnego wychowania polega zaś na tym, że coraz częściej próbujemy usuwać źródła frustracji, zamiast uczyć dzieci, jak ją przeżywać. Tymczasem dorosłość nie przestanie stawiać człowieka wobec porażek, odrzuconych podań o pracę, przegranych konkursów czy awansów, które otrzyma ktoś inny.

Dojrzałe wychowywanie nie polega na przekonywaniu dzieci, że wszyscy są jednakowi czy że wszyscy muszą otrzymywać takie same nagrody, lecz na uczeniu, że sukces innych nie odbiera nikomu własnej wartości. Dziecko jest bowiem kimś więcej niż jego świadectwo. Oceny, które na nim widnieją, są jedynie próbą zmierzenia stopnia opanowania materiału, który określony jest programem nauczania danego przedmiotu, nie mówią zaś niczego o charakterze dziecka, przyszłości ani miejscu w świecie. Jedno zostanie może matematykiem, drugie muzykiem, trzecie sportowcem, a jeszcze inne odkryje swój talent tam, gdzie nikt wcześniej się go nie spodziewał.

» Między empatią a uznaniem

Świadectwa zostały już rozdane. Dyskusja wokół darmowego loda i „pasków" ucichła. Za rok znów jednak się pojawi, bo pytania, które się w niej pojawiają, nie sposób zbyć jako kolejnej internetowej burzy. Odpowiedzi na te pytania wykraczają zaś daleko poza szkolne świadectwa, dotyczą bowiem nie tylko dzieci, lecz także całego społeczeństwa i sposobu, w jaki chcemy ze sobą żyć.

Najważniejsze z tych pytań jest o to, jakiego człowieka chcemy wychować. Czy takiego, który będzie czuł się wartościowy wtedy, gdy nikt obok niego nie zostanie wyróżniony, czy raczej takiego, który potrafi cieszyć się sukcesem innych, nie odbierając go jako zagrożenia dla własnej wartości? Czy takiego, którego trzeba chronić przed każdą porażką, czy takiego, który nauczy się ją przeżywać i wyciągać z niej wnioski?

Bo celem wychowywania nie jest wychowywanie dziecka do biało-czerwonego paska na świadectwie. Jest nim wychowanie człowieka, który ani sukcesem nie będzie się pysznił, ani porażką nie pozwoli się zdefiniować. ■

eprasa.pl f114f6759d

Tego nie da się porównać z małyszomanią ani z żadną z mód w III RP. Gdy kapitan Jerzy Bajan jako pilot wygrał w 1934 roku najważniejsze europejskie zawody Challenge, Polska oszalała na jego punkcie. O lotniczym tryumfie pisano wiersze. Zwariowani Polacy stworzeni byli do latania w przestworzach, tak jak do husarii czy ułańskich wyczynów, dlatego zaborcy trzymali ich jak najdalej od samolotów. Bajan stał się symbolem podniebnego ułana, który podbił świat i przekazał mu jasny komunikat: Polska nie jest tymczasowym państwem, a sportową, lotniczą potęgą.

Piotr Lisiewicz

Podniebny ułan. Niesamowita historia pilota Jerzego Bajana

Depesza Polskiej Agencji Telegraficznej z 18 września 1934 roku pokazywała skalę tego szaleństwa. Zatytułowana była „Kraków na cześć Bajana". Autor depeszy opisuje, jak całe miasto szykuje się na przyjazd pilota: „W Krakowie zawiązał się komitet, celem przyjęcia kpt. Bajana, powracającego w najbliższych dniach do Krakowa. Bohaterskiego lotnika powitają na lotnisku rakowickiem przedstawiciele władz. Jednocześnie z kpt. Bajanem przybędzie do Krakowa starszy mechanik Pokrzywka. Z lotniska kpt. Bajan przejedzie ulicami miasta wśród szpalerów młodzieży szkolnej do ratusza. W sali rady miejskiej odbędzie się powitanie bohaterskiego lotnika przez prezydjum miasta i organizacje społeczne oraz obywatelstwo krakowskie. W imieniu miasta wygłosi przemówienie powitalne prezydent miasta dr Kaplicki. Z sali rady miejskiej wśród szpalerów młodzieży szkolnej uda się kapitan Bajan na rynek główny, gdzie młodzież złoży mu hołd i wręczy podarunki od młodzieży szkolnej i różnych organizacyj".

» Szalanż, czelendż i challenge

Zawody składały się z trzech konkurencji: prób technicznych samolotów, próby szybkości maksymalnej oraz lotu okrężnego wokół Europy i północnej Afryki. Jego trasa liczyła ponad 9,5 tys. kilometrów. Załogi w czasie rajdu wykonywały 27 lądowań na wyznaczonych lotniskach.

Pismo „Skrzydlata Polska" poświeciło specjalny numer tryumfowi Bajana w Challengu, który tym razem organizowany był przez Polskę. Inżynier Czesław Jerzy Kaczkowski opisywał, jak Polska pracowała na ten historyczny sukces, budujący jej pozycję na świecie: „Ten Challenge, który wchłonął nieprawdopodobną ilość pracy całej armji konstruktorów, techników, kreślarzy, majstrów, robotników, dyrektorów, pilotów, nawigatorów, kartografów, meteorologów, inżynierów, mechaników, artystów, prawników, oficerów, podoficerów, szeregowców i innych – ten szalanż, czelendż i challenge, w brzmieniu dosłownem – rozgarnął niezmierzone sterty rysunków, projektów, przepisów, obliczeń, zapytań, wyjaśnień, pouczeń, instrukcyj, listów i pism wszelakich, któremi był przykryty, wynurzył się z biur konstrukcyjnych, warsztatów – i obwieścił się światu wielkim głosem: JESTEM!".

Generał bryg. inż. Ludomir Rayski dodawał do tego demokratyczny charakter polskiego sukcesu: „Polskie zwycięstwo zawdzięczamy przede wszystkiem polskiemu silnikowi, który dzięki swym zaletom technicznym może być uważany, w swojej kategorji, za jeden z najlepszych w świecie. W przygotowaniu płatowców i silników wybitną rolę odegrał polski robotnik, który dniem i nocą nie szczędził ofiarnej pracy, stojącej na wysokim poziomie fachowym. Piloci okazali się wszyscy mistrzami w zawodzie".

Skalę popularności Bajana oddaje treść... ogłoszeń reklamowych w tym numerze pisma. Każda z firm opowiadała o swoim udziale w sukcesie Bajana. Czytamy: „Jeden tylko zespół ukończył w pełnym komplecie ten tak trudny lot bez jakiegokolwiek zawodu ze strony silników. WSZYSTKIE STALOWE CZĘŚCI SILNIKÓW TEGO ZESPOŁU WYKONANE BYŁY Z MATERJAŁÓW FIRMY HUTA POLDI". Kawałek dalej: „Wszystkie samoloty polskie w Challenge 1934 były wyposażone w gaśnice lotnicze Polski Knock Out CAŁKOWICIE WYKONANE W POLSCE Z KRAJOWYCH MATERJAŁÓW".

FOT. NAC

eprasa.pl f114f6759d

Dowiadujemy się także, że „ZWYCIĘZCA TURNIEJU LOTNICZEGO 1934 kpt Bajan posługiwał się przyrządami pokładowemi »ASKANIA«".

» Lotnik – skrzydlaty władca świata bez granic

Pieśni pokazywały Bajana jako kontynuatora polskiej tradycji walk o niepodległość. Tak było z „Marszem Lotników", o którym „Skrzydlata Polska" pisała: „Marsz Lotników pierwszy raz odśpiewano przez radio 22 lipca 1934 r. Muzykę opracował Stanisław Latwis według melodii Marsza Kosynierów z 1794 roku, a słowa napisała Aleksandra Zasuszanka". W pieśni padały słowa: „Lotnik – skrzydlaty władca świata bez granic/ Ze śmierci drwi, w twarz się życiu głośno śmieje/ Drogę do nieba skraca, przestrzeń ma za nic…/ Smutek mu z czoła pęd zwieje… Jesteśmy od Ikara mędrsi o tysiące lat".

Dalej pieśń mówiła o tym, jaką tradycję reprezentują zwycięzcy Challengu: „Srebrne Kościuszki kosy lśnią na maszynie/ kształt rogatywki na gwiaździstem tle sztandaru/ Łączą się krajów losy w braterskim czynie/ krew za krew, naród za naród/ Leć, w górę, znaku nasz!/ Nie trzeba wcale słów –/ Skrzydlaty klucz do sławy drzwi odmyka – orła mamy hart/ My Polski czujna straż".

„Przewroty, pętle, wolne beczki – ryk silników na pełnym gazie – i chwile ciszy, w których zdają się ważyć losy świata. To wielka gra o wielką stawkę" – pisała „Skrzydlata Polska".

» 17-latek na ochotnika bije bolszewików

Jerzy Bajan urodził się 4 czerwca 1901 roku we Lwowie. Był synem architekta, a także krewnym ks. Zdzisława Peszkowskiego, przyszłego kapelana Rodzin Katyńskich. Uczył się w Stanisławowie, ale naukę przerwał szybko, bo w wieku 17 lat w 1918 roku wstąpił na ochotnika do Wojska Polskiego. Podczas wojny polsko-ukraińskiej uczestniczył w obronie Lwowa jako jedno z Orląt Lwowskich. Służąc w kawalerii, następnie w piechocie, walczył w 1920 roku w wojnie polsko-bolszewickiej, w kampanii kijowskiej.

Jak to bywało w ówczesnych rocznikach, wojenne bohaterstwo poprzedziło późniejsze formalne wojskowe wyszkolenie, które zdobywał po powrocie z frontu. Od 16 stycznia do 20 czerwca 1921 roku był uczniem 37. klasy Szkoły Podchorążych Piechoty. Ale już 20 lipca 1922 roku został mianowany podporucznikiem w korpusie oficerów aeronautycznych i wcielony do 3. pułku lotniczego w Poznaniu. Pomimo problemów zdrowotnych, ukończył Oficerską Szkołę Lotniczą w Grudziądzu oraz kurs wyższego pilotażu w Szkole Pilotów w Bydgoszczy jako pilot myśliwski.

> To w wojsku jego pasją stał się sport. Podczas służby w eskadrze myśliwskiej jego specjalnością, którą doskonalił, była akrobacja lotnicza.

Potem były kolejne awanse. W 1928 roku był zweryfikowany w korpusie oficerów lotnictwa z ósmą lokatą. W 1927 roku służył w 114. eskadrze myśliwskiej 11. pułku myśliwskiego w Lidzie, od 1928 roku

eprasa.pl f114f6759d

przeniesionej w skład 2. pułku lotniczego w Krakowie jako 122. eskadra myśliwska. Z dniem 1 stycznia 1931 roku awansował na kapitana w korpusie oficerów zawodowych aeronautyki.

» Trójka Bajana

To w wojsku jego pasją stał się sport. Podczas służby w eskadrze myśliwskiej jego specjalnością, którą doskonalił, była akrobacja lotnicza. Bajan stał się sławnym twórcą akrobacji zespołowej w Polsce – z Karolem Pniakiem i kpr. Stanisławem Mackiem sformował zespół nazywany „trójką krakowską" lub „trójką Bajana", prezentujący figury akrobacji na trzech samolotach myśliwskich PWS-A, których skrzydła były połączone ze sobą sznurami podczas lotu.

Zaczął również uczestniczyć w zawodach lotniczych. W 1929 roku wziął udział w III Locie Małej Ententy i Polski, zdobywając nagrodę za najlepsze przygotowanie wojskowe. W lipcu i sierpniu 1930 roku wziął udział na polskim samolocie RWD-4 w międzynarodowych zawodach samolotów turystycznych Challenge 1930, dobierając sobie jako członka załogi szefa mechaników eskadry Gustawa Pokrzywkę, z którym za cztery lata miał wygrać europejski Challenge.

Pośród licznych międzynarodowych sukcesów nie brakowało wydarzeń dramatycznych. Podczas samego Lotu Alpejskiego, na skutek podmuchu wiatru po starcie koło Treibach, samolot Bajana i Pokrzywki spadł na drzewo i spłonął, ale obaj lotnicy zdołali na szczęście wyskoczyć z samolotu.

» Piłsudski, Bajan i Pokrzywka

„Jerzy Bajan (po lewej) wraz z marszałkiem Józefem Piłsudskim (w środku) i Gustawem Pokrzywką (po prawej) po zwycięstwie w Challenge 1934" – tak podpisane było zdjęcie po niesamowitym zwycięstwie pilota w słynnych zawodach. „Lotnictwo młodych, lotnictwo, w którem kształci się przyszłe pokolenie lotnicze, następcy i spadkobiercy sławy: Żwirki, Wigury, Skarżyńskiego, Bajana i tylu innych, bezimiennych bohaterów, którzy trudem, wysiłkiem, a nieraz i krwią ofiarną znaczyli ślady rozwoju polskich sił powietrznych" – pisał o tym tryumfie w „Skrzydlatej Polsce" gen. dyw. Leon Berbecki.

Bez fenomenu przedwojennego lotnictwa, symbolizowanego przez osobę Jerzego Bajana, nie sposób zrozumieć fenomenu niepodległej II Rzeczypospolitej. Tak jak nie da się go pojąć bez opisania szału wokół nart, taternictwa, poezji, teatru czy kabaretu. Tego fenomenu, który dał światu nie tylko poetów, awanturników i żołnierzy, lecz także narciarza, taternika, poetę i aktora w jednym – Karola Wojtyłę.

Jaki to był duch? Film „Epitafium dla Orłów" Adama Sikorskiego rozpoczyna się od ważnych słów: „Lotnictwo wybuchło w odrodzonej Polsce wraz z niepodległością. Porwało tysiące młodych, marzycielskich natur syntezą przygody, wiedzy tajemnej i nowoczesności, zerwaniem z niewolniczym przywiązaniem człowieka do dwóch wymiarów".

» Marzenie o skrzydłach

Polacy stworzeni zostali do latania w przestworzach, tak jak do husarii czy ułańskich wyczynów. Świetnie rozumieli to zaborcy Polski i dlatego Polaków trzymali jak najdalej od samolotów, traktowanych wówczas jako szczególnie niebezpieczny rodzaj uzbrojenia.

Gdy więc wybuchła wolność, marzenie o skrzydłach mogło zostać zrealizowane. As

eprasa.pl f114f6759d

lotnictwa Witold Rychter tak wspominał w swoim pamiętniku wygląd zeszytów szkolnych ówczesnych nastolatków: „Kartki w zeszytach oprócz treści zasadniczej, pokryte były rysunkami wszelkiego typu samolotów, ich wymiarami, układami sterowania, przekrojami silników, konstrukcjami podwozia". 2 miliony członków – tak liczna była w owych czasach polska organizacja paramilitarna Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej (w skrócie – LOPP). Częścią tego zjawiska stał się sukces Jerzego Bajana.

» Pilot z hakiem zamiast lewej dłoni

W drugiej połowie lat 30. Bajan awansował na majora. Po odbyciu stażu w Wielkiej Brytanii został szefem wyszkolenia w Wyższej Szkole Pilotażu w Grudziądzu. W latach 1936–1937 był słuchaczem rocznego kursu w Wyższej Szkole Lotniczej przy Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie. Na stopień podpułkownika ze starszeństwem został mianowany 19 marca 1939 roku. Na kilka miesięcy przed wojną, 15 czerwca 1939 roku, objął stanowisko komendanta Szkoły Podchorążych Lotnictwa – Grupa Taktyczna w Centrum Wyszkolenia Oficerów Lotnictwa w Dęblinie.

W czasie II wojny światowej Bajan był dowódcą polskiego lotnictwa myśliwskiego, podlegał mu m.in. słynny Dywizjon 303. Ale po kolei. Po napaści Niemiec na Polskę, 2 września, podczas niemieckiego nalotu bombowego na Dęblin, Bajan został ciężko ranny. Dostał odłamkiem bomby w lewą rękę, przez co utracił na resztę życia władzę w dłoni. Przedostał się w 1940 roku do Francji, a następnie do Wielkiej Brytanii.

W RAF otrzymał numer służbowy P-1499. Z uwagi na niepełnosprawność, pełnił tam funkcje sztabowe, jednakże legendą obrósł fakt, że w dalszym ciągu latał, sporządziwszy sobie hak mocowany do lewej dłoni, którym mógł obsługiwać przyrządy sterownicze samolotu. „Bajan, starszy od pozostałych pilotów o 10–15 lat wykazał, że jest nie tylko pilotem wyczynowym, ale też niezmiernie wartościowym pilotem bojowym. Chcę, żeby wszyscy wiedzieli, że on był przykładem dla nas" – wspominał po latach na antenie Radia Wolna Europa Aleksander Gabszewicz, dowódca Dywizjonu 316. „Jerzy Bajan latał zawsze w moim kluczu z numerem 2, jego zadaniem było ochranianie dowódcy. To był mój dowód zaufania do niego" – dodawał.

» „Myśliwcy strącili dotąd 499 samolotów niemieckich. Chodziło o ten 500-setny"

Bajan początkowo służył w Inspektoracie Polskich Sił Powietrznych. Od 7 kwietnia do 17 października 1941 roku był pierwszym polskim oficerem łącznikowym w sztabie dowództwa szkolenia lotniczego brytyjskiego RAF, czyli dowódcą polskiego lotnictwa szkolnego. W 1942 roku brał udział w lotach bojowych we wspomnianym 316. dywizjonie myśliwskim. Od 1 czerwca 1943 roku został polskim oficerem łącznikowym w sztabie dowództwa lotnictwa myśliwskiego. Stanowisko to – faktycznie dowódcy polskiego lotnictwa myśliwskiego – pełnił do końca istnienia tej funkcji. Uzyskał w tym czasie awans do stopnia pułkownika.

Po latach w Radiu Wolna Europa wspominał o Wigilii z roku 1943, która odbyła się w hangarach lotniczych pod Londynem: „Byliśmy pełni nadziei na przyszłość. Wiadomo było już bowiem, że szykuje się inwazja kontynentu, a z nią i droga do Kraju stawała się bliższa jak gdyby. Zasiedli

eprasa.pl f114f6759d

wówczas do Wieczerzy wspólnie oficerowie i szeregowi, piloci i mechanicy". Jak mówił, „[...] polscy myśliwcy strącili dotąd 499 samolotów niemieckich. Chodziło o ten 500-setny i tego, komu on przypadnie w udziale". Jak mówił, „[...] były tam słowa o bliskim powrocie do wolnego Kraju i życzenia pomyślnego lądowania na zielonej murawie Okęcia... Wydawały one się realne, bliskie urzeczywistnienia...".

» Wesoła Lwowska Fala w Londynie

Ducha polskim lotnikom dodawali polscy artyści, w tym ci rodem z jego rodzinnego Lwowa. Józef Smoliński w książce „Lwowska Fala na wojennym szlaku (1939–1946)" opisywał: „Na przełomie pierwszego i drugiego półrocza 1944 roku Lwowska Fala finalizowała objazd polskich oddziałów w Szkocji z programem »Piąty Front«. Na życzenie Inspektora Polskich Sił Powietrznych z programem »Na powrotnej fali« udała się także do Polowego Portu Lotniczego Nr 131 w Południowej Anglii, by wystąpić dla lotników dywizjonów myśliwskich – Poznańskiego, Krakowskiego i Wileńskiego. Główne występy artystyczne odbyły się 23 czerwca, w przeddzień święta dywizjonu krakowskiego, a wśród widzów był Inspektor Polskich Sił Powietrznych gen. Mateusz Iżycki i dowódca lotnictwa myśliwskiego płk Jerzy Bajan. W czerwcu Lwowska Fala dała 13 występów, w których uczestniczyło 4060 widzów".

Polscy lotnicy demonstrowali, że nie boją się śmierci, o czym mówił wiersz: „A jeśli z nas ktoś legnie wśród szaleńczych jazd,/ czerwieńszy będzie kwadrat, nasz lotniczy znak./ Znów pełny gaz – bo cóż, że spadła któraś z gwiazd,/ gdy cała wnet eskadra pomknie na szlak./ A tych co pozostali trwoga nie przenika,/ radość skrzydła nam rozwija,/ nie przeraża z śmigieł krzyż./ Nigdy nie ścichnie w dali mocny głos silnika./ »Lecieć, a nie dać się mijać« – zawsze wzwyż!".

» Lista Bajana

Po wojnie, nie godząc się na sowiecką okupację, pozostał na emigracji w Londynie, utrzymując się z wojskowej renty. Działał w Stowarzyszeniu Lotników Polskich w Wielkiej Brytanii. Komisja pod jego kierownictwem opracowała listę zestrzeleń polskich lotników podczas II wojny światowej, znaną następnie jako „lista Bajana". Był doceniany przez emigracyjne władze. Został powołany do składu emigracyjnej Kapituły Orderu Odrodzenia Polski, a 10 kwietnia 1961 roku wybrany został na skarbnika tego gremium. Był też współorganizatorem Polskiego Klubu Szybowcowego w Lasham. 21 grudnia 1953 roku został powołany przez prezydenta RP na uchodźstwie do składu Głównej Komisji Rozjemczej.

Pod koniec życia cierpiał na chorobę Parkinsona, która uniemożliwiała mu poruszanie się. Zmarł 27 czerwca 1967 roku w Londynie. Został pochowany na londyńskim cmentarzu w Northwood, w Londynie. W tym miejscu spoczęła jego żona Maria, która przeżyła go o pół roku – zmarła 27 grudnia 1967 roku. „Twardy, uparty i do końca nieprzytomnie rozmiłowany w lotnictwie. Pułkownik Jerzy Bajan, szanowany i ceniony przez byłych towarzyszy broni, do ostatnich czasów pełnił funkcję prezesa Rady Wykonawczej Stowarzyszenia Lotników Polskich w Londynie. Jego nazwisko zapisane jest w dziejach polskich skrzydeł na zawsze" – napisał po jego śmierci paryski „Tygodnik Polski" z 16 lipca 1967 roku. ■

eprasa.pl f114f6759d

1. Stefania Dziemieszkiewicz, matka „Roja", „Pogody", „Żbika" i „Stokrotki"
2. Mieczysław Dziemieszkiewicz „Rój"
3. Roman Dziemieszkiewicz „Adam", „Pogoda"
4. Eugenia Dziemieszkiewicz „Stokrotka"
5. Jerzy Dziemieszkiewicz „Żbik"

Dariusz Jarosiński

Wszyscy byli żołnierzami

Stefania Dziemieszkiewicz jako matka trzech „bandytów" ściganych przez ubowców nieraz była aresztowana, przebywała w więzieniu. Jednak z nadzwyczajną godnością znosiła fizyczne i psychiczne tortury. Gdy oprawcy dwukrotnie okazywali jej do rozpoznania ciała zabitych młodych mężczyzn, powiedziała, że to nie jej synowie i nigdy ich nie znajdą. „Serce mi krwawiło, ale nie przyznałam się i nie dałam satysfakcji ubowcom, że to jest mój syn" – zwierzała się córce Geni.

eprasa.pl f114f6759d

Stefania Dziemieszkiewicz oddała Polsce trzech synów: Romana, Mieczysława i Jerzego. Chłopcy byli żołnierzami Narodowych Sił Zbrojnych i Narodowego Zjednoczenia Wojskowego. Pierwszy nosił pseudonimy Adam, Pogoda, zginął w wieku 27 lat, zamordowany przez Sowietów w październiku 1945 roku; drugi, młodszy syn, „Rój", był już za życia legendą podziemia niepodległościowego na Mazowszu, jego żołnierze przeprowadzili kilkadziesiąt akcji zbrojnych przeciwko bolszewickiej władzy. Zginął w nocy z 13 na 14 kwietnia 1951 roku w walce z 270-osobowym oddziałem KBW oraz kilkudziesięcioosobową grupą operacyjną UB i MO, do jego rozpracowania użyto ponad 300 agentów. Miał 26 lat w chwili śmierci. Najmłodszy z synów, Jerzy, w 1948 roku, kiedy miał zaledwie 16 lat, dołączył na kilka miesięcy do oddziału brata, „Roja", i przyjął pseudonim Żbik. Aresztowany przez UB w 1949 roku, po przejściu potwornych tortur, został skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na karę 7 lat więzienia. Karę odbywał w więzieniach w Rawiczu i w Jaworznie, zmuszony został do katorżniczej pracy w kopalni węgla kamiennego. Po wyjściu z więzienia i po odbyciu zasadniczej służby wojskowej, założył rodzinę, miał kochającą żonę, która urodziła dwóch wspaniałych synów. Bezpieka nigdy nie dała mu spokoju, cały czas był objęty działaniami operacyjnymi – 5 grudnia 1969 roku zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach. Również córkę Stefanii Dziemieszkiewicz, Eugenię (w aktach figuruje jako Genowefa) ps. Stokrotka, rocznik 1921, nie ominęły aresztowania i przesłuchania, nawet kiedy była w ciąży.

» „Matka najbardziej krwawego zbira"

Ojciec partyzantów, Adam Dziemieszkiewicz, według dokumentów Urzędu Bezpieczeństwa walczył w szeregach białogwardzistów z bolszewikami w czasie rosyjskiej wojny domowej – w ten sposób władze komunistyczne uzasadniały „antysowiecki charakter" całej rodziny. Stefania Dziemieszkiewicz bardzo wcześnie, bo w wieku 41 lat, owdowiała, od 1936 roku musiała sama borykać się z utrzymaniem rodziny, wychowywaniem czworga dzieci.

O ile znane są losy ppor. Mieczysława Dziemieszkiewicza „Roja", bo zostały spopularyzowane przez film Jerzego Zalewskiego „Historia Roja, czyli w ziemi lepiej słychać" i liczne publikacje, to mniej znane są losy Stefanii Dziemieszkiewicz, matki żołnierzy, i jej najmłodszego syna. Jako matka „bandytów", była aresztowana, przebywała w więzieniu. Ubecy nazywali ją „matką najbardziej krwawego zbira". Z nadzwyczajną godnością znosiła fizyczne i psychiczne tortury, ubecy zarzucali jej, że nie doniosła na swojego syna Mieczysława na milicję. Bity do nieprzytomności i więziony był również Jurek Dziemieszkiewicz, w momencie aresztowania nie miał ukończonych 17 lat, ale potraktowany został jak dorosły.

„Spośród wszystkich narodów świata my, Polacy, winniśmy umieć najlepiej ocenić znaczenie i wartość słowa wolność [...] Ogrom krzywd, który dziś przybrał niespodziewane rozmiary, zmusza nas do samoobrony. Dyktuje nam hasła związane ściśle z przyszłością Narodu naszego. Polacy, musimy wytrwać aż do końca" – pisał w sierpniu 1950 roku st. sierż. „Rój" w odezwie skierowanej do ludności cywilnej Mazowsza, tłumacząc jej cele walki prowadzonej przez ostatnich żołnierzy podziemia niepodległościowego.

Kto, jak kto, ale matka dobrze rozumiała intencje, słowa syna i jego wolę walki z bolszewią, choć na pewno drżała o jego życie.

Przebywającej w więzieniu matce przywieziono 16 kwietnia 1951 roku ciało zabitego syna, Mieczysława, do rozpoznania. W czasie okazania zwłok powiedziała ubowcom: „To nie jest mój syn, nigdy go nie znajdziecie". Tłumaczyła

FOTARCH. IPN

eprasa.pl f114f6759d

później w domu córce Geni: „Serce mi krwawiło, ale nie przyznałam się i nie dałam satysfakcji ubowcom, że to jest mój syn".

Aresztowano także Genię i przewieziono do warszawskiego więzienia w celu rozpoznania zwłok zabitego 13 kwietnia 1951 roku brata. Wspominała później, że w czasie okazania zwłok leżąca na ciele „Roja" polowa rogatywka spadła na więzienną posadzkę, wówczas jeden z obecnych ubowców podniósł tę czapkę, otrząsnął, otrzepał i położył na zwłokach „Roja", zrobił to z wielkim szacunkiem tak, jakby oddawał honor „Rojowi".

» Matka żołnierzy

Stefania Dziemieszkiewicz, z domu Świerczewska, pochodziła z miejscowości Tabędz koło Zambrowa. W 1915 roku wyjechała w wieku 20 lat wraz z rodzicami do miasta Tołczyn na Witebszczyźnie (niegdyś I Rzeczpospolita, dzisiejsza Białoruś) i tam wyszła za mąż za Adama Dziemieszkiewicza. W 1918 roku młodzi małżonkowie przyjechali do niepodległej Polski. Początkowo mieszkali w miejscowości Zagrody Zakrzewo, a później przeprowadzili się do Zambrowa. W 1936 roku zmarł Adam Dziemieszkiewicz. Po wybuchu wojny rodzina Dziemieszkiewiczów została wysiedlona przez Niemców z domu w Zambrowie i zamieszkała w Makowie Mazowieckim. Dzieci szybko odciążyły matkę od obowiązku utrzymania domu: Roman pracował jako mechanik w Makowie, ale też jeździł do pracy do Ciechanowa i Łomży, Mieczysław uczęszczał na kursy tajnego nauczania w zakresie szkoły średniej i pracował w hotelu, piekarni, w niemieckim magazynie, również Eugenia zarabiała, pracując w sklepie żelaznym. Obaj bracia, Roman i Mieczysław, należeli w czasie okupacji niemieckiej do Narodowych Sił Zbrojnych, Roman był komendantem Powiatu Ostrołęka NSZ, przyjął pseudonim Adam, chcąc oddać w ten sposób hołd zmarłemu ojcu, w czasie okupacji sowieckiej przyjął nowy pseudonim, Pogoda.

Jesienią 1944 roku rodzina Dziemieszkiewiczów została ewakuowana wraz z innymi rodzinami ze strefy frontowej do Ciemniewa w gminie Sońsk w powiecie ciechanowskim, a od lutego 1945 roku zamieszkała w Ciechanowie. Po przejściu frontu uaktywnili się partyzanci AK i NSZ zwalczający bolszewię. 1 maja por. „Pogoda" dowodził głośną akcją odbicia więźniów z ubeckiego więzienia w Krasnosielcu w powiecie Maków Mazowiecki. Uniknęło wówczas zesłania do łagrów 42 partyzantów z Armii Krajowej i Narodowych Sił Zbrojnych. W maju Genia wyszła za mąż za Aleksandra Kownackiego z Makowa Mazowieckiego; z młodym małżeństwem zamieszkała też matka, w czerwcu wspólnie wyjechali do Gdańska, zabierając ze sobą Jurka.

Zagrożeni aresztowaniem przez bolszewików, wywózką na białe niedźwiedzie Roman i Mieczysław postanowili szukać schronienia przed bezpieką we Wrocławiu, dokąd mieli zabrać też matkę. Niestety, inny, tragiczny, scenariusz napisało życie – 30 października 1945 roku z rąk bolszewików zginął w Ciechanowie por. Roman Dziemieszkiewicz „Pogoda", komendant Powiatu NSZ Ostrołęka i Ciechanów. Stanął w obronie gwałconej kobiety przez sowiecką dzicz.

Roman, jako najstarszy w rodzinie, dowódca partyzanckiego oddziału, cieszył się dużym autorytetem młodszego rodzeństwa. Mieczysław na wieść o zabiciu brata przez Sowietów zdezerterował z „ludowego" wojska, do którego został wcielony, i wypowiedział wojnę komunistom. Wstąpił do oddziału partyzanckiego NSZ-NZW ppor. Mariana Kraśniewskiego „Burzy" i przyjął pseudonim Rój. Z czasem jako wyróżniający się charyzmą, dowódczym talentem żołnierz został komendantem powiatu ciechanowskiego NZW; operował na terenie powiatów: makowskiego, przasnyskiego, pułtuskiego, warszawskiego,

eprasa.pl f114f6759d

płońskiego, wszędzie siejąc strach wśród komunistów i konfidentów. Do jego tropienia zaangażowane zostały duże siły funkcjonariuszy UB, milicji, żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i licznej agentury.

» „Nigdy go nie znajdziecie"

Jesienią 1948 roku do rozpracowania Stefanii Dziemieszkiewicz zwerbowano agenta o pseudonimie Robin Hood, mieszkającego po sąsiedzku z nią w Gdańsku przy ulicy Klonowicza 63. Ścisła obserwacja oraz gromadzone doniesienia agenturalne dotyczące rodziny Mieczysława Dziemieszkiewicza miały doprowadzić ubeków do likwidacji „Roja" i jego „bandy". Po raz pierwszy pani Stefania została zatrzymana 13 marca 1949 roku, akurat kiedy szła z córką, zięciem i synem na niedzielną mszę świętą. Jurkowi udało się wówczas uciec. Pani Stefania po przesłuchaniu mogła wrócić do domu.

Rok później, 4 kwietnia 1950 roku, matka żołnierzy została powtórnie zatrzymana i przewieziona do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Ciechanowie jako podejrzana „o kontakt z dowódcą bandy na terenie powiatu ciechanowskiego". Stefania Dziemieszkiewicz długi czas utrzymywała, że ostatni raz widziała Mieczysława na pogrzebie Romana jesienią 1945 roku. Dopiero kiedy ubecy wyjawili kobiecie, że wiedzą o jej spotkaniach z synem, podając wiele szczegółów uzyskanych od agentów, 10 maja 1950 roku Stefania Dziemieszkiewicz złożyła zeznania, w których przyznała, iż w listopadzie 1947 roku przyjechała do Ciechanowa na grób swego syna Romana i wówczas spotkała się z Mieczysławem. Zeznała też, że Mieczysław odwiedził ją w Gdańsku na święta Wielkanocy w roku 1946. Właściwie matka potwierdziła informacje uzyskane przez funkcjonariuszy UB od ich agentów. Śledczy z warszawskiego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego, licząc na to, że wyduszą z kobiety więcej informacji, zintensyfikowali śledztwo, stosując jeszcze bardziej wyrafinowane tortury psychiczne i fizyczne. Matka w obawie, że nie zniesie bicia i powie coś, co mogłoby zaszkodzić synowi, 16 maja, wykorzystując moment nieuwagi śledczego, podjęła próbę samobójczą – wyskoczyła przez okno. Odniosła obrażenia, ale przeżyła. Ubecy później postępowali z kobietą już łagodniej, choć nadal nie szczędzili jej upokorzeń i wyzwisk. Pani Stefania nieustannie modliła się i prosiła Boga, aby pozwolił jej wytrwać cierpienia. I wytrwała.

Chorąży Eugeniusz Bernatowski, ubek prowadzący śledztwo, przygotował akt oskarżenia wobec Stefanii Dziemieszkiewicz, zarzut dotyczył tego, że kobieta nie powiadomiła Milicji Obywatelskiej o miejscu pobytu „Roja" w dniach 31 października i 1 listopada 1947 roku. Major Eugeniusz Landsberg, wiceprokurator Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Warszawie, zatwierdził akt oskarżenia. 7 sierpnia 1950 roku Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie w składzie: Władysław Marszałek, Zbigniew Furtak i Józef Walczak uznał Stefanię Dziemieszkiewicz za winną i skazał ją na 4 lata więzienia.

13 kwietnia 1951 roku, podczas obławy w Szyszkach w powiecie pułtuskim, został zabity ppor. Mieczysław Dziemieszkiewicz „Rój". Jego zwłoki funkcjonariusze UB przewieźli najpierw do PUBP w Pułtusku, a później do WUBP w Warszawie. 16 kwietnia okazano je matce. Chociaż matka od razu rozpoznała syna, to nie przyznała się do tego przed ubekami. Powiedziała im: „To nie jest mój syn, nigdy go nie znajdziecie". Zwłoki „Roja" zostały rozpoznane na podstawie zeznań innych świadków.

Na mocy amnestii wyrok Stefanii Dziemieszkiewicz został zmniejszony w 1953 roku do 2 lat i 8 miesięcy. Po wyjściu z więzienia matka zamieszkała z córką Eugenią i jej rodziną w Makowie Mazowieckim.

eprasa.pl f114f6759d

» **Wyjęty spod prawa**

We wrześniu 1948 roku najmłodszy z synów, Jurek, dołączył do oddziału NZW „Roja", gdzie przyjął pseudonim Żbik. Miał wówczas 16 lat. „Żbik" nie brał udziału w akcjach zbrojnych, z oddziału odszedł 8 grudnia z powodu choroby. Trzeba było mieć końskie zdrowie, żeby znosić trudy życia w oddziale partyzanckim, będącym w nieustannym zagrożeniu – w dzień i w nocy, ściganym niczym zwierzyna łowna. Po odejściu z oddziału „Roja" pojechał do matki do Gdańska. 13 marca 1949 roku ledwo wymknął się z rąk ubekom, wówczas zostały aresztowane matka i siostra. W poszukiwaniu schronienia udał się do ciotki Franciszki Zakrzewskiej mieszkającej w Nowym Mieście Lubawskim. Niestety, ciotka zamiast otoczyć opieką chłopca, doniosła na niego do Urzędu Bezpieczeństwa. Chłopak nie był skory oddać się w łapy ubeków, w czasie próby ucieczki został postrzelony w nogę i rękę. Po ujęciu trafił do szpitala więziennego. Już tutaj ubecy zadawali chłopcu potworne cierpienia, m.in. rozdrapując rany po strzałach z karabinu.

Jurek Dziemieszkiewicz urodził się 10 kwietnia 1932 roku, w celach procesowych ubecy sfałszowali dokumenty i wpisali mu rok urodzenia 1931, aby był sądzony jak osoba dorosła. Jurek bity był w czasie przesłuchań do nieprzytomności, stosowano wobec niego wyrafinowane tortury, m.in. ściskano obcęgami sutki, wargi. Zapewne pomny postawy starszych braci, zachowywał się niezwykle dzielnie, nie ujawnił ubekom żadnych informacji poza pseudonimami niektórych żołnierzy „Roja", ale wiedział, że nie ma to większego znaczenia.

Trzystronicowy akt oskarżenia stwierdzający m.in., że Jerzy Dziemieszkiewicz „brał udział w nielegalnym związku Narodowego Zjednoczenia Wojskowego mającym na celu obalenie przemocą demokratycznego ustroju Państwa Polskiego, w którym występował pod pseudonimem »Żbik« i pełnił funkcję członka w bojówce terrorystycznej" oraz że bez zezwolenia posiadał i posługiwał się automatem PPSz i pistoletem parabellum, ponadto, 10 listopada 1948 roku, wraz z innymi członkami NZW, brał udział w walce przeciwko oddziałom Wojska Polskiego, podpisał śledczy ubek Marian Muranowicz.

16 września 1949 roku Wojskowy Sąd Rejonowy w składzie: Zygmunt Bukowiński, Józef Ziółecki i Antoni Rzepecki skazał 17-letniego Jurka Dziemieszkiewicza na łączną karę 7 lat pozbawienia wolności. Chłopiec odbywał najpierw karę w ciężkim stalinowskim więzieniu w Rawiczu, a od 19 maja 1951 roku w więzieniu dla młodocianych więźniów politycznych w Jaworznie. Więzienie powstało w miejscu filii niemieckiego obozu oświęcimskiego, a od 1945 do 1949 roku funkcjonował tutaj Centralny Obóz Pracy, polski gułag.

Owi „młodociani przestępcy" to byli chłopcy z młodzieżowych, patriotycznych organizacji antykomunistycznych, harcerze Szarych Szeregów i ZHP, uczniowie, studenci, zazwyczaj w wieku 17–21 lat, ale byli też młodsi. W Jaworznie młodzi patrioci mieli być „reedukowani" przez czerwonych oprawców, korzystających z sowieckich wzorców „pedagoga" Makarenki. Przez więzienie jaworznickie w okresie 1951–1956 przeszło około 15 tys. młodych ludzi. Chłopcy byli wykorzystywani do pracy ponad ludzkie siły – w kamieniołomach, cementowni, kopalniach węgla kamiennego. Jurek przepracował w kopalni węgla w Zabrzu 22 miesiące. Po zabójczej, wyczerpującej pracy organizm domagał się jedzenia, a panował głód. Jeden z młodocianych więźniów Jaworzna wspominał okres drugiej połowy 1951 roku: „Był tak potworny głód, że jedliśmy wszystko, co się ruszało. Dawali nam tak nędzne wyżywienie przy tak katorżniczej pracy. Pamiętam, na początku pobytu któryś z chłopaków zjadł kota naczelnika Morela". W okresie trwania więzienia kilkuset chłopców nie przeżyło piekła.

eprasa.pl f114f6759d

Wspomniany Szlomo Morel to sadysta, wyjątkowo ohydna postać, który w sposób okrutny znęcał się nad młodymi więźniami. „Jesteście na miejscu, bandyci! Żywi nie opuścicie tego miejsca!" – w ten sposób witał przyjeżdżających w transportach uczniów i studentów. W wolnej Polsce został oskarżony o zbrodnie przeciwko ludzkości (kwalifikowane jako zbrodnie komunistyczne i ludobójstwo), jednak w 1992 roku Morel wyjechał do Izraela. Władze Izraela trzykrotnie odrzuciły wniosek Polski o jego ekstradycję, powołując się m.in. na stan jego zdrowia, podeszły wiek oraz przyznane mu obywatelstwo. Zmarł w Tel Awiwie w 2007 roku, unikając tym samym procesu sądowego. Do końca życia otrzymywał polską wysoką emeryturę, podobnie jak wszyscy inni czerwoni oprawcy, komunistyczni zbrodniarze.

» Wydawało się, że udało się przegonić najgorsze zmory życia

Dzięki łaskawości komunistów i uchwalonej amnestii Jurek opuścił więzienie w marcu 1953 roku, ale zaraz został wcielony do zasadniczej służby wojskowej. Po opuszczeniu murów więzienia i koszar wojskowych zamieszkał u siostry w Makowie Mazowieckim. Później przeniósł się do Zambrowa. Bezskutecznie ubiegał się o wcześniejsze przywrócenie utraconych praw publicznych i obywatelskich. Jego wniosek postanowiono pozostawić „bez dalszego biegu z uwagi na kontrrewolucyjny charakter przestępstwa i brak szczególnych podstaw do uwzględnienia w/w prośby". Był zatem obywatelem wyjętym spod prawa. Niemal każdy jego krok był bacznie obserwowany, śledzony przez ubeków, agenturę.

W Zambrowie zakochał się, wybranką jego serca była Irena, z którą stworzyli szczęśliwy związek małżeński. Urodziło im się dwóch synów – Marek i Jeremi. Jerzy próbował ułożyć sobie w miarę normalne życie, chociaż wiadomo, że za komuny było to niemożliwe dla takich jak on, jego matka i siostra. Żyli z piętnem bandytów. Jerzy podjął pracę w Zambrowskich Zakładach Bawełnianych. Któregoś dnia znaleziono w jego szafce pracowniczej broń. Ktoś podrzucił mu pistolet. Na nic się zdały tłumaczenia, wyjaśnienia, bo przecież nawet gdyby posiadał broń, to po co miałby zabierać ją do pracy i przechowywać w szafce. Został zwolniony dyscyplinarnie z pracy i wszczęto wobec niego postępowanie, po czym spędził pół roku w więzieniu w Białymstoku. Pojawił się nawet tak absurdalny zarzut pod jego adresem, że dokonał napadu na bank w Warszawie.

W latach 60. Jerzy uzyskał prawo jazdy, siostra Genia pomogła mu kupić używany samochód marki Warszawa i podjął pracę jako taksówkarz w Zambrowie i Makowie Mazowieckim. W domu zaczęła poprawiać się sytuacja materialna, za zarobione pieniądze mógł sobie nawet pozwolić na kupno motocykla Junak, o którym tak marzył. Wydawało się, że udało się przegonić najgorsze zmory życia. A jednak… 5 grudnia 1969 roku Jerzy Dziemieszkiewicz został znaleziony martwy. Okoliczności jego śmierci są niejasne. Dołączył do niebieskiego oddziału partyzanckiego braci – „Pogody" i „Roja". W chwili śmierci miał 37 lat.

Stefania Dziemieszkiewicz przeżyła swych synów. Matka „Pogody", „Roja" i „Żbika" zmarła 18 marca 1975 roku. Została pochowana na cmentarzu parafialnym w Makowie Mazowieckim.

Starszy sierż. Mieczysław Dziemieszkiewicz „Rój", awansowany pośmiertnie do stopnia podporucznika, do dzisiaj nie ma oficjalnego miejsca pochówku. Ciało legendarnego dowódcy podziemia antykomunistycznego zostało po jego śmierci w 1951 roku wywiezione i potajemnie pogrzebane przez funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa w nieznanym do dziś miejscu. ■

eprasa.pl f114f6759d

Stary dwór w Sukurczach był oczkiem w głowie Witolda od najwcześniejszej młodości. Tutaj spędzał wakacje, przyjeżdżając z Karelii, z Ołońca, potem z Wilna. Było to miejsce, z którym cała rodzina wiązała ogromne nadzieje – resztówka pokaźnego niegdyś majątku, w większości odebranego Pileckim przez Rosjan za udział dziadka Witolda, Józefa Pileckiego, w powstaniu styczniowym. Był prawdziwym azylem wielopokoleniowej rodziny, otwartym i przyjaznym, tętniącym życiem towarzyskim i artystycznym.

Ewa Polak-Pałkiewicz

„Kwiat biały olbrzyma", czyli raj utracony Rotmistrza Pileckiego

eprasa.pl f114f6759d

Gdyby ktoś chciał wyobrazić sobie jego życie w II RP na podstawie ocalałych zdjęć, mógłby się łatwo pomylić; podejrzewałby wygodną i dostatnią egzystencję. Fotografie przykuwają uwagę nie tylko wyrazem urodziwej twarzy, dumnym spojrzeniem i postawą, lecz także tym, że w tym młodym mężczyźnie nie dostrzega się nic niedbałego. Jest elegancki, a nawet wytworny. Widzimy go albo w paradnym mundurze, albo w starannie skomponowanym zestawie: marynarka, krawat, kamizelka, wysokie buty. Także romantyczne zdjęcia, na których jest razem z niedawno poślubioną Marią z Ostrowskich, w ogrodzie jej rodziców w 1931 roku, ukazują tylko tę sielankową stronę jego niełatwego i bardzo pracowitego życia w II Rzeczypospolitej.

» Sukurcze były oczkiem w głowie Witolda

Po trudach obrony Wilna w 1918 roku i kampanii wojennej 1920 roku, po zdaniu matury stanął oko w oko z tym, z czym borykały się tysiące młodych ludzi jego pokolenia – często nawet jego sfery – z niemałym wysiłkiem utrzymania rodziny pod groźbą niedostatku. Tak bardzo chciał być rolnikiem! Marzył o objęciu rodzinnego majątku, wierzył także, że dzięki dochodowi z niego będzie mógł odbyć studia na Wydziale Sztuk Pięknych U.S.B. (ukończył także 10-miesięczny kurs w szkole podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu). Ale spadł na niego zgoła niespodziewany cios. Ojciec Julian Pilecki w 1921 roku oddał dzierżawcy rodzinny majątek Sukurcze, położony pod Lidą, 100 kilometrów od Wilna. Gwałtowny lęk o przyszłość wraz z pogłębiającą się depresją starszego pana, wymęczonego przeżyciami w carskiej i sowieckiej Rosji oraz nieustającą troską o zapewnienie bytu rodzinie, zrobiły swoje.

„Ojciec mój powrócił już wtedy z Rosji i zamieszkał w folwarku" – pisał Witold w odręcznie sporządzonym życiorysie w czerwcu 1926 roku. „Podczas pobytu mego w Wilnie, brak środków na uruchomienie gospodarstwa i fatalny stan takowego, popchnęły ojca do kroku rozpaczliwego (bez porozumienia się ze mną), a mianowicie do oddania folwarku w dzierżawę [...]. Wtedy, gdy od dzieciństwa moją myślą przewodnią była praca na roli. – Pod wpływem chwil spędzonych kiedyś u bolszewików w więzieniach i braku środków dla zabezpieczenia bytu rodzinie, zapadł ojciec na roztrój nerwowy, zrzucając na mnie troskę o rodzinę...".

Trudno dziś sobie wyobrazić, jakim wstrząsem była ta decyzja dla 20-letniego bohatera wojny bolszewickiej, który jeszcze przed jej wybuchem rwał się, by objąć gospodarkę. Sukurcze były oczkiem w głowie Witolda od najwcześniejszej młodości. Tutaj spędzał wakacje, przyjeżdżając z Karelii, z Ołońca – gdzie się urodził i gdzie ojciec, absolwent studiów leśnych, pracował jako rewizor w tutejszych lasach – potem z Wilna. Wiosną 1920 roku 19-letni Witold przyjechał do majątku z pragnieniem pozostania tu już na stałe. Było to miejsce, z którym cała rodzina wiązała ogromne nadzieje – resztówka pokaźnego niegdyś majątku, w większości odebranego Pileckim przez Rosjan za udział dziadka Witolda, Józefa Pileckiego, w powstaniu styczniowym. Ocalała tylko dlatego, że metrykalnie należała do babci, pod jej rodowym nazwiskiem. „Tu próbuję postawić na nogi gospodarkę rolną, zniszczoną zupełnie kilkakrotnym przejściem wojsk i gospodarką Niemców, podczas naszego pobytu w Rosji. Ponieważ Ojciec był jeszcze w Rosji, więc na mnie spadł obowiązek przeżywienia rodziny. – Młody byłem, więc krótsze były żale nad ruiną gospodarczą, lecz druga inwazja bolszewicka w lipcu 1920 r. skróciła ten czas (do paru zaledwie miesięcy) wprowadzenia w czyn moich planów podniesienia gospodarki rolnej..." .

FOT. ARCH.

eprasa.pl f114f6759d

Witold ruszył na wojnę. Po powrocie zmuszony był zrezygnować ze studiów malarskich, imał się dość przypadkowych zajęć; był sekretarzem Związku Kółek Rolniczych Ziemi Wileńskiej, w 1925 roku pracował jako sekretarz sędziego śledczego z Okręgu Miasta Wilna. Próbował stałej pracy w ZHP, ale postawiono mu ultimatum: musiał wybrać – albo praca z nami, albo w oddziale Związku Bezpieczeństwa Kraju (którego Witold był komendantem w Nowych Święcianach), co było gorzką pigułką dla kogoś, kto to harcerstwo zakładał, razem z kolegami ze szkoły.

Umowa zawarta przez ojca była dla Pileckich bardzo niekorzystna. „Dzierżawy rocznej za folwark nie wystarczało już na wyżywienie rodziny przez miesiąc, nie mówiąc o narastającym podatku, który podług kontraktu musieliśmy płacić my. […] Zasmakowałem do przesytu procesów sądowych, jednak na razie nie udało mi się unieważnić kontraktu i wyrzucić dzierżawcę", wspominał ów fatalny rok 1921. Dopiero pięć lat później zdołał zakończyć sprawy sądowe i objąć rodzinną własność. W lecie tego roku zamieszkał w dworze w Sukurczach razem z matką i siostrami, Marią i Wandą.

» „Dziwna nazwa – Sukurcze…"

Ziemia była niegdyś własnością rodziny Scipio del Campo. Piotr del Campo o przydomku Scipio, gubernator księstwa Bari we Włoszech, jako marszałek królowej Bony przybył w jej orszaku w 1518 roku do Polski. Okazały dwór w Sukurczach najprawdopodobniej wybudował w 1700 roku ktoś z tego szybko polonizującego się rodu (jeden z jego członków był generałem w wojsku Tadeusza Kościuszki). Majątek w XIX wieku przeszedł na własność Narbuttów i Domeyków. W II połowie tego stulecia, „[…] stanowiąc wiano prababki naszej, z domu – Domeykówny – pisał Witold – wyłączone z rejestru ziem odbieranych, uniknęło konfiskaty. Resztę, własność pradziada i dziada, po Powstaniu 63-go roku, Rosjanie skonfiskowali lub przymusowo sprzedano. […] To, co zostało, nazywało się Sukurcze. Dziwna nazwa. Znacznie później dowiedziałem się pochodzenia tego słowa. Sukurcze, niegdyś – wielkie, następnie podziałem i konfiskatą części lasu pomniejszone, u schyłku wieku XIX-go nie przedstawiały już w ówczesnych pojęciach wielkiego majątku. Wtedy na ten kawałek ziemi, liczący z lasem około sześciuset dziesięcin nikt specjalnie nie zwracał uwagi, traktując go jako posiadłość małą. Lecz z biegiem czasu, gdy stale się zmieniał stosunek do ziemi, obiekt nie rozszerzając w terenie swych granic, powoli osiągnął wartość i znaczenie" (ze wstępu do poematu o Sukurczach, który Rotmistrz zatytułował „Pod Lidą").

» Gospodarz, opiekun, nauczyciel

Witold był tu gospodarzem 12 lat, do wybuchu II wojny światowej. Odbudowywał majątek z wielką pasją i starannością, starał się go unowocześnić. Był energiczny, uparty, pomysłowy. Postawił na produkcję nasion koniczyny i hodowlę bydła. By zdobyć fachową wiedzę, podjął korespondencyjnie studia na Wydziale Rolniczo-Leśnym Uniwersytetu Poznańskiego. „Wypieścił te nasze Sukurcze" – wspominał jego syn. „Ciężką pracą doprowadził zniszczone gospodarstwo do stanu, w którym można by je nazwać perełką" (za książką Andrzeja Pileckiego „Pilecki. Śladami mojego taty"). Miał 30 lat, gdy ożenił się z młodziutką nauczycielką z sąsiedztwa, Marią Ostrowską, i tutaj przyszło na świat ich dwoje dzieci. Nie poprzestawał na zajmowaniu się najbliższymi i ziemią. Okazał się urodzonym społecznikiem. Miał swój ważny udział w budowie kościoła parafialnego. Zabytkowy XV-wieczny drewniany kościół został zniszczony podczas wojny

eprasa.pl f114f6759d

polsko-bolszewickiej. Budowa nowej kamiennej świątyni według projektu inżyniera E. Kuleszy, dzięki wysiłkowi parafian, do których należeli Pileccy, trwała zaledwie trzy lata. Witold ofiarował kościołowi obraz św. Antoniego z Padwy swojego pędzla, zastąpił on spalony wizerunek świętego.

By pomóc proboszczowi, wspólnie z żoną uczestniczył w katechizowaniu dzieci przy parafii. Przykładał się do budowy szkoły w sąsiedniej wsi, Krupie. Gdy miał chwilę wolną, malował i pisał wiersze. A przy tym nie rozstawał się z wojskiem. Brał regularny udział w praktykach wojskowych, corocznie w ćwiczeniach rezerwy w 26. Pułku Ułanów, potem w Centrum Wyszkolenia Kawalerii w Grudziądzu.

Objął funkcję naczelnika Ochotniczej Straży Pożarnej, został prezesem mleczarni, którą założył wraz z rolnikami z sąsiedztwa. „Gdy ojciec przejmował majątek, wśród okolicznej ludności panował całkowity marazm… To, czego dokonał w okolicy przez kilkanaście lat aktywności, to była mała rewolucja" – przyznaje Andrzej Pilecki. W wykładach dla rolników przekazywał nowoczesną wiedzę. „Na Kresy wszystko dochodziło z opóźnieniem, a on starał się przenosić metody nowoczesnego gospodarowania z Wielkopolski i centralnej Polski. Płodozmiany, ośmiopolówka – mało kto wcześniej o takich rzeczach tu słyszał". Chociaż miejscowi byli nieufni wobec nowinek, docenili zarówno ciężką pracą, kompetencję, jak i uczciwość gospodarza Sukurcz. Szacunek budziła jego zdecydowana postawa wobec każdego przejawu wyzysku i niesprawiedliwości. Bolało go, że chłopi są zmuszeni sprzedawać swoje płody po zaniżonych cenach, i rzucił pomysł utworzenia spółdzielni. Skupowała od chłopów płody rolne, a zwłaszcza nabiał, i odsprzedawała ze znacznym zyskiem. Dla wszystkich było to korzystne. Wyroby spółdzielni stały się znane w Lidzie, Nowogródku, a nawet w Wilnie, gdzie „Masło z Krupy" wytwarzane w majątku Pileckich było szczególnie cenione.

Myślał jak mężczyzna o przyszłości swoich dzieci i o swoich rodakach z ziemi wileńskiej; już dwa lata po ślubie prowadził Konne Przysposobienie Wojskowe, czyli szwadron „Krakusów" w powiecie lidzkim, które zorganizował wspólnie z porucznikiem Achmatowiczem. Szkolił osobiście młodych chłopaków; szwadron zyskał sławę, wygrywał liczne zawody. Uhonorowano go za tę działalność w 1937 roku Srebrnym Krzyżem Zasługi. Andrzej Pilecki wyznał, że jego ojciec z własnej kieszeni przeznaczał spore kwoty na utrzymanie formacji, ponieważ synów miejscowych rolników często nie było stać na zakup potrzebnego wyposażenia. W tamtych latach Rotmistrz pracował także dla „dwójki", dotąd jednak niewiele wiadomo o jego misji.

Sukcesy nie wbijały go w pychę. Przyszły bohater II wojny pozostawał skromnym i zdyscyplinowanym człowiekiem. Im ciężej pracował, tym chętniej dzielił się z innymi wiedzą. We wrześniu 1939 roku okazało się, jak wielkim szacunkiem cieszył się wśród miejscowych. Gdy wkroczyli Sowieci, wdzięczni za jego pomoc chłopi otoczyli troskliwą opieką Marię i dzieci, Andrzeja i Zosię.

» W zaczarowanym ogrodzie, w pałacu z bajki…

Można by sądzić, że był typowym pozytywistycznym bohaterem, jakich wielu spotykało się na Kresach. Nic bardziej mylnego! Zarośnięty park i chylący się od starości, choć wciąż krzepki dwór były dla jego artystycznej duszy nieustającym wyzwaniem, jedną wielką przygodą. „Dwór stary – rozległy, park wielki, dziedziniec… […] Miłość moja rzeczy tych – chyba powodem,/ Że dla mnie nie było nic równie pięknego,/ Lecz nawet i przybysz, lub

eprasa.pl f114f6759d

obcy podróżny/ Bez trudu znajdował tu urok i piękno" – pisał w poemacie o Sukurczach. Na kilkunastu stronach gospodarz malował z polotem i czułością poetycki obraz dworu i jego otoczenia, nie szczędząc malowniczych historii z przeszłości – jak tej o odnalezieniu skarbu, szybko skradzionego… „Zwyczajny garnuszek, niewielkich rozmiarów,/ Z lanego żelaza – przezwany saganem/ Lecz pełen złocistych i dźwięcznych dukatów,/ Pod głazem czas dłuższy bezpiecznie się skrywał. […] Została jedyna złocista moneta,/ Co mogła skorzystać z chwilowej gorączki/ Umysłów, olśnionych tak nagłym bogactwem,/ I skrycie się tocząc z rąk drżących znalazców/ Zdołała wzrok zmylić i przepaść za głazem".

Wiekowym drzewom parku autor przypisuje funkcję nie tylko dekoracyjną i ochronną, są one jego przyjaciółmi, dawnymi towarzyszami dziecięcych przygód. Podobnie jak bociany zamieszkujące ogromne gniazdo na starym świerku przy dworze, na którego wierzchołek rzucono kiedyś żelazną bronę. Stary dom o 20 pokojach miał dla Witolda swoją tajemnicę, niepowtarzalną atmosferę, koloryt, zapach. Był pełen „Przedsionków, składzików, różnych zakamarków,/ Pod ogromnym, ciężkim i łamanym dachem"; miał pięć potężnych kominów, ściany ze starodrzewu nasączone żywicą, „jakby skamieniałe", mocniejsze niż żelazo, nie można było doń wbić żadnego gwoździa. Niewzruszone trwanie tak starodawnej budowli musiało być swoistą zagadką. Strych wypełniony był kolekcją niezliczonych naczyń („[…] blaszanki, / Ucięte butelki, ustawione szklanki"), których zadaniem było przechwytywanie wody deszczowej. W salonie czy jadalni słyszano podczas deszczu głośną muzykę, bowiem „z dziurek w dachu – w każdą niepogodę/ Ciekło – wydzwaniając przedziwną melodię". Dach zadziwiał konstrukcją, przedstawiał misterną kombinację „zamku, krokwi z łatą,/ Klucza i beleczek/ Stoją w amfiladzie/ Ukośne podpórki… a te lekkie kładzie…?/ Jakież to jest dziwne, niezwykłe wiązanie!". Pokryty był wiekowym, spróchniałym już gontem i grubymi warstwami słomy. Płaszczyzna ze ściętych końców żytniej słomy, wyrównanych deską, tworzyła twardą niczym szczotka powierzchnię. Witold był także zafascynowany rozmiarami okien, w których tkwiła wielka rozmaitość rodzajów szyb: „Szkło z przeróżnych fabryk jak również stuleci…/ Przeważnie sędziwe – było już matowe./ Mieniło się tęczą lub jak opal lśniło;/ Tam miało zieloną, a tu złotą barwę./ Jakby kto pociągnął niezmywalną farbą;/ Wystawione na deszcz, im dłużej je zmywał,/ Tym więcej, na przekór – kolorowe było".

Jest w poemacie Rotmistrza historia zamkniętej na rozkaz carskiego urzędnika domowej kaplicy i wybudowania nowej, jest wątek zacisznej komnatki, w której przez parę tygodni kryli się powstańcy, mając za ścianą rosyjskiego generała, który w tym czasie mieszkał tu „ze sforą żandarmów".

Jest opowieść o starej Józefie – klucznicy, która nigdy nie opuściła dworu, dowcipnej, ciętej, z charakterem, żywej encyklopedii jego losów, jego prawdziwego kustosza. Żyła samotnie, ale pogadywała przez te wszystkie lata z ogrodnikiem Adamem, miłośnikiem „Trylogii", o którym Rotmistrz napisał: „[…] Przezacny Kowalczyk Adam – chociaż krawiec,/ Lecz że to miał ręce przez artretyzm krzywe,/ Dzierżawił tu ogród, cenę sam wyznaczał,/ Taką, jak powiadał:/ »Panie, odpuść grzechy –/ By nic na sumieniu nie mieć w chwili śmierci«…". Nie pominął faktu, że ogrodnik sam pisywał rymowane opowiastki.

Poemat jest hymnem na cześć piękna, niewzruszoności starych prawd i ludzkiej cierpliwej pamięci. Pewnego dnia Witold, podczas

eprasa.pl f114f6759d

wizyty u jednej z ciotek w Wilnie, znalazł tom „Pamiętników" Gąsiorowskiego, a w nim dokładny opis dworu sukurskiego wraz z relacją ze zjazdu i balu szlacheckiego. Nie zrobiło to na nim wówczas wrażenia, bo „Wtedy jednak, mając wiosen kilkanaście…/ Marzyłem o szabli, o szeregach polskich,/ O koniu w galopie, o marszu nocnym, w cwale./ Budowałem zamki na konarach drzewa./ W alejach ogrodu miałem swe kryjówki./ Wyznaczałem kwiatom ich przydział we wojsku:/ To byli ułani, a tamci – dragoni,/ Husarzy, semeni, piechota łanowa./ Pokrzywa to Niemcy, Kwiat żółty – Tatarzy…".

» Najskrytsze pragnienie Rotmistrza

Chciał utrwalić życie szlacheckiego dworu, toczące się w atmosferze odzyskanego ładu, piękna i prostoty. Twórczość, którą uprawiał tylko na użytek najbliższych lub w chwilach decydujących (jak ta krótko po aresztowaniu w 1948 roku), trafnie scharakteryzował Jacek Pechman – pomysłodawca i producent płyty zatytułowanej „Kwiat biały olbrzyma. Witold Pilecki. Wiersze i piosenki": „Witold Pilecki znał moc słowa, wypełniając zarówno szorstkie żołnierskie rozkazy, jak i zagłębiając się w świat literackich metafor czy gorliwych modlitw. […] Rotmistrz Witold Pilecki to nie tylko bohaterski ochotnik do Auschwitz, urodzony żołnierz i wytrawny konspirator, symbol posuniętej do granic możliwości odwagi i ofiary w katowni UB, ale i przykład romantycznej kresowej duszy. Mało kto kojarzy niezłomnego rotmistrza z pisaniem poezji. Chcieliśmy pochylić się nad jego literackim talentem…".

Jego polot i fantazja nieocenione były zwłaszcza w relacjach rodzinnych. „Troskliwy, pogodny i pełen inwencji – taki był Witold jako ojciec. Wspólne spacery czy przejażdżki konne były dla niego równie ważne jak rozmowy i udzielanie dzieciom wskazówek. Zależało mu, by Andrzej i Zofia czuli się kochani oraz bezpieczni – można odnieść wrażenie, że próbował stworzyć swoim dzieciom spokojny dom, którego sam nie zawsze doświadczał w dzieciństwie. To jednak nie wszystko: Rotmistrz nie wahał się realizować nawet najbardziej zwariowanych pomysłów, jeśli tylko mogły sprawić radość jego żonie i dzieciom. Kiedy Maria wracała zmęczona z pracy, czekały na nią przygotowane przez Witolda przedstawienia lub improwizowane scenki. Samodzielnie tworzył elementy scenografii i przebierał dzieci za postaci historyczne lub bohaterów bajek. Czasem Zofia wcielała się w elegancką panienkę albo gejszę, Andrzej zaś w ułana lub samuraja. Wspólnie odgrywali krótkie scenki i zapraszali dorosłych do śpiewania piosenek – niekiedy również po francusku, bo Maria szczególnie lubiła ten język. Te rodzinne zabawy pokazują mniej znane oblicze Rotmistrza – człowieka obdarzonego dużą wyobraźnią, dystansem do siebie i talentem artystycznym" (Z wystawy Instytutu Pileckiego pt. „Każda droga zaczyna się w domu").

Stary dwór w Sukurczach stał się prawdziwym azylem wielopokoleniowej rodziny, otwartym i przyjaznym, tętniącym życiem towarzyskim i artystycznym. Gdy na świat przyszły dzieci, Rotmistrz przeczuwał już, że to szczęście i ten ład mogą okazać się kruche, że czasu jest coraz mniej. Był świadom jak nikt istnienia potężnego, wciąż wzbierającego źródła palącej zawiści wobec godnego życia Polaków w wolnym państwie. Także w jego listach do dzieci z lat okupacji – obszernych, niezdawkowych, często wierszowanych, ozdobionych własnymi rysunkami – czuje się pragnienie wrażliwego i mądrego ojca, by wychować ich na dobrych i dzielnych ludzi, którzy nie poddadzą się nigdy terrorowi wrogów ani własnemu lenistwu, pysze i egoizmowi. ■

eprasa.pl f114f6759d

Agnieszka Kowalczyk

KRZEMIENIEC

Wyspa polskości na morzu historii

Dzięki ludziom tej miary co Tadeusz Czacki, Juliusz Słowacki czy Irena Sandecka Krzemieniec w najtrudniejszych dla narodu momentach nie przestawał być wyspą polskości na morzu historii. Może dziś żyje tam około 100 Polaków, ale dla nas ten punkt na mapie ma o wiele głębszy wymiar, przywołując pamięć o polskich dokonaniach i polskiej ofierze, o wielkim dziedzictwie duchowym i kulturowym, które jest częścią naszej tożsamości.

eprasa.pl f114f6759d

Wśród wysokich i stromych wzgórz Wołynia, w wąskim, a głębokim jarze, nad wodami Ikwy leży Krzemieniec – miejsce narodzin Juliusza Słowackiego, wielkiego romantycznego wieszcza. Jego wyobraźnię od najmłodszych lat pobudzała wznosząca się wysoko nad miastem Góra Królowej Bony, która dźwiga ruiny wiekowego zamczyska. „Ileż to razy, patrząc na stary zamek – wyznał później Słowacki – [...] marzyłem, że kiedyś w ten wieniec wyszczerbionych murów, nasypię widm, duchów, rycerzy, że odbuduję upadłe sale i oświecę je przez okna ogniem piorunowych nocy".

» Czas upadków i czas wzlotów

Wieki temu, jeszcze w epoce neolitu, na Górze Bony istniała osada prehistoryczna, a pierwszy warowny zamek, który stanął na jej szczycie w IX wieku, był prawdopodobnie drewniany i jako jedyny na tych ziemiach odparł w 1241 roku najazd Batu-chana. Zburzył go dopiero książę ruski Danyło Romanowicz Halicki – lennik chana, który na jego rozkaz zniszczył wszystkie okoliczne warownie. Krzemieniecki zamek powstał jednak z gruzów pod koniec XIII wieku, a w kolejnych stuleciach jego panami byli naprzemiennie książęta litewscy i królowie polscy, w tym: Kazimierz Wielki, Ludwik Węgierski, Skirgiełło, Witold i Świdrygiełło, który nadał miastu prawo magdeburskie w 1431 roku. W XVI stuleciu władczynią zamczyska została królowa Bona, żona Zygmunta I Starego, i to jej imię zrosło się na wieki z Krzemieńcem, w którym ufundowała kościół i szpital.

Kres epoce rozkwitu miasta, które jako jedyne na Wołyniu miało prawo „składu białej soli z żup ruskich", położyło wojsko hetmana Chmielnickiego, a dokładniej budzące powszechną grozę oddziały Maksyma Krzywonosa. Ten w 1648 roku ogniem i mieczem zdobył zamek krzemieniecki, zburzył go doszczętnie, a miasto obrócił w perzynę. Do czasów Słowackiego dotrwały już tylko ruiny zamczyska, na które Juliusz spoglądał jako na świadka burzliwych dziejów swej małej ojczyzny.

Dzieciństwo poety przypadało na czasy złotej ery Krzemieńca, w którym rozkwitło życie intelektualne i kulturalne skupione wokół Liceum. Jednym z jego profesorów był Euzebiusz Słowacki, ojciec poety, filolog, wykładowca literatury, który nad Ikwą założył swe rodzinne gniazdo. Juliusz, zrośnięty z Krzemieńcem na zawsze, odwiedzał go jako student, a potem absolwent Uniwersytetu Wileńskiego. W jego poezji, wspomnieniach i listach do matki niejednokrotnie powracał dworek dziadków Januszewskich, ogród botaniczny, ławka pod topolami, na której lubił rozsiadać się z babunią, spacery na pobliski cmentarz, a także Góra Bony ze starym zamczyskiem w świetle księżyca.

» W blasku Liceum Krzemienieckiego

Krzemieniec Słowackiego to także Gimnazjum Wołyńskie, które z czasem przyjęło nazwę Liceum Krzemienieckiego, stając się ważnym centrum życia umysłowego i kulturalnego na polskich Kresach. Powołali je do istnienia w 1805 roku wybitni mężowie stanu, luminarze polskiego życia intelektualnego w porozbiorowej Polsce – Tadeusz Czacki, wizytator szkół okręgu wileńskiego, Hugo Kołłątaj, pisarz polityczny i działacz oświatowy, oraz Adam Jerzy Czartoryski, kurator zachodnich ziem Cesarstwa Rosyjskiego. Doprowadzili oni do powstania elitarnej szkoły średniej, która stanowiła w istocie nowoczesny zakład naukowy aspirujący do rangi uniwersytetu. Miał on swą

FOT. ARCH.

eprasa.pl f114f6759d

siedzibę w dawnym kompleksie klasztornym jezuitów i bazylianów. Pierwszym dyrektorem Liceum, posiadającego doskonałą kadrę pedagogiczną, został ceniony matematyk Józef Czech, a po nim placówką kierował wybitny chemik i botanik Franciszek Scheidt. Wykładali tu m.in.: znany historyk Joachim Lelewel, wspomniany już literaturoznawca Euzebiusz Słowacki, pisarz Józef Korzeniowski, uwielbiany przez uczniów kapucyn Prokop Krzywicki i Willibald Besser – wytrawny znawca botaniki, badacz flory Podola, Wołynia i Ukrainy, twórca krzemienieckiego ogrodu botanicznego, który oszałamiał 12 tys. unikalnych gatunków roślin. Chlubą Liceum była też pierwsza na ziemiach polskich katedra bibliologii prowadzona przez Pawła Jarkowskiego. Do licealnej biblioteki zakupiono zaś księgozbiór po królu Stanisławie Auguście, a Czacki w testamencie zapisał szkole swoje prywatne zbiory liczące 30 tys. książek!

Kres złotej epoce Liceum Krzemienieckiego położyły carskie represje po stłumieniu powstania listopadowego. Wówczas ta słynna placówka podzieliła los 248 szkół kresowych, zlikwidowanych z rozkazu cara Mikołaja I, który wypowiedział wojnę Polakom i polskości. Konfiskacie uległa wtedy krzemieniecka drukarnia, większość książek z biblioteki wywieziono do Kijowa, a rośliny z ogrodu botanicznego – do Rosji. Ostatecznie Liceum Krzemienieckie przywrócił do życia Józef Piłsudski na mocy rozkazu specjalnego z 1920 roku. Wówczas to „sypało groszem społeczeństwo polskie, głównie Lwowiacy i inni mieszkańcy Małopolski Wschodniej, zachęcani patriotycznymi apelami. Nie było dużo grosza – pisze Ryszard Jan Czarnowski – ale zapał i chęć odbudowy Rzeczypospolitej z jego czołowymi instytucjami były wielkie [...]. W tej atmosferze przychodziło na świat nowe pokolenie Kolumbów".

» Początek zagłady

W kwietniu 1939 roku cały Krzemieniec żył obchodami 130. rocznicy urodzin i 90. rocznicy śmierci Juliusza Słowackiego, którym przewodniczył prezydent RP Ignacy Mościcki. We wrześniu zaś miał się odbyć tam wielki zjazd polonistów, którzy pragnęli uczcić romantycznego poetę. Zamiast tego jednak nad rodzinnym miastem twórcy „Kordiana" złowieszczo przeleciały niemieckie samoloty, zwiastując nastanie czasów wojennej apokalipsy. Dramatyczna sytuacja na froncie doprowadziła do ewakuacji władz polskich z Warszawy na Kresy. Rodzinne miasto romantycznego wieszcza – jak podkreśla Czarnowski – „przez sześć dni, między 8 a 16 września, było stolicą Polski. Ostatnią stolicą, zanim Rzeczpospolita utraciła niepodległość na ponad 50 lat".

12 września rozpoczęło się straszne bombardowanie miasta. Siarczysty deszcz pocisków z karabinów maszynowych dosięgnął przerażonych ludzi na targowisku. Zginęło kilkadziesiąt osób, ponad 100 zostało rannych. Sądnym dniem okazał się dla Krzemieńca 17 września, gdy Sowieci uderzyli na placówki graniczne, a do samego miasta wkroczyli 20 września i od razu zapoczątkowali rządy terroru. Aresztowali m.in. starostę krzemienieckiego Jana Zaufalla, burmistrza Krzemieńca Jana Beaupré'a i wielu innych przedstawicieli krzemienieckich elit. Przyszli też po kuratora Liceum Krzemienieckiego Stefana Czarnockiego, i to w chwili, gdy wybierał się na inaugurację roku szkolnego. Największy postrach budziło NKWD, które urządziło swoją siedzibę w budynku komendy policji, a jego szefem został Ukrainiec

eprasa.pl f114f6759d

Iwan Kowalenko. Tam też powstawały listy tych, którzy mieli być wysłani w bydlęcych wagonach na wschód.

Przeciwko najeźdźcy od razu zmobilizowało się do działania polskie podziemie. Po rozbiciu przez NKWD w 1940 roku istniejącej siatki konspiracyjnej, kolejną stworzyli profesorowie i uczniowie Liceum Krzemienieckiego, a ich przywódcą został Henryk Józewski, przed wojną wojewoda wołyński, a potem łódzki. Najgorsze jednak miało nadejść wraz z wkroczeniem Niemców jako nowych okupantów. Zajęli oni Krzemieniec 2 lipca 1941 roku, a nazajutrz „z domów w centrum miasta ukraińscy policjanci powyciągali przerażonych Żydów, różnego wieku i obu płci, i pognano ich w kierunku więzienia. Po drodze przyłączyły się grupy mężczyzn [ukraińskich nacjonalistów] uzbrojone w łomy, siekiery, kije i co popadnie. Bili pędzonych, podbiegając co chwila. Zamordowano jeszcze przed bramą więzienia kilkadziesiąt osób – głównie kobiety i dzieci. Niemcy nie reagowali [...]. Na dziedzińcu więzienia nakazano Żydom zerwać bruk i wykopać olbrzymi dół. W ciągu najbliższych dwóch dni mieszkańcy Krzemieńca słyszeli dochodzące stamtąd przeraźliwe krzyki i odgłosy strzałów". Zamordowano wówczas ponad 800 osób! Ciała ofiar tej straszliwej masakry inni spędzeni w to miejsce Żydzi musieli wywieźć poza miasto. Układali je w stosy, oblewali benzyną i palili. Na końcu i na nich czekała śmierć z rąk oprawców.

Kilka dni po tym pogromie Niemcy gotowali się do kolejnej zbrodni. Przysłana do Krzemieńca specjalna jednostka niemiecka SS-Einsatzgruppen C wraz z ukraińskimi policjantami przystąpiła do haniebnej akcji, której celem stała się likwidacja najbardziej aktywnych intelektualistów Krzemieńca. Listy śmierci ułożyli nacjonaliści ukraińscy, którym przewodził Iwan Miszczena. To właśnie pedagodzy tej znakomitej placówki oświatowej w pierwszej kolejności przeznaczeni zostali do rozstrzelania. Aresztowano ich 28 lipca 1941 roku i uwięziono w Domu Społecznym pod Górą Krzyżową, gdzie podczas przesłuchań byli torturowani. Ich gehenna miała dopełnić się 29 i 30 lipca, kiedy to grupami prowadzono ich na miejsce stracenia – pod zbocze Góry Krzyżowej. Tam czekały już na nich doły śmierci wykopane przez Sonderkommando złożone z okolicznych Żydów. Tam też, nad krawędź wykopaliska, prowadzono po kilka osób, które w obecności pozostałych czekających na swą kolej, ginęły od strzałów oddawanych w tył głowy. Taki sam los czekał i Żydów z Sonderkommanda. Z tej rzezi ocalał tylko jeden człowiek – Jakub Lewicki, któremu udało się uciec. To on przekazał później prawdę o dramacie krzemieńczan – zamordowanych w bestialski sposób wykładowców i pracowników Liceum Krzemienieckiego, miejscowych lekarzy, prawników, urzędników, kupców i studentów – tych wszystkich, którzy stanowili duszę i serce Krzemieńca.

» Twierdza Polaków

Po pierwszym pogromie Żydów przyszedł czas na kolejne mordy. 23 lipca 1941 roku Niemcy z Einsatzgruppen wraz z Ukraińcami z SD (nazistowska Służba Bezpieczeństwa – Sicherheitsdienst) rozstrzelali kilkuset przedstawicieli żydowskiej inteligencji. Na początku 1942 roku w starej części Krzemieńca utworzono getto i stłoczono w nim 6 tys. Żydów (według innych źródeł znacznie więcej), których mordowano etapami w okolicy dawnej fabryki tytoniowej. Przywożono tu także na śmierć Żydów spoza Krzemieńca. Ciała rozstrzeliwanych wrzucano do wykopanych dołów. 10 sierpnia 1942 roku

eprasa.pl f114f6759d

zamordowano około 5 tys. Żydów, cztery dni później rozstrzelano ich 1,5 tys. 16 sierpnia ten sam los podzieliło 400 Żydów z Białokrynicy, a cztery dni później zabito kolejne 1210 osób. Z tej straszliwej, trwającej tyle dni i nocy masakry uszło z życiem jedynie 14 osób.

Wiosną 1943 roku nadszedł czas apokalipsy także dla Polaków z Wołynia. Oddziały ukraińskich nacjonalistów już szykowały się, by dokonać ich pogromu. Do Krzemieńca zaczęły docierać hiobowe wieści – o tym, że w pobliskich Dederkałach zamordowano agronoma Stanisława Stankiewicza i dwóch jego pracowników, że w gminie Szumsk zginęło z rąk UPA kilka rodzin, że na przedmieściach Krzemieńca zgładzono znanego wszystkim zielarza i pszczelarza Wincentego Żołkiewskiego i jego pięcioosobową rodzinę. Pasiekę zaś podpalono. W czerwcu 1943 roku w powiecie krzemienieckim miało miejsce kilkaset napadów, niosących śmierć Polakom, a w samym mieście zginęły rodziny Skazów, Sobczewskich i Skawińskich. Całe stosy ciał pomordowanych na przedmieściach zwożono i układano na zapleczu dawnej restauracji Udziałówka przy ulicy Szerokiej. „Wywiad AK – jak pisze Czarnowski – zidentyfikował w Krzemieńcu funkcjonariuszy UPA, współorganizatorów morderczych akcji na Polakach. Był to oficer policji Mychajło Skalskyj i sekretarka burmistrza Halina Abstorska. Sąd podziemny wydał na nich wyrok śmierci".

Gdy w marcu 1944 roku Niemcy szykowali się do opuszczenia Krzemieńca, Polacy w obawie przed wyrżnięciem przez UPA postanowili sami zorganizować samoobronę w mieście. Ich bastionami stały się kościół Liceum Krzemienieckiego, dwupiętrowy budynek przy Kościelnej i cheder przy Pierackiego. W tych trzech obiektach chronili się na noc, a straż pełnili uzbrojeni członkowie samoobrony. W szkole żydowskiej „barykadowano się na noc skrzyniami z piaskiem, a na najwyższym piętrze usytuowano punkt obserwacyjny, skąd miano wypatrywać umówionych sygnałów świetlnych od czujek rozstawionych na zachodniej stronie miasta na wypadek zbliżania się bojówek UPA". Utworzono też zakonspirowany lotny oddział samoobrony. Przez cały ten czas Krzemieniec był twierdzą Polaków trwających w gotowości obronnej przed atakami ze strony UPA.

» Na straży polskości. Działalność Ireny Sandeckiej

Podczas gdy żądne polskiej krwi oddziały UPA dokonywały bestialskich mordów na Wołyniu, wielu tych, którzy uratowali się z pogromu, szukało schronienia w Krzemieńcu. Niedobitki polskich rodzin z okolicznych wsi, ludzie przerażeni i głodni, kobiety z dziećmi, zagubione sieroty – wszyscy gromadzili się pod krzemienieckim kościołem parafialnym. Tym zbolałym i wyczerpanym uciekinierom przychodziła z pomocą kobieta, która z czasem stała się legendą Krzemieńca, zyskując miano matki krzemienieckich Polaków. Była to Irena Sandecka (1912–2010), która w czasie wojny włączyła się w działalność Okręgowej Delegatury Rządu na Kraj i podjęła współpracę z Armią Krajową. Nie tylko zadbała o to, by tych rozbitków nakarmić i gdzieś ulokować, lecz także zatroszczyła się o ich dalszy los. Kilkadziesiąt ocalałych z pogromów polskich dzieci, których rodzice zginęli podczas rzezi wołyńskiej, Irena wywiozła z zagrożonego napaścią Krzemieńca do Krakowa. Przetransportowała je tam wraz z zaufaną koleżanką Wandą Zółkiewską, umieszczając w sierocińcach i klasztorach. Od okrutnej śmierci z rąk banderowców uratowała kilka

eprasa.pl f114f6759d

polskich rodzin w Stożku i Wiszni, a także wielu Polaków z Wiśniowca (Nowego i Starego), organizując dla nich ewakuację pod eskortą niemieckich żołnierzy.

W przebraniu wieśniaczki docierała z lekami i żywnością do oblężonej przez oddziały UPA wsi Rybcza koło Krzemieńca. Działająca tam polska samoobrona przetrwała oblężenie, a mieszkańcom Rybczy udało się przedostać do Krzemieńca, a potem – do Polski. „Taka działalność w groźnym i trudnym czasie, to prawdziwe i nieocenione bohaterstwo, szaleństwo osoby nieustraszonej. To także siła charakteru i wierność własnym życiowym zasadom, które teraz niektórym wydają się nie do wiary" – oceniała jej wojenne wyczyny Jadwiga Gusławska w „Monitorze Wołyńskim".

Po wojnie Irena postanowiła pozostać w ukochanym Krzemieńcu, mając nadzieję, że granice Polski ulegną jeszcze zmianie. „Nie bała się – jak pisze Marek Koprowski – ani zemsty ukraińskich nacjonalistów, ani wywózki na Sybir. Wiedziała, że jako osoba związana z polskim podziemiem, mająca wyższe wykształcenie i znająca kilka języków obcych, od razu stanie się obiektem zainteresowania NKWD". I tak też się stało. Gdy Armia Czerwona weszła do Krzemieńca, została aresztowana 11 maja 1944 roku, a następnie więziona przez trzy i pół miesiąca najpierw w Krzemieńcu, a potem w Zbarażu. Ostatecznie Sowieci zdecydowali się ją wypuścić, choć odmówiła współpracy.

Mimo gróźb i szykan ze strony władz sowieckich Irena Sandecka podjęła walkę o zachowanie języka polskiego i polskiej kultury w mieście romantycznego wieszcza. Oficjalnie pracowała jako laborantka w służbie zdrowia, ale tym, co stanowiło istotę jej życia, było tajne nauczanie młodego pokolenia krzemieńczan w duchu polskim. Nie zważała przy tym na dosięgające ją represje i ciągłą inwigilację. W czasie letnich wakacji jej dom tętnił życiem. Gromadziła się w nim młodzież, by słuchać opowieści o polskiej historii, uczyć się czytania i pisania po polsku. Irena zabierała swych uczniów na wycieczki po okolicy, wymyślała dla nich różne zajęcia artystyczne powiązane z ważnymi datami w polskim kalendarzu, a w okresie najzagorzalszej walki Sowietów z polskością napisała dla nich podręcznik, tzw. Elementarz krzemieniecki, z którego uczyło się przez 40 lat kilka pokoleń dzieci. Jednocześnie stała niewzruszenie na straży wiary katolickiej, której Sowieci wypowiedzieli wojnę. Przez 30 lat była organistką i prowadziła chór parafialny w krzemienieckim kościele św. Stanisława, jedynej spośród 170 świątyń w diecezji łuckiej, która nie została zamknięta przez wojujących z Bogiem komunistów. Sama przez 40 lat katechizowała dzieci z polskich rodzin i przygotowywała je do Pierwszej Komunii Świętej. Zawsze też marzyła, by Krzemieniec stał się „enklawą Juliusza Słowackiego", centrum pamięci o twórcy „Lilli Wenedy". Dlatego też została jedną z założycielek Towarzystwa Odrodzenia Kultury Polskiej w Krzemieńcu, którego najważniejszym dziełem było powołanie do istnienia Muzeum Juliusza Słowackiego w jego rodzinnym mieście.

Irena Sandecka zmarła 25 marca 2010 roku, dożywszy 98 lat. Za swe dokonania uhonorowana została m.in. Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, a pośmiertnie – tytułem Kustosza Pamięci Narodowej. Pozostawiła prężnie działające środowisko krzemienieckich Polaków, a także swoją poezję zebraną w tomiku „Wiersze spod Góry Bony" jako świadectwo tego, że w korzeniach tkwi siła. ■

eprasa.pl f114f6759d

Funkcjonariusz styka się z ludźmi, czyli „Uprzejmy milicjant” cz. 2

Tomasz Łysiak

Okres kanikuły, wyjazdów i urlopów może dla wszystkich Państwa oznaczać, że w jakichś – wcale nieoczywistych – okolicznościach natkniecie się Państwo na milicjanta. Uspokajam: milicjant będzie uprzejmy, gdyż wyedukowany na podstawie podręcznika dla Milicji Obywatelskiej, wydanego w 1964 roku przez KGMO w Warszawie. W poprzednim numerze zapoznaliśmy Czytelników ze wskazówkami tego zbioru milicyjnego savoir-vivre'u w kilku zasadniczych kwestiach, takich jak higiena, strój czy chodzenie po ulicy. Teraz pora na kolejną porcję milicyjnej uprzejmości z roku 1964…

eprasa.pl f114f6759d

Otóż i palenie. Tak, tak – jak widać na filmach z lat 60. czy 70., niegdyś paliło się dużo i wszędzie. Nie tylko w Polsce Ludowej – dobrze oddaje te lata jedna ze scen serialu „Mad Men", w której amerykański lekarz ginekolog bada pacjentkę, trzymając zapalonego peta w ustach. Nic takiego nigdy nie dotyczyłoby funkcjonariusza Milicji Obywatelskiej. Ten bowiem nie popełniłby żadnego faux pas w tym względzie, po przeczytaniu następujących fragmentów: „Przede wszystkim nigdy nie strząsa się tytoniu czy popiołu na podłogę. Od tego są popielniczki. Pełna popielniczka nie jest ozdobą stołu. Trzeba ją więc często opróżniać, gdyż zapach niedopałków jest nieprzyjemny i zatruwa powietrze. […] Nie wolno wrzucać niedopałków do doniczek z kwiatami. Nigdy nie mówić z papierosem w zębach. Wyjąć go, gdy chcemy coś powiedzieć. Zawsze gasić niedopałki, nie zostawiać tlących się". Gdy już milicjant wie, że nie należy petów gasić w doniczce ani nie podpalać innym osobom papierosa przed nosem dam siedzących przy stole, warto udać się w podróż. Szczególnie że okres wakacyjny w pełni.

» Po co stać, gdy można usiąść

Zacznijmy od podróży miejskich zbiorkomem – czyli od tramwajów. Tu podręcznik sugeruje, żeby nie przepychać się w kolejce do wejścia do pojazdu, lecz skorzystać z uprzywilejowania i wsiadać „przednim pomostem" (był jeszcze wówczas inny technicznie układ wejść do wagonów). Nie należało też przeszkadzać innym w wysiadaniu, lepiej nie tarasować, a wręcz ułatwić przejście. „Jeśli w środkach lokomocji jest dużo miejsc wolnych, zawsze lepiej jest usiąść, niż stać. Nie tylko ze względu na zmęczone nogi, ale i ze względu na innych. Po co im zasłaniać widok i tarasować przejście i po co stać, gdy można usiąść, a puste miejsca zapraszają". Logiczny wykład – po co stać, kiedy można usiąść? Niejeden milicjant wziął to sobie z pewnością do serca. Przejdźmy teraz z tramwaju do pociągu. Tu na początek niemiła informacja – Milicja Obywatelska nie ma, niestety, uprzywilejowania w kolejkach do kasy. Trzeba stać jak każdy. Chyba że się jest konwojentem. Wtedy można się wcisnąć. Trzeba pamiętać, że niektóre pociągi mają miejscówki i warto takie sobie wykupić – „wówczas siedzi się cały czas i nie ma potrzeby odstępować nikomu miejsca. W przedziałach bez miejscówek trzeba: uczciwie informować, czy miejsca są, czy ich nie ma, jeśli ktoś pyta". Wnioskuję z tego zdania, iż bywało odwrotnie – ktoś pytał, a tu nieuprzejmy milicjant mówił: zajęte wszystko.

Teraz ważna rzecz. Zdejmowanie butów: „Tylko nocą można zdejmować obuwie: jadąc podczas dnia trzeba tego unikać. Jeśli śpimy w dzień, lub przy świetle, lepiej zasłońmy się połą palta, bo śpiący dorosły człowiek, to rzadko ładny i miły widok. Śpiąc nie opieramy się na ramieniu nieznajomych". Co ważne, Drodzy Państwo, „nie bardzo wypada od razu po zajęciu miejsca w wagonie zabierać się do jedzenia. W wagonie nie wypada jadać produktów o silnych i przykrych zapachach, na przykład: czosnku, cebuli, śledzi, a także niektórych serów itp.". Aż strach pomyśleć, jak mogłoby wyglądać skrzyżowanie takich niezręczności – gdyby tak za dnia milicjant zdjął buty, a jeszcze spożywał czosnek i cebulę! W wagonach restauracyjnych należy się generalnie zachowywać jak w restauracjach, ale dodatkowo – nie zabierać tam bagaży ani nie zajmować miejsca zbyt długo. W wagonie sypialnym źle by wyglądało, gdyby milicjant chodził w piżamie po korytarzu. W przedziale, owszem, ale na korytarzu:

FOT. ARCH.

eprasa.pl f114f6759d

tylko w mundurze. Jest jednak ważny punkt, zacytujmy w całości: „Nie śpiewać ani solo, ani chórem, nie prowadzić krzykliwych rozmów i nie śmiać się wrzaskliwie, nie tylko wtedy, gdy inni pasażerowie chcą spać, nawet w południe".

» Nie cmokać w teatrze

Być może jednak korzystając z czasu wolnego, funkcjonariusz MO zamiast sam śpiewać, uda się tam, gdzie inni śpiewają, recytują, odgrywają role: do teatru. W teatrze należy zachowywać się kulturalnie: płaszcz zostawić w szatni, puszczać damę przodem i salutować przełożonym. W kwestii salutowania może być jednak wyjątek – kiedy przeciskamy się rzędem teatralnym do swojego miejsca i nagle spostrzeżemy przełożonego. Lepiej wówczas nie stawać w postawie zasadniczej, nie salutować – wystarczy zwykłe skinienie głową. Należy też tak siedzieć na fotelu teatralnym, żeby łokciami się nie przepychać na boki, tak by „osoba siedząca obok nie była pozbawiona podparć". Rozmowa przed spektaklem jest mila widziana, ale musi być prowadzona cicho, ale gdy spektakl się zacznie, należy zamilknąć – „tym bardziej przeszkadzają kaszle, kichania, głośne wycieranie nosa, szeleszczenia papierkami od cukierków czy czekolad, a nawet ciągłe kręcenie się i wiercenie na miejscu. Śmianie się w nieodpowiednich miejscach sztuki, cmokanie itp. są albo wyrazem niezrozumienia sztuki, albo niedojrzałości".

W kinie zwyczaje są swobodniejsze. Trzeba jednak pamiętać o zdjęciu służbowej czapki lub kapelusza cywilnego – mogłoby to ograniczać widok widzom siedzącym za nami. Na wystawach w muzeach także należy się zachowywać cicho i spokojnie, a także „nie wygłaszać uwag, które mogłyby nas skompromitować w oczach znawców sztuki". Kompromitacja funkcjonariusza! Toż by to było w świątyni sztuki. Generalnie w miejscach „kulturalnych" należy pamiętać o tej wskazówce: „Dłubanie w nosie, w uszach, w zębach, drapanie się w głowę, po rękach, nogach itp. należy do tych samych »przestępstw« z dziedziny kultury, co czyszczenie nosa na ulicę czy plucie na chodnik". W dodatku „jeżeli się kicha, ziewa, kaszle, wyciera nos, to zawsze trzeba do tego użyć chusteczki".

» Nie wysysać resztek spomiędzy zębów!

Wreszcie najcudniejsze. Gastronomia. Po pierwsze, należy unikać lizania lodów na ulicy, pod budką czy sklepem. Cywil może. Funkcjonariuszowi nie wypada. Poza tym „w służbie należy unikać piwa alkoholizowanego. Piwo takie ma zapach alkoholu, który po wypiciu wydziela się z ust. Funkcjonariusz styka się z ludźmi, a ci zapach ten będą czuli. Niech więc nie zdziwi, że spotka go zarzut, iż pił wódkę. Wypita butelka piwa może być powodem nawet prowokacji".

Ważne oczywiście są sposoby zachowań przy stole – w domu i w restauracji. Nie wywalamy, rzecz jasna, łokci na stół. Dalej, jemy nożem i widelcem – „jeśli się je nożem i widelcem, to w lewej ręce trzyma się widelec, a w prawej – nóż. Nigdy nie wolno sobie pomagać palcami przy nakładaniu jedzenia na widelec czy łyżkę". Nie wolno także mówić z pełnymi ustami ani śmiać się, mając jedzenie w ustach. Funkcjonariusz mógłby się zadławić, zakrztusić lub narazić na śmieszność. A przecież te szczegóły są ważne. Czytajmy dalej: „Samo jedzenie też winno się odbywać po cichu. Nie można mlaskać, siorbać, chlipać, głośno świstać przy wysysaniu resztek spomiędzy zębów. Jeść cicho można tylko z zamkniętymi ustami". Nie powinno się także łapać za kość ręką i ją obgryzać.

eprasa.pl f114f6759d

Owszem, chleb można przełamać ręką, ale, drodzy milicjanci, „nie kręćcie kulek z chleba!". A jak ze słodkim? „Ciasta jada się podobnie, jak chleb – palcami, odłamując po takim kawałku, jaki od razu możemy wziąć do ust". A jak do tortów są podane łyżeczki czy widelczyki, to oczywiście należy z nich skorzystać.

» Nie awanturować się z powodu robaka

Skala trudności jednak rośnie, jeśli milicjant pójdzie do knajpy. Instruuje o tym rozdział „Lokale gastronomiczne". Tu porady dotyczą kilku różnych spraw. Przede wszystkim formalne, dotyczące zachowań w lokalu gastronomicznym (niezależnie od jego kategorii): „Siedząc przy stole nie wstaje się w celu oddania honorów, czyni się to na siedząco, przez wyprostowanie tułowia i zwrot głowy (oficerowie przez skłon głowy), jeśli naturalnie jest się w mundurze i jeśli w danej chwili nie jest się zajętym jedzeniem". Ważne, żeby jedząc w restauracji, nie wyciągać nóg do przodu ani nie „rozwalać się w fotelach lub krzesłach".

A teraz kwestia kontaktów z personelem. Po pierwsze, trzeba pamiętać, żeby „nie przywoływać kelnera stukając nakryciem lub głośno wstając. Wystarczy porozumiewawczy gest głową i spojrzenie". Po drugie, „nigdy nie namawiać personelu do picia alkoholu (przepisy im też tego zabraniają)". Po trzecie, nie należy przy kelnerze rozmawiać na temat wewnętrznych rozliczeń płacenia rachunku, a gdy w kwotach się coś nie zgadza, należy wstać i załatwiać tę sprawę na uboczu.

Natomiast, uwaga: „Jeśli jakaś potrawa jest nieświeża, niesmaczna, jakiś robak znalazł się w kalafiorze czy zupie itp., nie robi się z tego powodu awantury na cały lokal, ale i nie poddaje biernie losowi. Wzywa się kelnera skinieniem głowy i dyskretnie, wskazując przyczynę wezwania, mówi się: »proszę o zamianę«, ewentualnie tłumacząc: »befsztyk jest nieświeży, zbyt twardy« lub: »prosiłem o wódkę eksportową, a ta jest zwykła, proszę zamienić«. W razie gdy kelner niechętnie załatwia nam taką sprawę idziemy do kierownika lub jego wzywamy do stołu". Trzeba pamiętać, by przy stole w restauracji nie czyścić paznokci ani nie wydłubywać nic wykałaczką z zębów – lepiej czynić to w toalecie, a gdy to jest niemożliwe, zasłonić usta ręką. Nie można trącać sąsiadów łokciem ani butem.

Należy unikać lizania lodów na ulicy, pod budką czy sklepem. Cywil może. Funkcjonariuszowi nie wypada.

Jest jeszcze w podręczniku ważna część dotycząca pukania. Niewielki rozdział mówiący o tym, kiedy pukać, z jakim natężeniem pukać, jak pukać do domu, a jak w trakcie interwencji. Nic nie ma niestety o kamerach „nasobnych", bo ich wtedy nie było. Ani plakietek z nazwiskami. Natomiast już wówczas milicja stosowała te środki elegancji, jakie stosuje do dzisiaj – kajdanki zakładane osobom otwierającym drzwi oraz przeszukania mieszkań bez obecności właściciela. Natomiast poza tym milicjant był, jest i będzie zawsze uprzejmy. I uśmiechnięty… Bo taka jest Koalicja, przepraszam, Milicja Obywatelska. I taka zostanie. Miłych wakacji! ■

eprasa.pl f114f6759d

Łukasz Czarnecki

Poczet potworów letnich

Wakacje są czasem wypoczynku, gdy w dusznym upale letnich miesięcy życie zwalnia. To samo leniwe tempo upływających dni, które przeciętnemu człowiekowi przynosi w okresie urlopowym odpoczynek od całorocznego trudu, stanowi istną katastrofę dla mediów żywiących się wszak sensacją i skandalami. Od ponad wieku szpalty gazet, serwisy telewizyjne (a współcześnie też nagłówki portali informacyjnych) latem zapełniać zaczynają „opowieści dziwnej treści", od których wziął się zwyczaj prześmiewczego nazywania tej pory roku „sezonem ogórkowym".

Jednym z tradycyjnych tematów „samograjów" miesięcy letnich są rozmaitego rodzaju dziwne stwory, na co dzień będące obiektem zainteresowania tzw. kryptozoologii – tj. ruchu zajmującego się tropieniem niezidentyfikowanych zwierząt, rzekomo czających się w morskich głębinach lub najdalszych ostępach. Słynny potwór z Loch Ness, pieszczotliwie zwany Nessie, gościł już na naszych łamach w roku 2024 (dokładnie w numerze lipiec/sierpień – tradycja wszak zobowiązuje!). Dziś, Drodzy Czytelnicy, chciałbym przedstawić kilka innych stworów, na które ponoć natknąć się można w trakcie wojaży. Nawet jeśli jedynym środowiskiem naturalnym, w którym rzeczywiście one występują, jest ludzka wyobraźnia, to menażeria owa i tak może wzbudzić fascynację oraz pewnego rodzaju podziw, gdy uświadomimy sobie, jak wiele wysiłku przez lata włożono w próby udowodnienia istnienia tych bestii.

» Wąż morski na horyzoncie!

Czy może być bardziej ikoniczny potwór od węża morskiego? Od wieków widywany przez marynarzy (często po kolejce rumu), raz za razem wynurza się z wodnej otchłani, by straszyć, tumanić, przestraszać. Jednak jakie są szanse, że za narodzinami legendy stoją obserwacje rzeczywistego zwierzęcia? I jaka może być jego natura? Skoro stary kompan tego potwora z morskich opowieści, czyli monstrualny głowonóg Kraken, okazał się istnieć naprawdę w postaci olbrzymiej kałamarnicy, być może któregoś dnia nauka zyska dowody na realność również węża morskiego. Paradoksalnie, jak napisał w swej książce „Czy prehistoryczne zwierzęta przetrwały?" brytyjski zoolog i entuzjasta kryptozoologii doktor Karl Shuker: jeśli kiedykolwiek wąż morski zostanie schwytany, to można mieć prawie całkowitą pewność, iż… nie będzie wężem. Jak się bowiem okazuje, przeczy temu szczegół osobliwie często powtarzający się w relacjach świadków mających szczęście ujrzeć potwora na własne oczy. Otóż wszyscy, którzy spotkali się z wężami morskimi, donoszą o ich charakterystycznym sposobie poruszania się – bestie mają pływać, wyginając ciało w pionie tak, że jego fragmenty wystają ponad wodę, tworząc

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI AI

eprasa.pl f114f6759d

szereg garbów. Tymczasem rzeczywiste gady w wodzie przemieszczają się, wijąc w płaszczyźnie poziomej…

Shuker pozostaje zwolennikiem tezy, iż kandydata do tytułu „prawdziwego węża morskiego" szukać należy wśród bazylozaurów, rodziny prymitywnych prawaleni, których osobliwy wygląd łatwo mógłby wprawić w konfuzję obserwatorów i skłonić ich do uznania, że napotkanym stworzeniem jest ogromny wąż. Pradawny wieloryb prezentował prehistorycznemu światu tak „gadzią" powierzchowność, że zmylił nawet paleontologów, o czym świadczy sama jego nazwa, znacząca tyle co „cesarski jaszczur". Dopiero po wielu latach od odkrycia jego szczątków badacze zorientowali się, że ten „potwór morski" należał do ssaków! Polski paleontolog dr Daniel Tyborowski z Uniwersytetu Warszawskiego na jednym ze swych wykładów, których nagrania dostępne są na YouTube, prezentował zestawione ze sobą zrekonstruowane szkielety bazylozaura i kredowego gada morskiego – mozazaura. Podobieństwo było uderzające. Ewolucja zbieżna potrafi czynić cuda.

Jedynym problemem z identyfikacją węża morskiego jako opisanego wyżej prawalenia jest drobny szczegół, że zwierzęta te wyginęły… bagatela 36 mln lat temu! Co więcej, uważa się, że kres ich oceanicznym rządom przyniosło ochłodzenie klimatu. Bazylozaury pozbawione w przeciwieństwie do współczesnych wielorybów pokaźnej warstwy tkanki tłuszczowej nie dały rady przetrwać, gdy temperatura wody w zamieszkanych przez nie akwenach drastycznie spadła.

Tymczasem najwięcej doniesień o obserwacjach węży morskich pochodzi właśnie ze stosunkowo chłodnych rejonów. Co ciekawe, jedne z najstarszych zapisków opisują epizody z terenów nie tak znowu dalekich od Polski, a ich autor związany był z… Gdańskiem. Oto bowiem występujący rzekomo u wybrzeży Skandynawii potwór, zwany przez miejscowych wodnym robakiem, pojawia się na kartach wydanej w 1555 roku „Historii ludów Północy", pióra Olausa Magnusa, katolickiego księdza, który po wygnaniu w okresie reformacji z ojczystej Szwecji, osiadł w największym porcie Rzeczypospolitej. Co ciekawe, Magnus nie był jedynym duchownym piszącym na temat morskiego robaka. Prawie 200 lat później stojący po drugiej stronie religijnej barykady norweski pastor Hans Ström, spisawszy zeznania dwóch parafian, którzy wielokrotnie pływając łodzią po morzu niedaleko Heroy widzieli bestie, wysłał ów raport do luterańskiego biskupa Bergen Erika Ludvigsena Pontoppidana. Ten uwzględnił zwierzę w swej „Historii naturalnej Norwegii", wydanej w latach 50. XVIII wieku, zawierającej wzmiankę o wystających ponad powierzchnię morza garbach robaka morskiego, przypominających unoszące się na wodzie beczki.

Doniesień o wężach morskich, w tym z czasów nam bliskich, jest multum, w samym XX wieku liczne osoby zgłaszały spotkania z nimi, niekiedy tak bliskie, że aż mrożące krew w żyłach.

eprasa.pl f114f6759d

» Bliskie spotkania trzeciego stopnia

Ten ostatni szczegół powtórzył się w relacjach z początku następnego stulecia, tyle że pochodzących z drugiej strony Atlantyku. Oto bowiem pomiędzy rokiem 1817 a 1820 w Gloucester w stanie Massachusetts liczni świadkowie widzieli grasującego w okolicach tamtejszego portu wężowatego potwora, którego wystające nad wodę fragmenty ciała przypominały, wedle słów wydrukowanej w Bostonie ulotki, „szereg bojek na sieci". Niestety zachowane do naszych czasów artystyczne przedstawienie „węża z Gloucester" – jak szybko ochrzczono tajemnicze zwierzę – sporządzone zostało przez rysownika, który nie widział go na własne oczy i sugerując się nazwą, stworzył wizerunek łuskowatej gadziny o ciele wygiętym w płaszczyźnie poziomej, co stało w jawnej sprzeczności z relacjami obserwatorów. Pojawienie się niezwykłego gościa u wybrzeży Nowej Anglii poważnie zaszkodziło reputacji przyrodników amatorów z Towarzystwa Lineuszowskiego Nowej Anglii. Ci jesienią 1817 roku złapawszy niedaleko portu Cap Ann tajemniczego gada o ciele powyginanym w garby i długości około metra, triumfalnie ogłosili odkrycie nowego gatunku, któremu nadali nazwę atlantyckiego garbatego węża, uznając stworzenie za młode morskiego potwora. Toasty wznosili przedwczesne, gdyż przeprowadzona wkrótce później sekcja okazu wykazała, iż w rzeczywistości był on zwyczajnym połozem o zdeformowanym kręgosłupie…

Doniesień o wężach morskich, w tym z czasów o wiele nam bliższych, jest multum, w samym XX wieku liczne osoby zgłaszały spotkania z nimi, niekiedy tak bliskie, że aż mrożące krew w żyłach. Trudno inaczej określić przygodę, jaka spotkała Kanadyjkę, panią B. Clark, w 1974 roku. Kiedy będąc nastolatką pływała pewnego razu w jeziorze Okanagan, jednym z największych zbiorników wodnych Kolumbii Brytyjskich, nagle poczuła ogromne cielsko ocierające się o jej nogę! Przerażona dziewczyna dopadła do odległej o metr tratwy służącej za platformę do nurkowania i się na nią wspięła. Gdy spojrzała na toń jeziora, ujrzała jakoby długie na około 7–10 metrów stworzenie o bezwłosej skórze, wężowatej sylwetce i ogonie zakończonym płetwą podobną do wielorybiej. Zwierzę, płynąc powoli, stopniowo się od niej oddalało.

Jeśli pani Clark nie zmyśliła całej tej historii, to napotkała Ogopogo, tajemnicze stworzenie zamieszkujące głębiny Okanagan. Znane one było już zamieszkującym te tereny Indianom i widywane także przez licznych świadków pochodzenia europejskiego. Choć potwór zasiedla akwen słodkowodny, to wyłaniający się z doniesień obraz dziwnie pasuje do rysopisu węża morskiego.

W 1983 roku lokalne towarzystwo turystyczne wyznaczyło milion dolarów nagrody dla tego, kto w ciągu dwóch lat dostarczyłby niezbite dowody istnienia Ogopogo. Jako że pieniądze pozostały w kasie organizacji, akcja przyniosła mizerne efekty. Z braku żywego potwora, którego można by pokazywać gawiedzi, w położonym nieopodal jeziora mieście Kelow postawiono kiczowaty pomnik tajemniczego mieszkańca Okanagan. Zobaczyć można go w Wikipedii, wpisując w nią nazwę potwora.

» „Send me to the Congo…"

Pozostały jeszcze na Ziemi obszary będące białymi plamami. Do takich rejonów z pewności należą bagna regionu Likouala w Kongu, gdzie siedlisko obrał sobie mokele-mbembe, stwór, którego równie trudno zobaczyć, co wymówić jego nazwę.

Do Europy pierwsze wzmianki o nim dotarły w 1776 roku, a dostarczył je francuski ksiądz

eprasa.pl f114f6759d

Liévin-Bonaventure Proyart, który w trakcie posługi misyjnej na terenach dzisiejszego Konga natknął się na liczące aż metr długości (sic!) tropy trójpalczastych stóp.

Prawdziwy zalew informacji pochodzących nie tylko z regionu Likouala, lecz także innych obszarów środkowej Afryki, nastąpił na przełomie XIX i XX wieku w efekcie kolonialnej ekspansji mocarstw europejskich. Zapuszczający się w równikowe dżungle myśliwi słyszeli od tubylców opisy bardzo dużego zwierzęcia, zamieszkującego rzeki, jeziora i bagniska. Podróżnicy ci mieli już świadomość istnienia dinozaurów i relacjonowany przez informatorów wygląd mokele-mbembe uderzał ich swoim podobieństwem do mezozoicznych roślinożerców z rodziny zauropodów. Tajemniczy zwierz miał mieć ciało podobne do słoniowego, długi ogon niczym mrównik i równie długą szyję, dzięki której mógł wystawiać swą małą głowę nad powierzchnię wody. Choć potwora cechowało łagodne usposobienie, to sprowokowany stawał się śmiertelnie niebezpieczny, wywracał czółna krajowców i zabijał ich pasażerów uderzeniami ogona.

W 1909 roku słynny handlarz i kolekcjoner dzikich zwierząt Carl Hagenbeck w książce „Bestie i ludzie" odnotował, że dwóch zupełnie niezależnych i godnych zaufania eksploratorów środkowej Afryki (jednym z nich był najbieglejszy z łowców pracujących dla Hagenbecka, Hans Schombrugk) donosiło mu o występowaniu w dżunglach dzisiejszych Zimbabwe i Zambii ogromnego gada o kształcie „półsłonia, półsmoka". Niemiecki biznesmen doszedł do wniosku, że jedynym możliwym rozwiązaniem tej zagadki jest przyjęcie występowania na równikowych bagniskach cudem ocalałych z przedpotopowego świata brontozaurów. Nie mogąc oprzeć się pokusie i marząc o nieśmiertelnej sławie, jaką przyniosłoby mu sprowadzenie do Europy żyjącego dinozaura, Hagenbeck, nie szczędząc kosztów, zorganizował wyprawę łowiecką na mokele-mbembe. Zakończyła się ona chyba najbardziej spektakularną klęską w karierze potentata handlu zwierzętami. Powodzenie ekspedycji uniemożliwiły nieprzyjazne warunki środowiskowe, które nawet współcześnie utrudnią eksplorację terenów rzekomo zamieszkanych przez to zwierzę. Mokradeł regionu Likouala unikają nawet zahartowani do życia w dżungli Pigmeje, dla białego człowieka stanowią śmiertelną pułapkę. Gorzko przekonało się o tym czterech brytyjskich badaczy, którzy w 1985 roku zapuścili się w ten rejon w ramach tzw. operacji „Kongo", stawiającej za cel zdobycie dowodów na istnienie mokele-mbembe. Stojący na czele ekspedycji szkocki podróżnik Bill Gibbons w jej trakcie schudł 12 kg z powodu biegunki, prócz tego zaraził się chorobą skóry, a równie „ciekawe" zdrowotne sensacje były udziałem jego towarzyszy.

W XX i XXI wieku na tereny stanowiące siedlisko rzekomych afrykańskich dinozaurów wyruszało szereg wypraw amerykańskich, europejskich, a nawet japońskich. Ich uczestnicy mierzyć się musieli z zabójczym klimatem, a łowów na nieuchwytnego stwora nie ułatwiał paniczny lęk, jaki ów potwór wzbudzał wśród tubylców, którzy otaczali go tabu. Jeden z podróżników opowiadał, że gdy płynąc łodzią przez jezioro, dostrzegł w oddali kształt, który uznał za mokele-mbembe, lokalni przewodnicy nie dość, że odmówili wiosłowania w tamtym kierunku, to jeszcze… przyłożyli mężczyźnie strzelbę do głowy!

Ostatnia znana piszącemu te słowa ekspedycja (tym razem francuska) zapuściła się w poszukiwaniu potwora do południowego Kamerunu w 2016 roku. Nieustraszeni podróżnicy nie natrafili na żaden ślad zwierzęcia. Na dziś jedynymi przesłankami przemawiającymi za istnieniem mokele-mbembe pozostają

eprasa.pl f114f6759d

opowieści tubylców oraz przedstawiający długoszyjego gada rysunek nakreślony w błocie w 2009 roku przez Pigmeja Baka, a sfilmowany przez Roberta Mullina prowadzącego na History Channel program „Monster Quest".

» Polscy górale kontra… dinozaury

Jak dotąd mówiliśmy o stworzeniach straszących w obcych stronach, znajdujących się niekiedy poza zasięgiem przeciętnego Polaka (Środkowa Afryka). Dlatego poczet potworów letnich zakończymy dobrą informacją. Jeśli ktoś z Państwa chciałby zabawić się w kryptozoologa, a brakuje mu funduszy na dalekie wojaże, może… pojechać do Rabki.

W 1998 roku czeski pisarz Arnošt Vašíček w książce „Tajemnicza przeszłość" zawarł niezwykłą historię, jaką usłyszał dwa lata wcześniej w Niedzicy. Otóż wiekowy mieszkaniec okolicy opowiadał, że przez wiele lat w okolicy Nowosadów między Beskidem a Gorcami wypasane przez górali owce były porywane przez tajemnicze drapieżniki. Miały one wyglądać jak jaszczurki, osiągać wzrost dorosłego człowieka i biegać na dwóch łapach. Widywano je wyłącznie w sezonie wiosenno-letnim, a zamieszkiwały górskie jaskinie. Zarówno w dokumentach lokalnego klasztoru, jak i w kronikach wiejskich rzekomo widniały zapisy traktujące o owych bestiach, które z reguły nie napadały na ludzi, ale zwierzynę trzebiły niemiłosiernie, nie dając pardonu nawet wilkom. Na plebanii w Rabce wedle tej gawędy swego czasu wisiało wilcze futro, zdjęte ze zwierzęcia zabitego przez jednego ze smoków. Basiora znaleziono martwego z pojedynczą raną w gardle. Wedle relacji Vašíčeka, informator pokazał mu też przedwojenne artykuły na temat dwunożnych gadów, na koniec stwierdził, że ostatniego osobnika widziano w 1897 roku.

Historia brzmi ekscytująco, jednakże po bliższym przyjrzeniu rozchodzi się w szwach. Przeczytawszy o niej po raz pierwszy, pomyślałem, że rzekome dinozaury wylęgły się nie tyle z jaj, ile flaszek po wódce opróżnionych przez znudzonych juhasów. Później jednak zerknąłem na stronę internetową Vašíčeka i sprawdziłem daty. Wtedy zagadka drapieżnych jaszczurów z Beskidu się rozwiązała.

Czech specjalizuje się w pisaniu na temat… zjawisk paranormalnych i pozaziemskich cywilizacji. Spod jego ręki wyszło do tej pory ponad 40 tomów wypełnionych po brzegi pseudonaukowym bełkotem o odwiedzających Ziemię starożytnych kosmitach, zaś w przypływie fantazji rodak Szwejka zahacza też o okultyzm. Jego rewelacje o polskich dinozaurach są mniej więcej tyle warte, co pomysły oszołomów widzących w rzeźbie na płycie nagrobnej jednego z władców Majów dowód na to, że za życia nieboszczyk latał pojazdem kosmicznym. Książka, w której zawarto opowieść, ukazała się dokładnie w roku po premierze filmu „Zaginiony świat: Jurrasic Park", zaś opis rzekomo kradnących góralom owce dinozaurów kubek w kubek odpowiada przedstawionemu przez Spielberga obrazowi (skądinąd błędnemu) welociraptorów. Wygląd potworów zdezaktualizował się zresztą w świetle nowych odkryć – dziś wiemy, że dinozaury, popularnie zwane raptorami, były pokryte piórami i bardziej niż jaszczurki przypominały dziwne ptaki.

Jednym słowem, nie tyle mamy tu do czynienia z potworami, ile z potworną blagą. Co nie stoi na przeszkodzie, by w czasie górskich wędrówek poudawać, że bierze się ją na poważnie i zabawić w kryptozoologa. W końcu prowadzący serial „Monster Quest" robili to aż przez pięć sezonów, w każdym odcinku wypuszczając na wyprawy mające na celu spotkania z coraz nowszymi potworami i w finale każdego epizodu… nie znajdując niczego. ■

eprasa.pl f114f6759d

Krzysztof Karnkowski

Drugi kolor zła

Pod koniec maja premierę miał film „Kolory zła. Czerń", drugi z serii polskich kryminałów, opartych na prozie Małgorzaty Oliwii Sobczak. Miarą sukcesu oglądalności „Czerni" może być fakt, że miesiąc od premiery nie tylko utrzymywał się w polskim „Top 10" Netflixa, lecz także ponownie wciągnął na tę listę wypuszczoną dwa lata temu „Czerwień", inaugurującą cały cykl.

Czerń" jest najczęściej oglądanym na Netflixie filmem nieanglojęzycznym. Film spotyka się jednak również z krytyką. Czy zasłużoną? Spróbujemy rozwiązać i tę zagadkę.

» Niemal jak prawdziwa historia z Trójmiasta

Zanim odpowiemy na to pytanie, kilka słów o samej serii. Małgorzata Oliwia Sobczak kolejne tomy „Kolorów zła" publikuje od 2019 roku, a seria cieszy się sporym zainteresowaniem czytelników. Po „Czerwieni" (2019) i „Czerni" (2020), ukazały się jeszcze „Biel", „Żółć", „Błękit", „Zieleń" i „Fiolet", ten ostatni swą premierę miał bardzo niedawno, 19 czerwca br. Jeśli więc reżyser Adrian Panek zdecyduje się na kontynuację, ma z czego czerpać pomysły na kolejne filmy. Przeżywająca swą netflixową drugą młodość „Czerwień" była historią mocno osadzoną z polskich realiach przełomu wieków, częściowo opartą na faktach z działalności trójmiejskiej mafii. Mieliśmy więc tajemnicze morderstwa młodych kobiet, w różny sposób powiązanych z szemranym klubem Stocznia; mieliśmy demonicznego szefa mafii i jego prymitywnych pomagierów; mieliśmy wreszcie system, który zdecydowanie nie domaga. Prokuratura bardziej dba o wyniki i zadowolenie opinii publicznej niż o znalezienie prawdziwego sprawcy morderstw, a policja… Cóż, nigdy nie wiadomo, kto z policjantów pracuje tylko dla państwa, a kto ma jeszcze innego, lepiej płacącego chlebodawcę.

W tej opowieści są dwie postacie dążące do prawdy. Główny bohater, prokurator Leopold Bilski, grany przez Jakuba Gierszała, i zmęczona życiem sędzina Helena Bogucka (Maja Ostaszewska). „Czerwień" jest filmem bardzo udanym. Pomaga mu nie tylko wiarygodność postaci, lecz także swojskość historii, również czyniąca ją wiarygodną – co bywa problemem niektórych produkcji, zwłaszcza tych przenoszących do Polski historii, jak z prozy Harlana Cobena. Sobczak jest „stąd", więc stąd są też jej opowieści, przekładane na scenariusze przez Panka (oba filmy) i Łukasza M. Maciejewskiego („Czerwień).

» Jedni krytykują, inni bronią

„Czerń", podobnie jak książki z serii, nie wymaga znajomości tego, co działo się wcześniej, choć trochę ułatwia nam połapanie się w sytuacji rodzinnej rozwiedzionego, lecz starającego się utrzymywać bliski kontakt z córeczką Bilskiego. Młody prokurator, jako zbyt kłopotliwy dla swojej instytucji, trafia na służbowe zesłanie do nieistniejącej kaszubskiej miejscowości Trulocz. Gdy na początku swej pracy porządkuje papiery, natrafia na ślad dziwnej sprawy: kilka lat wcześniej zgłoszono porwanie dziecka, lecz natychmiast je wycofano. Akta sprawy są wyraźnie niekompletne, a chłopca, który miał zniknąć, nie ma. Zachowanie matki jest dziwne, przełożeni i policja też zdają się mieć coś na sumieniu. Tymczasem do miasta wraca wychowana w nim znana pisarka z dzieckiem, pokłócona z matką córka burmistrzyni. Natychmiast po jej powrocie porwany zostaje jej syn. Początkowo wydaje się, że może mieć to związek z jakimiś wydarzeniami z jej czasów nastoletnich, gdy wraz z kolegami trwale uszkodziła twarz rówieśnika. Ten trop okazuje się fałszywy, jednak rozwiązanie zagadki okazuje się również mieć swoje korzenie w historii sprzed kilkudziesięciu lat. Bilski trafia na ślad wykorzystywania dzieci, i to na dużą skalę. Ten motyw mocno wzburzył publicystę Wiktora Świetlika, który w portalu X poddał film druzgocącej krytyce. „»Kolory zła: Czerń« – modelowy zapis wszystkich antypolskich i antykatolickich obsesji wychowanków »Wyborczej«

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl f114f6759d

i aspiracji »twórców«, którzy próbują na tym wyjechać. Do tego potworna słabizna. Patuska, dzieciorόbka, handlująca własnymi dziećmi do adopcji (byleby mi 800 plus nie zabrali), dzielny policjant mówiący do księdza per »pan«, katolicki, tępy motłoch. Gdyby to było o Żydach, mogłoby powstać w latach 30. w Niemczech" – pisze Świetlik „Nie skończyłem, a Wy nie musicie zaczynać" – dodaje.

To jednak ocena mocno krzywdząca. Nie chcąc zdradzać całej historii pokazanej w filmie, napiszę tyle, że niestety jest ona wiarygodna i spokojnie mogła wydarzyć się w małym polskim miasteczku. Społeczność jest tu niejako zakładnikiem zarazem pieniędzy, jak i niezdrowych upodobań lokalnego krezusa, który może sobie kupić wszystko, również milczenie i święty spokój, a ludzie, czasem, nie mając wyboru, są zmuszeni mu to sprzedać. Czy to więc oskarżenie Polski i Kościoła, czy raczej III RP i patologicznej symbiozy małomiasteczkowych elit? Skłaniam się ku tej drugiej optyce. Mocno religijne otoczenie uważam zaś raczej jako oddanie pewnego stanu faktycznego, w którym nie ma co dopatrywać się na siłę krytyki. Patrząc z perspektywy wielkomiejskiej, łatwo możemy zapomnieć o tym, jak religijność wciąż może być istotnym elementem życia, nawet jeśli ma to coraz częściej wymiar zwyczajowy, a nie duchowy. Zobaczyliśmy to przecież bardzo wyraźnie w docenionym przez krytykę, a zarazem interesującym w wymiarze moralistycznym ubiegłorocznym filmie „Ministranci", od niedawna również dostępnym na Netflixie. Zostawiając jednak na boku te rozterki, pora odpowiedzieć na zadane na początku tego tekstu pytanie.

» Kryminał z kaszubskimi przesądami

Początek „Czerni" wydaje się trochę nijaki, a wrażenie psuje jeszcze dość męczący, powracający motyw muzyczny. Pierwsza połowa filmu nie porywa, a jej klimat przywodzi na myśl polskie drugoligowe seriale kryminalne w rodzaju „Lipowa". Gdy dostajemy rozwiązanie pierwszej z zagadek, wszystko nabiera tempa, a specyficzny ciemny klimat, mieszający kryminał z kaszubskimi przesądami, zaczyna być dużo bardziej wciągający. Choć według krytyka Łukasza Adamskiego tym razem zmarnowano szansę na mocny film w skandynawskim klimacie, popularność kryminału zdaje się wskazywać, że publiczność na całym świecie jednak dała się przekonać. Zgadzam się jednak, że „Czerń" jest filmem bardziej nierównym i słabszym od „Czerwieni. Pozostaje więc mieć nadzieję, że nie mamy do czynienia z tendencją stałą i jeśli za rok lub dwa na nasze ekrany zawita „Biel", poziomem bliżej będzie jej do „Czerwieni". Mam też nadzieję, że na ekranie znów zobaczymy klasyczne polskie piwnice wypełnione półkami z przetworami, które zdają się być jednym z ulubionych kodów wizualnych twórcy „Kolorów zła". ■

Początek „Czerni" wydaje się trochę nijaki. Jednak gdy dostajemy rozwiązanie pierwszej z zagadek, wszystko nabiera tempa, a specyficzny ciemny klimat, mieszający kryminał z kaszubskimi przesądami, zaczyna być dużo bardziej wciągający.

eprasa.pl f114f6759d

Marek Kalinowski

Klawesyn na nowe czasy

Choć klawesyn kojarzy się przede wszystkim z barokiem, Justin Taylor udowadnia, że instrument ten potrafi znakomicie odnaleźć się w muzyce współczesnej. Na płycie „Clavecin XX" odnajdziemy skrajnie różne utwory – od miniatury Bartóka po koncert Góreckiego, odkrywając bogactwo klawesynowych barw.

Justina Taylora poznaliśmy już na łamach tej rubryki jako pianistę przy okazji absolutnie wyjątkowej płyty z muzyką Chopina. Tym razem mamy okazję posłuchać go przy jego ulubionym instrumencie, klawesynie. Choć specjalizuje się w muzyce dawnej, należy do grona artystów, którzy z niebywałą łatwością potrafią przenieść dzieła dawnych mistrzów w czasy zupełnie współczesne. Na albumie „Clavecin XX" idzie o krok dalej, zabierając swój pozornie „przestarzały" instrument w świat muzyki XX wieku.

Justin Taylor, CLAVECIN XX, Alpha Classic/Outhere Music France

Otwierająca płytę promienna miniatura Béli Bartóka z cyklu „Mikrokosmos" w niczym nie zapowiada wielobarwności tego albumu. Choć centralnym punktem programu pozostają znakomite koncerty Jeana Françaixa i Francisa Poulenca, Taylor stawia sobie za cel ukazanie klawesynu w całym bogactwie jego barw i możliwości. Poddaje przy tym słuchacza czasem niełatwym próbom, ale brawurę tego przedsięwzięcia docenimy z czasem.

Pierwszym przykładem jest „Bluesinuum", utwór podarowany Taylorowi przez zaprzyjaźnionego kompozytora Stéphane'a Gassota. Choć rzeczywiście mocno osadzony w bluesowej estetyce, nawiązuje nie tylko tytułem do „Continuum" Györgya Ligetiego. Zbudowany z błyskawicznych, migotliwych figur dźwiękowych poszerza paletę możliwości instrumentu, a przy okazji pozwala wykonawcy zaprezentować imponującą wirtuozerię. Dla słuchaczy szukających w tej płycie przede wszystkim ukojenia nie będzie to jednak pierwszy wybór.

Z zupełnie innych powodów przytłaczający może okazać się też Koncert op. 40 Henryka Góreckiego, którego osobom szczególnie wrażliwym nie polecałbym słuchać po zmroku. Doskonale sprawdziłby się natomiast jako ścieżka muzyczna filmu grozy albo tło dla mrocznej serii gier „Resident Evil". Skojarzenia z oprawą dźwiękową starszych gier wideo powrócą też wraz z natarczywą rytmiką drugiej części koncertu.

Na koniec czeka niespodzianka. Wykonanie znanego ragtime'u „Maple Leaf Rag" na klawesynie to eksperyment, który zapewne przypadłby do gustu Marcinowi Maseckiemu, pianiście wyspecjalizowanemu w podobnych zadaniach. Cięższe brzmienie instrumentu jest tu bowiem dodatkowym wyzwaniem i pozostaje w napięciu z charakterem utworu. Niemniej po spotkaniu z mrocznym światem Góreckiego jest to bardzo przyjemny oddech radości, z którą Taylor zostawia nas na finiszu tej muzycznej, niecodziennej przygody, a może i mrugnięcie okiem, by nie traktować jej zbyt poważnie. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl f114f6759d

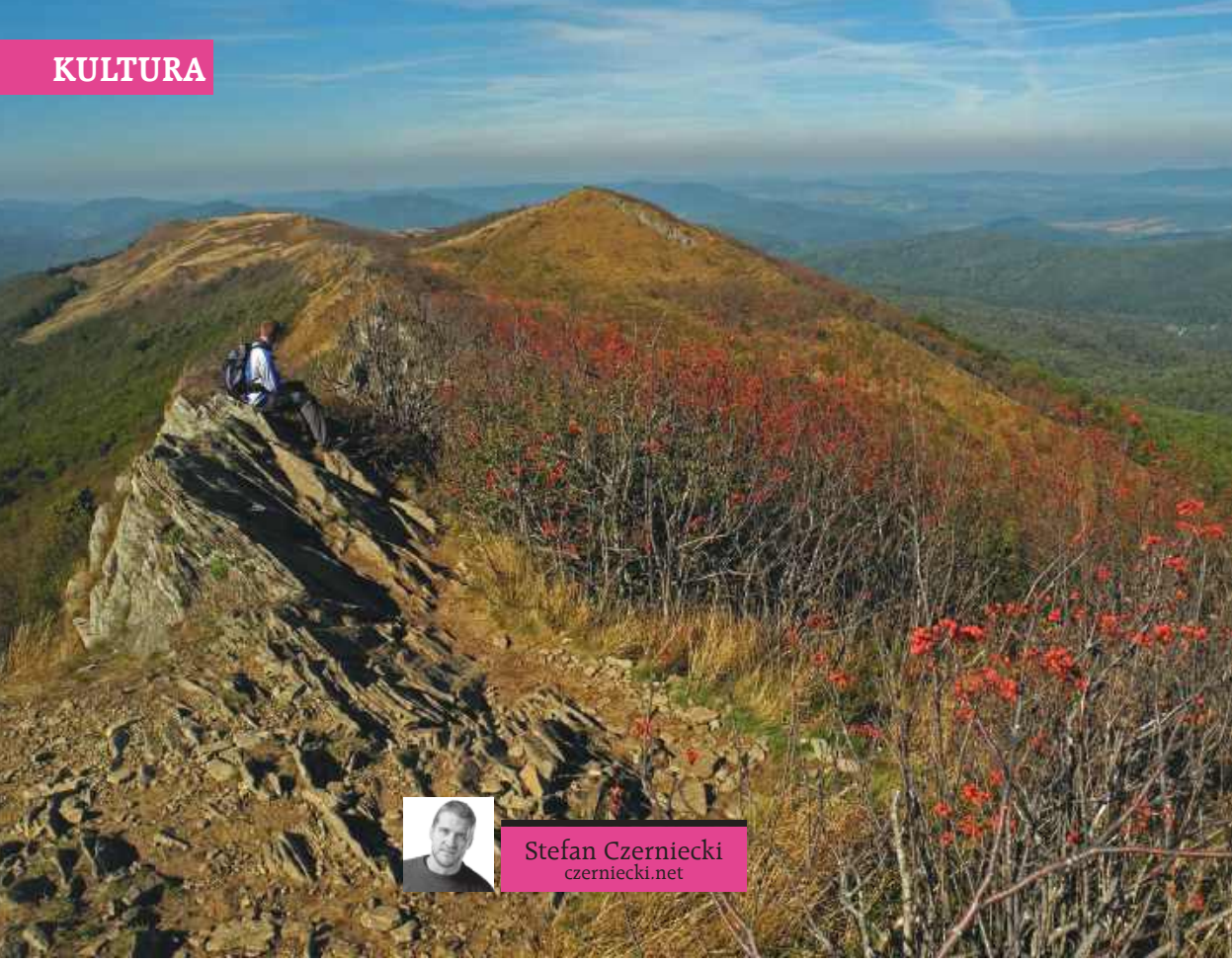

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Majster Bieda i inni

Dla wielu z nas historia Władysława Nadopty – powszechnie znanego jako Majster Bieda – i jemu podobnych to okraszone zakapiorską aurą romantyczne biografie ludzi, którzy pokochali wolność. Pewnie troszkę tak jest. Jednak za każdą z tych bieszczadzkich postaci kryje się także drugi obrazek. Mniej popularny. Obrazek zwykłej szarej codzienności. Skraplanej szklankami gorzkiej wódki, ciężkiej pracy przy wycince lasu zimą czy kilkudniowych przymusowych głodówek. Bo życie przecież nigdy nie jest jednowymiarowe.

eprasa.pl f114f6759d

Kiedy w latach 60. odważnie odmówił lokalnym władzom brania udziału w rozbieraniu bieszczadzkiej cerkwi w Lesku, od razu trafił na „czarną listę". Od tej pory nie mógł już nigdzie znaleźć legalnego zatrudnienia. O to już się miała zatroszczyć władza. A przecież żyć jakoś trzeba było. Wprawdzie utrzymywać musiał już tylko siebie. Żonę wraz z synem zostawił bowiem na Śląsku, przyjeżdżając na „polski Dziki Zachód", w Bieszczady, bez niczego. I nikogo. Z czasem stając się zakapiorską legendą tej malowniczej krainy.

» Niedostępny folklor

W Bieszczady trafił ze Śląska, do którego zresztą nigdy nie pasował. Wszak górnikiem trzeba się urodzić. A on pochodził przecież z ukraińskiego stepu. To głód na Kresach, w jego rodzinnym Lwowie, sprawił, że rozpoczął tułaczkę. Od Bałtyku po Tatry. Lądując na wspomnianym Śląsku.

Gdy trafił w Bieszczady, zatrudnił się wpierw przy wycince drzew. Ciężka praca. W letniej spiekocie bądź zimowych mrozach. Bez taryfy ulgowej. Bez znieczulenia. To ostatnie zmęczonemu ciału dawała niestety tylko wódka. I właśnie takiego człowieka: styranego pracą w lesie, wyrzuconego z pracy za odmówienie rozbiórki cerkwi, niestroniącego od alkoholu, siedzącego gdzieś nad rowem – spotkał któregoś dnia Lutosław Pińczuk. Widząc zagubionego mężczyznę, zaproponował mu pracę. Tak spotkanie to opisał potem Wojciech Belon: „Skąd przychodził, kto go znał,/ Kto mu rękę podał kiedy?/ Nad rowem siadał, wyciągał chleb,/ Przekładał serem i dzielił się z psem…"

Sławna piosenka o „Majstrze Biedzie" prędko podbiła serca wielu. Niewielu jednak wiedziało, że śpiewa właśnie o nim. O Władysławie Nadopcie, o którym będą po latach krążyć legendy, którego pseudonim „Majster Bieda" będzie już nierozłącznie kojarzony z tym skrawkiem kraju. Sławnym z dzikich i gęstych lasów, groźnych niedźwiedzi, przepięknych cerkwi i tego zupełnie egzotycznego folkloru. Niedostępnego dziś nigdzie indziej na świecie.

» Znawca, który potrafi się zgubić

Majster Bieda żył prosto. Od lutego do maja zbierał po lasach poroże po jeleniach. Na wiosnę przenosił się do swego szałasu w puszczy. I zaczynał przesiadywać nad rzekami, łowiąc pstrągi. W przerwach między łowieniem zbierał jagody. Gdy noce zaczynały być chłodniejsze, a słońce nie paliło już tak jak w lipcu, zaczynał zbierać grzyby. Na zimę ponownie zatrudniał się do pracy w lesie. Porzucając na kilka miesięcy swój ukochany szałas na rzecz nieco cieplejszego hotelu robotniczego.

Sami bieszczadzcy przewodnicy są zdania, że nie było w historii Bieszczadów nikogo, kto by tak dobrze znał góry i tutejsze lasy jak on. Andrzej Potocki, znawca tego zakątka świata, pisarz i dziennikarz, twierdził swego czasu, że „nie było w Bieszczadach ścieżki, nawet spośród tych, co chodzą nimi tylko dzikie zwierzęta, której nie przeszedłby kilkanaście, a może kilkadziesiąt razy.". Co nie znaczy, że sam Majster Bieda nigdy się nie gubił.

Było to zimą w okolicy Sianek. Śnieg w lesie sięgał miejscami pasa. Nasz bieszczadzki włóczęga był już bardzo zmęczony. Naraz przyszło załamanie pogody. Zamieć sprawiała, że widoczność zmalała praktycznie do zera. Na dodatek zaczynało zmierzchać. Idąc bez większej wiary, że znajdzie jakikolwiek ludzki ślad, Nadopta dotarł do starej, zrujnowanej bacówki. Chata złożona była z trzech ścian, spiętych kawałkiem dachu. Majster Bieda zdjął drzwi z zawiasów i wymościł sobie na nich legowisko. Następnie rozebrawszy kawałek drewnianego płotu, rozpalił z niego ognisko. Po pierwsze: aby się ogrzać. A po wtóre: aby odstraszyć

eprasa.pl f114f6759d

wałęsające się po zaśnieżonym lesie wilki. Tak oto w półsennym letargu dotrwał do świtu. I gdy zaczęło dnieć, ku swemu zdziwieniu spostrzegł, że znajduje się kilkadziesiąt metrów od drogi do Sianek.

» Żona przegrana w pokera

Nie stronił od ludzi. Tych nie lubił jedynie, gdy wyprawiał się do lasu na poszukiwania jelenich poroży. Znał żerowiska i doskonale wiedział, gdzie zwierzęta gromadzą się stadami. Zebrane zrzuty sprzedawał na kilogramy. Gdy znajdywał całą koronę, sprzedawał turystom już na sztuki. Wtedy zarobek trafiał zwykle do lokalnych karczm.

Tam niejednokrotnie dawał namówić się przez kompanów do gry w pokera. Czasem wygrał, czasem przegrał. Gdy działo się to drugie i Majstrowi Biedzie brakowało już pieniędzy, potrafił rzucić na stół zdjęcie swojej żony, zostawionej notabene daleko na Śląsku. Świadkowie widzący zdjęcie twierdzili zgodnie, że to piękna i młoda dziewczyna. Jednak i tym razem Nadopta przegrał i z niesmakiem musiał dać wygranemu adres swojej ukochanej.

Z ludźmi obcował także już na stare lata. Gdy nie miał już sił do pracy przy wyrębie lasu ani do dźwigania kilkudziesięciokilogramowych worków z jagodami. Wówczas postawił na grzyby. Sprzedawał je turystom, pomieszkując w szałasie na Przełęczy Wyżnej nad Połoniną Wetlińską.

» Bieszczadzka zwyczajność

Właśnie na Przełęczy Wyżnej Majster Bieda spotkał tego, dzięki któremu został później Majstrem Biedą, Wojciecha Belona. Młody bard miał wtedy może 17 lat. Zatrudnił się w schronisku na Połoninie Wetlińskiej. Gdy w schronisku pojawiała się jakaś grupa turystów, przysiadał się do nich z gitarą i umilał czas. A oni częstowali go w zamian tym, co mieli. Tak młody Belon poznał Władysława Nadoptę, o którym potem napisał utwór „Majster Bieda". Co ciekawe, przez długi czas sam bohater piosenki nie miał pojęcia, że ktoś napisał o nim utwór.

A potem przyszła „sława". Gdy turyści dowiadywali się, że rozmawiają ze sławnym Majstrem Biedą, zapraszali go do ogniska. I od razu zasypywali gradem pytań. Mając nadzieję, że usłyszą jakieś krwiożercze opowieści o spotkaniach z niedźwiedziami czy wilkami. Wówczas sam Nadopta, nieco zawstydzony, pokornie schylał głowę. Bo wiedział, że nie ma tym ludziom nic wyjątkowego do opowiedzenia. Wszak jego życie było naprawdę proste. Spotkanie z niedźwiedziem czy wilkiem stanowiło po prostu punkt dnia. Ot, bieszczadzka zwyczajność.

» Śmierć i pochówek

Majster Bieda odszedł 21 lat temu,18 czerwca 2005 roku. Pochowany został w Jasieniu. Na nie do końca swojej ziemi. Daleko od gór. Daleko od połonin. Dlatego gdy jego grób odwiedzał wspomniany Andrzej Potocki, przyznał się, że nie odmówił nad mogiłą „Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie". Mocno bowiem wierzy, że przyjdzie czas, gdy ciało Nadopty zabiorą z jasieńskiego cmentarza i przeniosą gdzieś wyżej. Gdzie od czasu do czasu zakołuje nad jego grobem górski jastrząb, a bieszczadzkie buki rzucą cień popołudniowego słońca na jego miejsce pochówku.

» Król od Pustelni

Opowieści o Majstrze Biedzie i jemu podobnych wracają do mnie co roku właśnie w okolicach wakacji. Gdy serce rwie się do lasu jakby skoczniej. Gdy na samą myśl o chłodzie jeziora czy spiekocie górskiej polany oddech przyspiesza.

Nie ma lepszego miejsca do opowiadania sobie tych z życia wziętych historii niż to tutaj. Bieszczady. Opowieści takich jak choćby ta o Julku. Do dziś znajomi mówią o nim per „Julek spod dębu". Juliusz Wasik – bo tak się nazywał

eprasa.pl f114f6759d

– wybudował sobie swego czasu samotnię. Nad brzegiem Zalewu Solińskiego, gdy ten nie był jeszcze tak turystycznie zadeptany jak dziś. Julek budował z wyłowionych z jeziora mokrych dykt, które następnie osuszał i wydźwigiwał kilka metrów ponad ziemię. Szpary między belami uszczelniał mchem. Wedle wyznawanej przez siebie maksymy – nikogo nie prosił o pomoc. Gdy dzieło było prawie ukończone, mężczyzna znalazł w kniei pozostawione przez kogoś drzwi. Zamontował je jako wejście do swojej chaty, a nad nimi powiesił deskę. Z napisem „Pustelnia". Gdy do jego chatki przybywał ktoś znajomy – zwykle nie sam, a z obowiązkową butelką – wówczas nasz bohater przekręcał tabliczkę na drugą stronę. Tę, na której widniał napis „Tawerna". I żył tak sobie „Julek spod dębu" w swojej Pustelni. Zimą pomieszkując w rodzinnym Olsztynie, wczesną wiosną wracając w ukochane Bieszczady nad Solinę, gdzie znów mógł pobyć sam czytając w oryginale Kanta i studiując filozofię. Z czasem zaś ogłaszając się królem. Królem włóczęgów. I samych bieszczadzkich zakapiorów. Wśród nich zresztą też odszedł z tego świata. Cztery lata temu.

» Ciężarna żona i mecz

Podobnie tułaczą dolę wybrał również nieżyjący już Zdzisław Rados, niezwykły rzeźbiarz. To ten, któremu w czasach PRL-u milicjanci kilkukrotnie podpalali nielegalny w ich mniemaniu szałas postawiony na Połoninie Caryńskiej. Po trzecim podpaleniu niezadowolony zakapior postawił kolejny szałas. Tym razem z kartonikiem, który wystawiał, gdy szedł zbierać jagody. A widniał na nim napis: „Nie podpalać beze mnie". Gdy wracał i szedł spać, odwracał kartkę, gdzie było napisane z kolei: „Nie podpalać ze mną".

Jeszcze inną opowieścią może być historia Ryszarda. Tego, który wysiłkiem katorżniczej pracy na stacji kolejowej w Ustrzykach Dolnych zakupił wymarzoną ziemię na Strzebowiskach z widokiem na Smerek i obie Połoniny. Do dziś można w Bieszczadach usłyszeć anegdotę urodzin jednego z jego dzieci. Był rok 1974, gdy wraz z kolegami oglądał w swoim gospodarstwie mecz Polska–Brazylia. Ciężarną żonę wysłał zaś Ryszard z anteną na pole, aby szukała sygnału. Gdy naraz zawiązywała się akcja naszego zespołu i Kasperczak podawał akurat do Deyny, na ekranie pojawił się szum. „Danusia, pójdź jeszcze kawałek z tą anteną!" – krzyczeli chórem kibice, by po chwili, gdy obraz wrócił, zakomunikować łaskawie. „O, jest, jest! Już widać!". Gdy obraz ponownie zniknął, zaniepokojony Rysiek wyszedł z chaty. Zobaczył wówczas żonę, siedzącą pod ścianą: – Rysiek, ja już nie mogę. Rodzić będę.

» Słowo to słowo

Bo podobnych anegdot Bieszczady znają dziś bez liku. Wszak właśnie te góry stały się miejscem, które kształtowało bardzo określony typ ludzi. Z jednej strony dając im upragnioną wolność – tak deficytowy towar XX i XXI wieku – z drugiej zaś maksymalnie ich od siebie uzależniając.

Niektórzy do dziś widzą w nich meneli, alkoholików, nierzadko chamów i megalomanów. Inni podziwiają za hart ducha, życiową mądrość i niebanalną inteligencję. No i za odwagę. Bo co tu ukrywać? Trzeba ją po prostu mieć, aby rzucając wszystko, przeprowadzić się w najbardziej dzikie z polskich gór i wziąć się z naturą za rogi. Akcentując w tym wszystkim swoisty „zakapiorski honor". Na czym on polega? A choćby na tym, co zrobił swego czasu Jasiek z Łupkowa. Założył się z kumplami o litr spirytusu, że sam odrąbie sobie siekierą lewą dłoń. Słowo wyrzekł, więc go dotrzymał. Za samookaleczenie trafił dodatkowo do więzienia. A gdy wyszedł, koledzy postawili mu obiecaną nagrodę. Słowo to słowo. Zwłaszcza wśród zakapiorów. Szczególnie tych bieszczadzkich. ■

eprasa.pl f114f6759d

Reinhard Bingener, Markus Wehner, „Moskiewski łącznik", tłum. Joanna Czudec, Instytut Zachodni, Poznań 2023.

Krzysztof Wołodźko

Schröder i Putin. Geopolityczny thriller

„Moskiewski łącznik" Reinharda Bingenera i Markusa Wehnera opisują niemiecki system polityczny jako głęboko skorumpowany przez Moskwę. Autorzy skupiają się na tamtejszej socjaldemokracji i jej długoletnim liderze Gerhardzie Schröderze, ale mówią też dużo o mitach i interesach, które ułatwiły Władimirowi Putinowi, rosyjskiemu autokracie, geopolityczną zemstę za upadek Sowietów.

eprasa.pl f114f6759d

Gerhard Schröder – stary mężczyzna z chciwością wypisaną na twarzy, kordialnie ściskający dłoń Władimirowi Putinowi. Być może tak wielu z nas kojarzy się niegdysiejszy kanclerz Niemiec, lider SDP. Młody Schröder, mieszkaniec zachodnich Niemiec, zachwycał się rewolucjonistami – Fidelem Castro i Che Guevarą. Opowiadał później, że oni „byli dla nas lewicowców obiektem westchnień około 1968 r., gdy zaczynałem się uczyć polityki". Ale polityczny pragmatyzm znaczy więcej – młody niemiecki socjaldemokrata bardziej koncentruje się na karierze niźli neomarksistowskich dyskusjach. Jako szef młodych socjalistów (Jusos) spostrzega, że najważniejszy jest wizerunek wyważonego działacza: „[...] zanim przejdzie do zawodowców, dość gwałtownie porzuci wywrotowe pomysły partyjnej młodzieżówki". Nie mniej istotna jest inna sprawa. Autorzy poświęconej mu książki wskazują: „[...] od samego początku kariery Schröder kieruje sympatię i zainteresowanie bardziej ku Moskwie niż Waszyngtonowi. Zawsze też ze zręcznością wirtuoza wykorzystuje podskórny antyamerykanizm cechujący zarówno jego partię, jak i niemieckie społeczeństwo".

» Brązowe oczy Castro i rosyjski gaz

Niemiecki polityk zakorzenił się w rosyjskiej ziemi: w 1978 roku reprezentował Jusos na Wielkim Kongresie Młodzieży Radzieckiej w Moskwie. W opublikowanym w tamtym czasie artykule na łamach „Komsomolskiej Prawdy" popierał sowiecką krytykę amerykańskich zbrojeń zachodniej Europy. Na początku lat 80. nawet niemieccy towarzysze byli zdziwieni jego jednoznacznym poparciem moskiewskiej strategii geopolitycznej: „[...] w grudniu 1981 r. Schröder opowiada się za zdystansowaniem się Republiki Federalnej od Waszyngtonu i wraz z 23 posłami SPD domaga się przekierowania miliarda marek z budżetu obronnego na pomoc rozwojową". W kolejnych latach skupiał się na budowaniu swojej pozycji w partii: lider z awansu społecznego otaczał się ludźmi kultury i sztuki, co było dobrze widziane przez lewicującą klasę średnią.

Z czasem zdobył przychylność części lewicowych niemieckich publicystów. Jeden z nich tak relacjonował jego podróż na Kubę: „Na twarzy Castro malowała się łagodność, jego wielkie brązowe oczy spoczywały nieustannie na Schröderze". Socjaldemokrata z RFN doskonale czuł się wśród komunistów zza żelaznej kurtyny. W kolejnych latach odbył całą serię podróży do podporządkowanej Sowietom Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Sygnały alarmowe brzmiały coraz mocniej: rosnący w siłę Schröder obiecywał wschodnioniemieckiemu satrapie Erichowi Honeckerowi, że jako premier Dolnej Saksonii zamknie Centralny Rejestr Sądowy w Salzgitter, który dokumentował przestępstwa NRD-owskiego reżimu wobec obywateli. Bingener i Wehner piszą bez ogródek: „Schröder już w tamtym czasie wykazuje w relacjach ze Wschodem gotowość do przehandlowania obrony praw człowieka za lepsze kontakty z tamtejszą władzą". Życzliwy Sowietom polityk zachodnioniemieckiej socjaldemokracji był też sceptyczny wobec zjednoczenia Niemiec. Najpierw bardzo krytycznie odnosił się do uciekinierów z NRD do RFN, a po upadku Muru Berlińskiego w kampanii wyborczej przedstawiał się jako przeciwnik socjalnego wsparcia dla „wschodniaków" („Ossi"). To nie była tylko jego linia polityczna: niemiecka socjaldemokracja starała się opóźnić reintegrację Niemiec. Schrödera nie obchodził los wschodnich Niemców – bardzo go za to interesowały umowy handlowe z Moskwą. W 1991 roku znów zawitał do Moskwy, gdzie jako premier kraju związkowego zawarł z Rosjanami umowę na syberyjską ropę i gaz.

» Schröder, czyli „towarzysz prezesów"

Pod koniec lat 90. wokół pnącego się w górę socjaldemokraty powstała grupa wpływu, nazywana z angielska FROGS („żaby") – friends of Gerhard

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl f114f6759d

Schröder. Był wśród nich Frank-Walter Steinmeier, późniejszy prezydent Niemiec. Jeszcze w latach 80. pracował on dla czasopisma prawniczego „Demokratie und Recht", które było pod obserwacją Urzędu Ochrony Konstytucji (sic!) i w znacznej mierze było finansowane przez NRD. Steinmeier w czasach przełomu był przeciwnikiem zjednoczenia Niemiec. W czasie rozmowy kwalifikacyjnej Schröder miał powiedzieć do dobrze się zapowiadającego młodego polityka: „Pasujesz do nas". Wśród „żab" był adwokat ludzi z półświatka i wielki zwolennik liberalizacji prostytucji Götz von Fromberg. Autorzy „Moskiewskiego łącznika" sugerują, że również on stał za liberalizacją prawa wprowadzoną przez lewicowy rząd w Niemczech w 2002 roku. „Reforma, która w założeniu miała doprowadzić do emancypacji pracownic seksualnych, uczyniła z Niemiec w praktyce »burdel Europy« o strukturze przywołującej na myśl handel ludźmi, gdzie wykorzystuje się głównie kobiety zza granicy".

Wśród przyjaciół Schrödera byli prawnicy, menedżerowie, przemysłowcy, szemrani lekarze z koneksjami wśród ludzi arabskich reżimów, słynni artyści, w tym Klaus Meine ze Scorpions (zespołu, który wyśpiewał wielki hymn „końca historii" i niemiecko-rosyjskiego pojednania, czyli „Wind of change"). Wyróżniało ich jedno: zrobią interesy z każdym, byle przyniosły im wielkie pieniądze. Drobny smaczek: zdjęcie ludzi z tego towarzystwa, w doskonałych humorach, popijających szampana w towarzystwie Schrödera autorzy książki opatrzyli cytatem z „Wind of change": „And did you ever think that we could be so close like brothers?" („Czy pomyślałbyś kiedykolwiek, że będziemy tak blisko, jak bracia?"). Oto kawiorowa lewica na turbodopalaczach, której możliwości i wpływów mogliby tylko pozazdrościć nadwiślańscy postkomuniści i młoda neolewica. Bingener i Wehner nie mają wątpliwości: „W Hanowerze powstała grupa [...] sympatyków SPD, o dochodach przekraczających najwyższy próg podatkowy, w którym to środowisku chętnie obraca się w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych Schröder. Jest to też jeden z powodów, dla których eksdziałacz młodzieżówki z lewego skrzydła partii uchodzi potem za »towarzysza prezesów«".

» Socjaldemokraci nie chcą Solidarności

Przyciąganie i odpychanie w niemiecko-rosyjskich relacjach ma głębokie historyczne korzenie: niemieccy osiedleńcy, dyplomaci, biurokraci, przemysłowcy i filozofowie odcisnęli potężne piętno na rosyjskiej historii, szczególnie po upadku I Rzeczypospolitej. Skupmy się jednak na bliższych nam czasach. Przykład Schrödera pokazuje, że niemiecko-rosyjska polityka pod koniec XX wieku i na początku XXI zbudowana była w znacznej mierze nie tyle na „ekonomicznie racjonalnych" interesach między poszczególnymi sektorami prywatnych biznesów, ile na postsowieckich koneksjach i rosnącej chciwości elit, których istotny element stanowiła skorumpowana przez wielki biznes tzw. stara socjaldemokracja.

To, co znamy jako Nord Stream i Nord Stream 2, to nie zwykły biznes, lecz konsekwencje długotrwałego niemiecko-rosyjskiego paktu. Bingener i Wehner bacznie przyglądają się niemieckiej socjaldemokracji pod koniec XX stulecia. Mówią o jej niechęci do św. Jana Pawła II i Solidarności – bardziej kalkulowało się wówczas pacyfikowanie naszych dążeń do suwerenności i odrodzenia „idei polskiej". Zachodnioniemieccy socjaldemokraci dogadywali się z towarzyszami z NRD w sprawie „zdecydowanych kroków przeciwko Polsce": „SPD nie ma żadnego zrozumienia dla sił demokratycznych, dla ruchów obrony praw obywatelskich, które usiłują przeforsować w krajach bloku wschodniego reformy społeczne i demokratyczne". Autorzy „Moskiewskiego łącznika" – niestety na wyrost – piszą, że już po 1989 roku nie zapomnieli tego niemieckim socjaldemokratom ani polscy i czescy politycy, ani społeczeństwa tych państw. Rosjanie i Niemcy ściskali sobie ręce ponad głowami zniewolonych

eprasa.pl f114f6759d

narodów. I nie dotyczyło to tylko „czerwonych żab": w czasach geopolitycznego przełomu kanclerz Niemiec „Helmut Kohl [również] utrzymywał bardzo przyjacielskie relacje z Borysem Jelcynem, byli znani jako koledzy z jednej sauny".

» Człowiek KGB i starzy kawiorowi lewacy

Gerhard Schröder piastował urząd kanclerza RFN w latach 1998–2005. Putin objął władzę w Rosji w 2000 roku (choć warto przypomnieć, że urząd premiera objął latem 1999 roku) – i stopniowo obłaskawiał niemieckiego socjaldemokratę. Pochlebstwa, prywatne przysługi i finansowe obietnice: były funkcjonariusz KGB wiedział, jak rozmawiać z kawiorowym lewicowcem. Bingener i Wehner sięgają po wymowne obrazy: przez zaśnieżoną Moskwą ciągną sanie zaprzężone w słynną rosyjską trojkę, a w nich kanclerz Niemiec i prezydent Rosji. Biesiady i wizyty w Ławrze Troicko-Sergiejewskiej, rodzinna atmosfera i wspólny język – Władimir i Ludmiła, ówczesna żona Putina, dobrze mówili po niemiecku. W połowie 2004 roku Schröder i jego czwarta żona Doris Schröder-Köpf adoptowali trzyletnią Rosjankę z domu dziecka w Sankt Petersburgu. Dwa lata później Schröderowie adoptowali rocznego rosyjskiego chłopczyka: „Putin pomógł w załatwieniu sprawy bez zbędnej biurokracji i zwyczajowej łapówki". Nikt przecież nie ośmieliłby się nazwać tego handlem ludźmi!

Prywatna sympatia, w tym kolejne wspólne święta Bożego Narodzenia, przełożyły się na polityczne realia: socjaldemokratę Schrödera mało obchodziło łamanie praw człowieka w Rosji, każdy geopolityczny sygnał alarmowy tłumaczył na korzyść nowego władcy na Kremlu. Niemiecki kanclerz pił piwo, którego nawarzył mu Putin: kierowany przez SPD rząd federalny chciał poręczyć kredyt dla Gazpromu w wysokości 2 mld euro. To były przygotowania pod gazociąg bałtycki, który miał ominąć Polskę, Ukrainę, kraje nad Bałtykiem. Tego było dość nawet niemieckiej opinii publicznej – Niemcy nie chcieli dawać takiego prezentu wielkiej rosyjskiej firmie. Schröder tłumaczył, że „o niczym nie wiedział". Jego wersja brzmiała następująco: „Rozbudowa relacji gospodarczych powinna wesprzeć modernizację i przemiany rosyjskiego społeczeństwa, pomóc wciąż słabej klasie średniej stanąć na nogi, ta ma potem stać się nośnikiem demokratycznych reform".

Bingener i Wehner wskazują, że niemieckie elity zdawały sobie sprawę, że sytuacja wcale nie wygląda tak optymistycznie. Tyle że była to wiedza skutecznie wygłuszana i wyciszana. Urzędnicy MSZ przed długie lata raportowali przełożonym, że Putinowi nie można ufać, ponieważ rządzi metodami, których nauczył się w KGB. Co z tego, skoro zagraniczną politykę ustawiał Frank-Walter Steinmeier, „czerwona żaba": szef Urzędu Kanclerskiego w latach 1999–2005, a następnie minister spraw zagranicznych (2005–2009 i 2013–2017) i wicekanclerz Niemiec (2007–2009). Steinmeier uwielbiał Dmitrija Miedwiediewa i bardzo chętnie legendował go jako rosyjskiego liberała i kremlowskiego „gołębia". Gdy w 2008 roku Lech Kaczyński ostrzegał w Gruzji Europę i świat przed odradzającym się rosyjskim imperializmem, Steinmeier, człowiek Schrödera (i pośrednio Putina), konsekwentnie bronił Moskwy przed sankcjami. Publicznie ogłaszał, że „pokój nie polega już na odstraszaniu metodami militarnymi, lecz na gotowości do współpracy". Polityka Berlina była polityką kontynuacji: świat może płonąć, a starzy i nowi ludzie, stare i nowe nurty i siły polityczne wciąż tęsknią za znakomitymi relacjami z Moskwą.

„Moskiewskiego łącznika" można czytać jak najlepszy thriller geopolityczny. Mamy bowiem do czynienia z historią, która w coraz bardziej niepokojący sposób pisze się na naszych oczach. Ta lektura mogłaby być nauczką dla wielu nadwiślańskich zwolenników niemiecko-rosyjskiego resetu, wdrażanego także kosztem Polski. Kłopot w tym, że oni, jak psy Pawłowa, wierzą, że od zawsze ostrzegali przed Berlinem i Moskwą. ■

eprasa.pl f114f6759d

Kiedy Jan Jekielek po raz pierwszy usłyszał o przymusowym pobieraniu organów w Chinach, jego reakcją była odraza i niedowierzanie. Wiedział już, do czego zdolna jest Komunistyczna Partia Chin, lecz nie chciał przyjąć, że proceder jest aż tak skrajny. 20 lat później ten sam dziennikarz, redaktor amerykańskiego „The Epoch Times" i gospodarz programu „American Thought Leaders", wydał książkę będącą kulminacją dwóch dekad śledztwa.

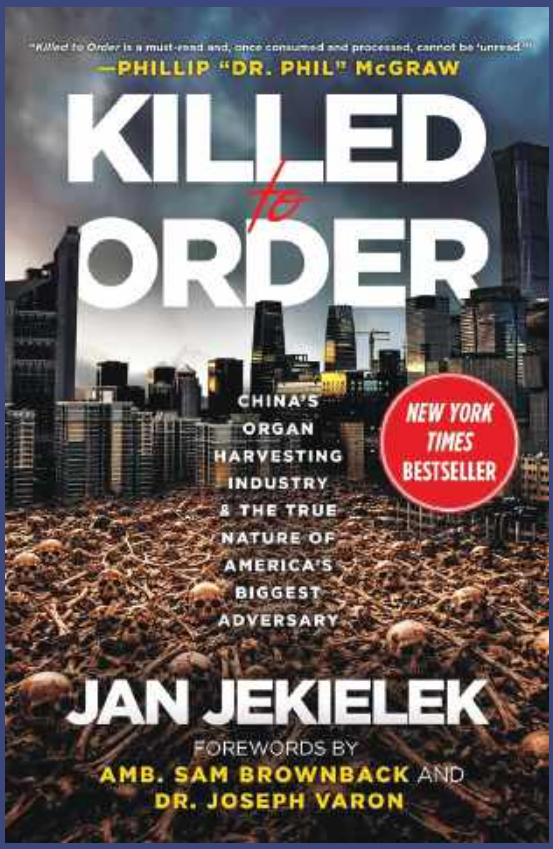

Hanna Shen

„Zabici na zamówienie". Co Zachód woli przeoczyć

eprasa.pl f114f6759d

Killed to Order: China's Organ Harvesting Industry and the True Nature of America's Biggest Adversary" („Zabici na zamówienie. Chiński przemysł pobierania organów i prawdziwa natura największego wroga Ameryki") trafiło na listę bestsellerów „The New York Times" w marcu 2026 roku. Nie jest to jednak książka o medycynie, lecz o naturze reżimu, który zabija na zamówienie, i o Zachodzie, który wolał tego nie widzieć.

» Logiczna konsekwencja chińskiego systemu

Teza Jekielka jest prosta i niewygodna. Przymusowe pobieranie organów nie jest patologią na marginesie chińskiego systemu, lecz jego logiczną konsekwencją. Autor opisuje to jako utylitarystyczną bioetykę, którą partia doprowadziła do skrajności. W chińskiej opiece zdrowotnej istnieją w istocie dwa porządki: znakomity system dla elity partyjnej, który Jekielek nazywa wprost przemysłem przedłużania życia kadr, i podstawowy, niedofinansowany, przeżarty korupcją system dla całej reszty. Nie jest to skutek zaniedbań, lecz konstrukcja. Tam, gdzie tradycyjna etyka lekarska stawia w centrum konkretnego pacjenta, bioetyka utylitarystyczna liczy statystykę i cel populacyjny: „największe dobro dla największej liczby", z zastrzeżeniem, że partia zawsze stoi na pierwszym miejscu, bo bez niej nie ma państwa. Jeśli poprawa ogólnego obrazu wymaga poświęcenia jednostki, to poświęcenie jest uzasadnione. Człowiek staje się zmienną w równaniu.

Polski czytelnik rozpozna tę logikę natychmiast, bo zna ją z własnej historii. To ta sama logika, którą Stalin streścił w słynnym powiedzeniu, że aby zrobić omlet, trzeba rozbić kilka jajek. Jekielek nie ucieka od tego porównania, przeciwnie, czyni z niego oś książki. Komunizm w wydaniu chińskim doprowadził utylitarystyczną kalkulację do skrajności, której nie znał nawet sowiecki system. Autor przypomina politykę jednego dziecka, obowiązującą od 1979 do 2015 roku, którą trafnie opisuje nie jako program demograficzny, lecz jako wojnę z tradycyjną chińską rodziną. Przymusowe aborcje i sterylizacje, donosicielstwo i lokalne kwoty miały jeden cel: zatomizować społeczeństwo i pozostawić jednostkę samotną, zależną i posłuszną wyłącznie państwu. Silna rodzina jest bowiem naturalnym konkurentem partii. Kto zna PRL, nie potrzebuje tłumaczenia, dlaczego reżim totalitarny uderza najpierw w rodzinę.

» Logika dawcy na żądanie

Jekielek ilustruje ten mechanizm konkretami, które zostają w pamięci. Izraelski lekarz opowiada ze zgrozą, jak jego pacjent zaplanował przeszczep serca w Chinach w dwutygodniowym terminie. Chiński lekarz obsługujący elitę opisuje, jak w krótkim czasie pozyskał osiem nerek, by znaleźć idealne dopasowanie dla jednego klienta. Deklarowany przez Pekin w 2015 roku zwrot ku wyłącznie dobrowolnemu dawstwu pozostaje przy tym fikcją na papierze. Niezależny Trybunał do spraw Przymusowego Pobierania Organów w Chinach, obywatelski trybunał powołany w Wielkiej Brytanii, któremu przewodniczył sir Geoffrey Nice, były główny oskarżyciel w procesie Slobodana Miloševicia przed trybunałem ONZ dla byłej Jugosławii, stwierdził wprost, że nie ma żadnego dowodu na rozmontowanie potężnej infrastruktury transplantacyjnej i – wobec braku wiarygodnego wyjaśnienia źródła narządów – uznał, że proceder trwa nadal. Logika dawcy na żądanie, w której popyt płacącego klienta uruchamia podaż, a nie odwrotnie, odróżnia chiński przemysł od jakiegokolwiek etycznego systemu transplantacyjnego na świecie.

Z tej samej logiki wynika przymusowe pobieranie organów. Po delegalizacji Falun Gong w 1999 roku, duchowej praktyki opartej na prawdomówności, współczuciu i wyrozumiałości, którą uprawiały dziesiątki milionów Chińczyków, reżim

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl f114f6759d

z dnia na dzień uznał jej wyznawców za wrogów państwa. Jekielek, sam praktykujący Falun Gong, opisuje, jak partia dysponowała nagle milionami więźniów sumienia, w większości młodych i zdrowych. Ten sam Trybunał Nice'a w marcu 2020 roku orzekł ponad wszelką wątpliwość, że proceder jest prowadzony od lat na znaczącą skalę, a praktykujący Falun Gong stanowią główne jego źródło; oszacował przy tym liczbę operacji na 60 tys.–90 tys. rocznie w latach 2000–2014! Reżim nigdy nie wyjaśnił, skąd przy niemal nieistniejącym dawstwie dobrowolnym biorą się narządy dostępne w ciągu kilku dni. Jekielek szacuje wartość tego przemysłu na 9 mld dolarów.

» Proceder jak najbardziej aktualny

Najmocniejszy element książki nie dotyczy jednak Chin, lecz Zachodu. Jekielek formułuje oskarżenie, którego większość zachodnich komentatorów woli unikać: wolny świat nie jest biernym świadkiem, lecz współsprawcą. W wywiadzie dla Voice of America mówił bez ogródek, że Zachód szkoli chińskich chirurgów, dostarcza technologie, finansuje część szpitali zamieszanych w proceder i utrzymuje partnerstwa między instytucjami badawczymi. Następstwa dla bezpieczeństwa narodowego są, jak podkreśla, ogromne, bo Zachód współpracuje z reżimem, dla którego zabijanie na zamówienie jest standardowym elementem jego metody działania. To czyni z książki coś więcej niż reportaż o odległym okrucieństwie; to diagnoza zachodniej iluzji, że z takim reżimem można robić interesy, jakby nic się nie stało.

I tu pojawia się powód, dla którego polski czytelnik nie powinien traktować tej książki jak relację z drugiego końca świata. Proceder jest aktualny, a jego macki sięgają demokratycznego sąsiedztwa Chin i samej Europy. Najświeższym dowodem jest sprawa, która wiosną 2026 roku wstrząsnęła tajwańskim środowiskiem medycznym. Doktor Chen Yao-li, jeden z najbardziej znanych tajwańskich specjalistów od przeszczepów wątroby i były wicedyrektor szpitala uniwersyteckiego Chung Shan, został prawomocnie skazany za nielegalne pośrednictwo w wysłaniu dziewięciu pacjentów do Chin na przeszczepy wątroby i nerek. Sąd ustalił, że proceder trwał od 2008 roku, lekarz pobierał od kilkuset tysięcy do ponad miliona nowych dolarów tajwańskich od pacjenta i osobiście instruował podczas operacji na chińskich salach, zarabiając łącznie 14,66 mln (około 470 tys. dolarów amerykańskich). Spośród sześciu pacjentów, których losy sąd prześledził najdokładniej, pięciu zmarło. 2 czerwca 2026 roku ministerstwo zdrowia odebrało Chenowi prawo wykonywania zawodu; to pierwszy taki przypadek w historii Tajwanu.

Za samo pośrednictwo Chen dostał 2 lata pozbawienia wolności w zawieszeniu na 5 lat. Prokuratura chciała jednak kary surowszej, bez zawieszenia, argumentując, że proceder wiąże się z przymusowym pobieraniem organów od więźniów sumienia. Sąd drugiej instancji tego nie uwzględnił, przyjmując argument obrony, że nie ma bezpośredniego dowodu na zbrodnicze pochodzenie organów. Trzeba tu być precyzyjnym: dowiedziono tu pośrednictwa, a nie samego żywego pobrania.

I właśnie tu sprawa Chena spotyka się z tezą książki, bo tajwański lekarz nie wysyłał pacjentów w przypadkowe miejsce. Podczas wymiany medycznej poznał szefa centrum transplantacyjnego w Trzecim Szpitalu Xiangya w prowincji Hunan i właśnie tam kierował swoich pacjentów. Szpital ten był już wcześniej publicznie wskazywany przez niezależnych badaczy jako ośrodek powiązany z ogólnokrajowym systemem dystrybucji organów pobieranych od więźniów sumienia. Pacjenci Chena trafiali zatem dokładnie do placówki obciążonej najpoważniejszymi zarzutami. Tłumaczy to absurdalnie krótki czas oczekiwania: podczas gdy w Kanadzie na przeszczep serca czeka się miesiącami lub latami, w Chinach

eprasa.pl f114f6759d

można go otrzymać w ciągu tygodni, co jest możliwe tylko wtedy, gdy dawcę dobiera się do biorcy, a nie biorcę do dostępnego dawcy.

» Przypadki pobrania bijącego jeszcze serca

Wątek europejski dopełnia obrazu i powinien rozwiać złudzenie, że to problem daleki. Parlament Europejski przyjmował rezolucje potępiające przymusowe pobieranie organów w Chinach w 2013, 2022 i ponownie w 2024 roku, wzywając państwa członkowskie do działań przeciwko turystyce transplantacyjnej obywateli do Chin. Rezolucje to jednak słowa. Tymczasem, jak ujawniono w interpelacji w Parlamencie Europejskim z 2024 roku, Unia finansowała program szkoleniowy w dziedzinie transplantacji „New Horizon", którego honorowym gościem był chiński chirurg transplantolog oskarżany o udział w pobieraniu organów. Innymi słowy, unijne pieniądze mogły wspierać dokładnie ten proceder, który ta sama Unia potępiała w rezolucjach. Organizacje praw człowieka, na czele z międzynarodową koalicją na rzecz zakończenia nadużyć transplantacyjnych w Chinach (ETAC), ostrzegały w maju 2024 roku, że dalsze wsparcie Unii dla chińskich ośrodków transplantacyjnych czyni europejskie instytucje i specjalistów współwinnymi. To ta sama współwina, którą Jekielek opisuje w odniesieniu do Ameryki, tyle że z brukselskim adresem zwrotnym.

Dla polskiego czytelnika płynie z tego wniosek, który wykracza poza samą zgrozę. Polska zna z autopsji cenę traktowania komunistycznego reżimu jako normalnego partnera handlowego i wie, czym kończy się złudzenie, że gospodarcze zaangażowanie złagodzi naturę systemu opartego na pogardzie dla jednostki. Książka Jekielka jest świadectwem zbrodni, a zarazem ostrzeżeniem przed pewnym sposobem myślenia – tym samym, który każe rozbić kilka jajek dla wyższego dobra. Sam Xi Jinping porównał ludzkie talenty do „ropy w ziemi", którą trzeba wydobyć, oczyścić i spalić dla potęgi państwa. Reżim, który tak mówi o ludziach, stosuje tę samą logikę wobec ludzkiego ciała. Człowiek jest surowcem. Zużywa się go i odrzuca.

Polska prawica ma w tej sprawie szczególny mandat moralny. Wyrosła z oporu wobec totalitaryzmu i nosi w sobie nieufność wobec centralnego planowania, które każe poświęcać jednostkę dla abstrakcyjnego celu. Naród, który przeżył sowiecką inżynierię społeczną, rozpoznaje jej chiński wariant szybciej niż zachodnie elity, dla których komunizm pozostaje abstrakcją z podręcznika. Jekielek przypomina, że dehumanizująca retoryka partii wobec Falun Gong i Ujgurów poprzedzała masowe internowania, a podobny język pojawia się dziś wobec chińskich chrześcijan. Mechanizm jest zawsze ten sam, zmieniają się tylko ofiary i nie trzeba go przyjmować na wiarę; jest udokumentowany.

Najtwardszy dowód nie pochodzi od świadków, lecz z medycznej literatury samych Chińczyków. W 2022 roku „American Journal of Transplantation", czołowe pismo branżowe, opublikowało analizę 2838 chińskich artykułów naukowych, w której wykazano, że w co najmniej 71 przypadkach śmierci mózgowej dawcy nie można było jej prawidłowo stwierdzić; to znaczy, że przyczyną śmierci stało się samo pobranie bijącego jeszcze serca. Chirurg był egzekutorem. To ustalenie recenzowane, a nie relacja z drugiej ręki. „Killed to Order" jest dla polskiego czytelnika idealnym wejściem w temat właśnie dlatego, że nie wymaga przyjmowania niczego na wiarę: każdy z faktów da się sprawdzić, a sprawa doktora Chena pokazuje, że proceder trwa, dotyczy demokracji i nie skończył się wraz z deklaracjami Pekinu z 2015 roku o rzekomym zaprzestaniu pobierania organów od więźniów. Raz poznanej prawdy nie da się już wymazać z pamięci. Pozostaje pytanie, czy Zachód, a wraz z nim Europa, zechce wreszcie wyciągnąć głowę z piasku. ■

eprasa.pl f114f6759d

opracował **Antoni Rybczyński**

Oś Moskwa–Pekin coraz mocniejsza. Czy Rosja jest już wasalem Chin?

W maju Władimir Putin złożył wizytę państwową w ChRL. Pretekstem do podróży była rocznica podpisania Traktatu o dobrosąsiedztwie i przyjaznej współpracy z 2001 roku, który przedłużono o kolejne pięć lat. Szczyt w Pekinie potwierdził, że sojusz rosyjsko-chiński ma się doskonale. Zwłaszcza dla Pekinu – choć najwyraźniej Moskwie to szczególnie nie przeszkadza. Co jest złą wiadomością przede wszystkim dla USA, gdzie wciąż niektórzy łudzą się, że możliwe jest wbicie klina między dwóch wielkich eurazjatyckich sąsiadów.

eprasa.pl f114f6759d

W dniach 19–20 maja prezydent Rosji Władimir Putin złożył kolejną oficjalną wizytę w Pekinie. Dzień wcześniej dziennikarze próbowali policzyć, ile spotkań odbyło się między przywódcą Kremla a kolejnymi przywódcami ChRL, których było kilku w ciągu tych 25 lat, odkąd Putin sprawuje władzę w Rosji. W 2001 roku Putin, który wówczas dopiero objął władzę, podpisał z Jiang Zeminem umowę o współpracy, przyjaźni i dobrym sąsiedztwie między Federacją Rosyjską a Chińską Republiką Ludową. 25. rocznicę właśnie tej umowy prezydent Rosji świętował już wraz z Xi Jinpingiem. W tym czasie odbyło się ponad 40 spotkań Putina z przywódcami ChRL, a samych wizyt w Pekinie – 25, czyli więcej niż w przypadku jakiegokolwiek innego przywódcy (Serhij Korsunski, „Chińska »przyjaźń« dla Kremla: wiele rytuałów, mało rezultatów", „Dzerkało tyżnia", 20 maja 2026). Mimo nadzwyczajnej oprawy medialnej wizyta miała rutynowy charakter i nie wniosła nic nowego do stosunków między stronami. Od wielu lat mają one znamiona de facto sojuszu, nastawionego na fundamentalną rewizję ładu międzynarodowego oraz zastąpienie porządku ukształtowanego po zakończeniu zimnej wojny porządkiem skupionym wokół Chin i wspierającej je Rosji. Wizyta jest też sygnałem, że partnerstwo ChRL i FR pozostaje jednym z filarów polityki zagranicznej obu państw, a próby jego rozluźnienia są skazane na niepowodzenie. Pekin i Moskwa wzmacniają też w ten sposób swoją pozycję wobec USA (Michał Bogusz, Witold Rodkiewicz, „Kurs bez zmian. Chińsko-rosyjski szczyt w Pekinie", OSW, 21 maja 2026).

» Asymetryczna oś Rosja–ChRL

Wizyta Putina w Pekinie, zaplanowana w odpowiednim momencie tuż po podróży prezydenta Trumpa na spotkanie z Xi Jinpingiem, nie pozostawiła wątpliwości co do stanu stosunków rosyjsko-chińskich. Rosja znajduje się w strukturalnej pułapce jako mniej znaczący partner o malejącej wartości. Niepowodzenie w osiągnięciu porozumienia w sprawie projektu Siła Syberii-2 było symbolem szerszego problemu Moskwy: nawet w obliczu zbliżającego się szoku energetycznego bez historycznego precedensu Chiny mają inne opcje. Rosyjscy decydenci, desperacko poszukujący wpływów w walutach obcych, dochodów podatkowych i przychodów przedsiębiorstw, aby uniknąć większych wzrostów cen krajowych, takich możliwości nie mają (Nicholas Trickett, „Z przyjaciółmi takimi, jak ci", Riddle.io, 22 maja 2026). W Pekinie omawiano również kwestie rozwoju obrotu towarowego w ujęciu ogólnym. W swoim przemówieniu wideo Putin podkreślił, że handel „nadal rośnie, już dawno przekraczając próg 200 mld dolarów", przy czym „rozliczenia między stronami odbywają się niemal w całości w rublach i juanach". Putin nie wspomniał jednak o oczywistej nierównowadze: na Chiny przypada ponad jedna trzecia całego rosyjskiego importu i ponad jedna czwarta rosyjskiego eksportu, podczas gdy zależność Chin od Rosji wynosi zaledwie około 5 proc. importu i 3 proc. eksportu (Nikołaj Perszin, „Przywrócenie równowagi", „Nowaja Gazeta Ewropa", 20 maja 2026).

» Niedźwiedź zależny od smoka

Jednak dwie kluczowe kwestie zasługują na podkreślenie. Pierwsza dotyczy charakteru zależności Rosji od Chin. Dyskusje na ten temat zazwyczaj skupiają się na fakcie, że ChRL już dawno i trwale zastąpiła Europę jako główny nabywca rosyjskich

eprasa.pl f114f6759d

surowców. Nie ulega to wątpliwości. W 2025 roku 42,3 proc. eksportowanej przez Rosję ropy naftowej, 33,7 proc. gazu przesyłanego rurociągami, 31,3 proc. LNG, 41,2 proc. węgla energetycznego, 60,2 proc. tarcicy oraz prawie 22 proc. produktów rolnych trafiło do Chin. Udział Pekinu w całkowitym rosyjskim eksporcie osiągnął 29,8 proc. – poziom zbliżony do tego odnotowanego dla UE w latach 2003–2005. Znacznie ważniejsze jest to, że szeroko dyskutowane „wasalstwo gospodarcze" Rosji kształtuje się nie wokół zależności eksportowej, ale wokół zależności importowej. W 2021 roku Chiny dostarczyły 22,3 proc. importowanych przez Rosję towarów, podczas gdy UE, Wielka Brytania i Szwajcaria łącznie stanowiły ponad 34,2 proc. (różnica była jeszcze większa w 2013 r.: 16,9 proc. w porównaniu z 42,6 proc.). Pod koniec 2025 roku sytuacja uległa odwróceniu: udział Chin wyniósł 37 proc., podczas gdy udział Europejczyków wyniósł 12,7 proc. Co ważniejsze, Chiny stały się jedynym i niezastąpionym dostawcą towarów zaawansowanych technologicznie (Władisław Inozemcew, „Polityka zwrotu na Wschód zakończyła się sukcesem. Są jednak pewne niuanse", Riddle.io, 26 maja 2026).

Obie strony stworzyły unikalny system płatności, który pozwala na transakcje „lustrzane", w których środki nigdy nie przekraczają granic, a przepływy eksportowo-importowe stają się praktycznie niemożliwe do śledzenia. Pekin wykazał gotowość do fałszowania klasyfikacji produktów w swoich statystykach, skutecznie ignorując kontrabandowy charakter znacznej części handlu dwustronnego. Takie ustalenia sprawiają, że zależność Rosji od Chin jest wyjątkowo trwała. Jakiekolwiek poważne pogorszenie stosunków postawiłoby Moskwę w obliczu perspektywy całkowitego załamania technologicznego. Krótko mówiąc, Chiny pomagają Moskwie przetrwać, a nie się rozwijać. Ta rzeczywistość tylko potęguje wpływ Pekinu na Kreml. Co znamienne, udział surowców w rosyjskim eksporcie do Chin jest dziś nawet wyższy niż w eksporcie do UE w 2021 roku. Moskwa cieszy się zatem stosunkowo wysokim stopniem autonomii politycznej względem Pekinu – strona chińska nie dyktuje Rosji agendy zagranicznej ani wewnętrznej – pozostając jednocześnie w pełni świadoma swojej głębokiej zależności gospodarczej i technologicznej. Pekin ze swojej strony wspiera Rosję, ponieważ obecny układ mu odpowiada, podobnie jak każdy prawdopodobny wynik wojny rozpoczętej przez Kreml. Chociaż Pekin zachowuje formalną neutralność w konflikcie rosyjsko-ukraińskim, to jednak zdobywa cenne dane z pola walki, skrupulatnie analizując działania sił rosyjskich. Jest to szczególnie przydatne, ponieważ chińskie siły zbrojne przez dziesięciolecia budowano na wzór radziecki; analiza słabości Rosji pomaga im w modernizacji własnych sił zbrojnych. Pekin bacznie obserwuje również reakcje Zachodu na rosyjską agresję, mając na celu „przymierzenie ich na siebie" (W. Inozemcew, „Polityka zwrotu na Wschód zakończyła się sukcesem…").

» „Odwrócony Kissinger"? Bez szans

Rosyjski „zwrot na Wschód" rozpoczął się na długo przed inwazją na pełną skalę na Ukrainę. Od samego początku Moskwa postrzegała go jako strategiczny sygnał skierowany do Zachodu: Kreml miał alternatywę dla partnerstwa z rozwiniętymi demokracjami. Nie jest przypadkiem, że punktem

eprasa.pl f114f6759d

zwrotnym w stosunkach z Chinami był rok 2005. Wówczas Rosja przekazała Chińskiej Republice Ludowej niewielkie obszary na Dalekim Wschodzie, kończąc tym samym proces wytyczania granic; przeprowadziła pierwsze wspólne ćwiczenia wojskowe z Pekinem; a także dołączyła do Chin, domagając się od Stanów Zjednoczonych wycofania baz wojskowych z Azji Środkowej. Do tego czasu Moskwa popadła już w konflikt nie tylko z Waszyngtonem po amerykańskiej inwazji na Irak, lecz także ze swoimi europejskimi partnerami w następstwie tzw. pomarańczowej rewolucji na Ukrainie. Partnerstwo to okazało się niezwykle odporne. Przetrwało liczne napięcia, a wojna Rosji przeciwko Ukrainie, jeśli już, to tylko je wzmocniła – pozbawiając Moskwę praktycznie wszystkich jej dawnych partnerów. Dzisiaj można z całą pewnością stwierdzić, że pod względem gospodarczym „zwrot na Wschód" został zrealizowany. Rosja przestała być surowcowym przydatkiem Europy i konsumentem jej wyrobów przemysłowych, a zamiast tego stała się surowcowym przydatkiem Chin i importerem ich produktów zaawansowanych technologicznie. Ta transformacja nie jest perspektywiczna, już się dokonała. (W. Inozemcew, Polityka zwrotu na Wschód zakończyła się sukcesem…").

Rosnące zbliżenie między Chinami a Rosją należy do najbardziej znaczących wydarzeń geopolitycznych ostatniej dekady.

Rosnące zbliżenie między Chinami a Rosją należy do najbardziej znaczących wydarzeń geopolitycznych ostatniej dekady. Chociaż te dwa mocarstwa różnią się od siebie, to pod każdym względem – gospodarczym, wojskowym, politycznym i retorycznym – ogólny kierunek zmierza raczej ku zbliżeniu niż oddaleniu. Jest to partnerstwo nierówne, biorąc pod uwagę, że gospodarka Chin jest prawie dziewięciokrotnie większa od rosyjskiej i znacznie bardziej zróżnicowana. Xi dąży do przekształcenia porządku międzynarodowego na korzyść Chin; Putin chce go zburzyć. Wyniki głosowań obu krajów w ONZ nie są idealnie zbieżne. Chiny stopniowo wypierają Rosję z Azji Środkowej. Chińscy szpiedzy aktywnie próbują wykraść rosyjskie tajemnice wojskowe, a rosyjskie służby bezpieczeństwa prywatnie nazywają Chińczyków „wrogiem". Chiny nieprzychylnie odnoszą się do rosyjskich gróźb nuklearnych. Partnerstwo, które Putin i Xi okrzyknęli jako „bez granic", ma swoje granice. Jednak takie tarcia są powszechne w wielu sojuszach i da się je opanować. Niektórzy urzędnicy wciąż fantazjują, że Stany Zjednoczone mogą przeprowadzić „odwrotną strategię Kissingera" – odciągnąć Rosję od Chin w taki sam sposób, w jaki administracja Nixona położyła podwaliny pod normalizację stosunków z Chinami, aby zrównoważyć wpływ Związku Radzieckiego. „Będę musiał je rozdzielić" – powiedział prezydent Donald Trump przed objęciem urzędu po raz drugi. Jest to nierealne. W przeciwieństwie do lat 70. nie ma obecnie podziału, który można by wykorzystać (S. Reid, „Oś Chiny–Rosja", Council on Foreign Relations, maj 2026). ■

eprasa.pl f114f6759d

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

» Korea Południowa

12 czerwca sąd w Seulu skazał byłego prezydenta Yoon Suk-yeola na dodatkowe 30 lat więzienia za zlecenie lotów dronów nad Koreą Płn. w październiku 2024 roku. Prokuratura utrzymuje, że Yoon celowo prowokował Phenian, by stworzyć pretekst do ogłoszenia stanu wojennego, do którego doszło dwa miesiące później, a jego działania szkodziły interesom wojskowym państwa. Yoon odrzuca tę interpretację. Wyrok dolicza się do dożywocia, które były prezydent otrzymał w lutym za kierowanie buntem. Yoon odwołuje się od wszystkich wyroków, nazywając je „polityczną farsą" i kwestionując bezstronność wymiaru sprawiedliwości. Jego prawnicy konsekwentnie utrzymują, że stan wojenny był środkiem przewidzianym w konstytucji, a nie zamachem stanu.

By zrozumieć, co się wydarzyło, trzeba cofnąć się do nocy 3 grudnia 2024 roku. Yoon ogłosił stan wojenny, powołując się na zagrożenie ze strony „prokomunistycznych sił antypaństwowych" w opanowanym przez lewicową opozycję parlamencie. Przez kilkanaście miesięcy poprzedzających ten krok lewicowa Partia Demokratyczna Korei (PDK) blokowała kolejne nominacje ministrów i przepychała ustawy wbrew woli prezydenta. Yoon twierdził, że Narodowa Komisja Wyborcza była infiltrowana przez Koreę Płn. i że system wyborczy jest skompromitowany. W ciągu kilku godzin posłowie przedarli się do gmachu Zgromadzenia Narodowego, obalili dekret o stanie wojennym, a siły specjalne wysłane przez Yoona nie zdecydowały się na konfrontację. Yoon został usunięty z urzędu i aresztowany. W wyborach prezydenckich w czerwcu 2025 roku zwyciężył Lee Jae-myung, lider PDK, która kontroluje dziś Zgromadzenie Narodowe aż do 2028 roku.

Konserwatywna Partia Siły Ludowej (PPP) jest dziś rozbita i zepchnięta do defensywy; dysponuje 110 miejscami w 300-osobowym parlamencie. Przed wyborami lokalnymi 3 czerwca jej przewodniczący przeprosił za stan wojenny, lecz ostrożnie: bez potępienia Yoona z imienia i bez zrywania z tą częścią elektoratu, która uważa, że grudniowy akt był odpowiedzią na realny impas konstytucyjny. Rzecznik prasowy PPP powiedział w rozmowie z konserwatywnym „The Washington Times" wprost: „Nie mamy głosów w parlamencie, potrzebujemy siły protestów społecznych". Wybory lokalne 3 czerwca przyniosły nowy powód do napięć; w pięciu miastach zabrakło kart wyborczych. PPP natychmiast zażądała przeliczenia głosów, szef Państwowej Komisji Wyborczej podał się do dymisji,

eprasa.pl f114f6759d

a setki konserwatywnych demonstrantów wyszły na ulice Seulu. Ostatecznie Partia Demokratyczna wygrała 12 z 16 wyścigów gubernatorskich i prezydentów miast, lecz przegrała Seul; urzędujący konserwatywny mer Oh Se-hoon obronił stanowisko. Część analityków odczytuje to jako sygnał, że wyborcy rozróżniają między poparciem dla Lee a zgodą na pełną dominację jednej partii nad państwem.

» Korea Północna

Na początku kwietnia Daily NK, serwis specjalizujący się w informacjach z Korei Płn. pozyskiwanych od wewnętrznych źródeł, ujawnił, że Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwowego ogłosiło wewnętrznie sukces: „Zorganizowane nabożeństwa podziemne i tajne grupy modlitewne niemal zniknęły". Reżim Kim Dzong Una chwali się skutecznością systematycznych represji wobec chrześcijan. Informację potwierdził i opisał w maju Open Doors, organizacja pozarządowa monitorująca prześladowania chrześcijan na świecie. Według zebranych przez nią danych w Korei Płn. jest od 200 tys. do 400 tys. chrześcijan działających w głębokiej konspiracji; kraj ten nieprzerwanie zajmuje pierwsze miejsce na liście World Watch List przez 24 lata z rzędu.

W Korei Płn. konsekwencje przyłapania na wierze są skrajne: posiadanie Biblii, uczestnictwo w tajnym nabożeństwie, nawet samo podejrzenie o wiarę grożą obozem pracy lub rozstrzelaniem. Reżim stosuje zasadę zbiorowej odpowiedzialności: do obozu trafia cała rodzina aresztowanego.

W maju odnotowano jednak dwa zdarzenia, które przypominają, że Kościół podziemny w Korei Płn. nie zaginął. Trzech koreańskich misjonarzy, przetrzymywanych w północnokoreańskich więzieniach od ponad dekady, ma w sierpniu otrzymać nagrodę praw człowieka im. Gracieli Fernandez Meijide – in absentia, ponieważ wciąż przebywają za kratami. Choi Chun-gil, Kim Jong-Uk i Kim Kuk-gi pomagali uciekinierom z Północy i Kościołom podziemnym w północno-wschodnich Chinach, gdy agenci Phenianu ich porwali i przerzucili przez granicę. Trwała też, od 5 do 25 czerwca, zainicjowana przez 48 kościołów z Korei Płd. akcja dni modlitwy za uwięzionych misjonarzy i za wierzących ukrywających się po drugiej stronie granicy.

» Filipiny

12 czerwca chińskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych ogłosiło nałożenie sankcji na filipińskiego ministra obrony Gilberta Teodoro oraz jego rodzinę. Zakaz wjazdu do Chin, włącznie z Hongkongiem i Makau, oraz zakaz jakichkolwiek transakcji z podmiotami w ChRL. Bezpośrednim powodem były słowa Teodoro, który nazwał roszczenia Pekinu na Morzu Południowochińskim „największą fikcją i kłamstwem" i oskarżył Xi Jinpinga osobiście o agresywną i bezprawną politykę w regionie. Tydzień wcześniej na szczycie Shangri-La Dialogue, corocznej konferencji bezpieczeństwa w Singapurze, uznawanej za najważniejsze forum obronne regionu, powiedział publicznie, że chińska delegacja, złożona wyłącznie z przedstawicieli uczelni wojskowej, bez ministra obrony, jest „wartością bliską zeru".

Mechanizm działań Pekinu w tym przypadku jest klasyczny: sankcje personalne, a następnie sugestia, że krytyka „utrudnia pomoc" – groźba gospodarcza opakowana w język troski. Identycznie Pekin postąpił wobec Litwy w 2021 roku po otwarciu tajwańskiego biura przedstawicielskiego: zaczęło się od osób, a skończyło się na blokowaniu eksportu. Manila nie przeprosiła, Teodoro słów nie cofnął. Filipiny trzymają się twardo, opierając się na parasolu militarnym Stanów Zjednoczonych i nowych porozumieniach obronnych z Japonią. Przypadek ten pokazuje, że sankcje personalne tracą skuteczność, gdy państwo ma wystarczająco silnych sojuszników. ■

eprasa.pl f114f6759d

Antoni Rybczyński

Krym jak odcięta od Rosji wyspa

eprasa.pl f114f6759d

Okupowany przez Rosję od 2014 roku Krym pogrąża się w coraz głębszym kryzysie. Na półwyspie wprowadzono harmonogramy przerw w dostawach energii elektrycznej, a paliwo oficjalnie nie jest już sprzedawane ludności. Z turystów pozostali tylko ci najbardziej zdesperowani, biznesy masowo upadają, a ceny nieruchomości lecą na łeb na szyję.

Do niedawna dość spokojną codzienność mieszkańców Krymu zakłócały jedynie sporadyczne alarmy lotnicze w Sewastopolu, bazie Floty Czarnomorskiej. Jednak w czerwcu życie na półwyspie zmieniło się diametralnie – na skutek ataków ukraińskich na infrastrukturę. Tak oto wojna zawitała do regionu, który od czasów sowieckich uchodzi za jeden z najpopularniejszych wśród turystów z całej Rosji.

» Kryzys paliwowy na Krymie

Nikt nie chce wpaść w pułapkę z powodu problemów z paliwem. Zresztą, problemy to mało powiedziane. Na Krymie jest już potężny kryzys z zaopatrzeniem w paliwo. Ataki ukraińskich dronów na rafinerie sprawiły, że deficyt odczuwa cała Rosja, ale to właśnie na Krymie jest on szczególnie odczuwalny – bo Ukraińcy zaczęli skutecznie paraliżować transport między półwyspem a Rosją. Wcześniej paliwo na Krymie można było kupić za bony lub kody QR w Sewastopolu. Ale 21 czerwca „przywódca" Republiki Krymu Siergiej Aksjonow, a za nim „gubernator" Sewastopola Michaił Razwożajew oświadczyli, że wstrzymano swobodną sprzedaż paliwa. Zgodnie z rozporządzeniem władz benzyna i olej napędowy są obecnie wydawane wyłącznie służbom zapewniającym bezpieczeństwo oraz funkcjonowanie infrastruktury o kluczowym znaczeniu. Ograniczenia odbiły się również na transporcie. Turystów ostrzeżono o możliwych opóźnieniach autobusów międzymiastowych z powodu kolejek na stacjach benzynowych. Niektóre kurorty, na przykład Teodozja, Jałta i Eupatoria, nakazały hotelom i sanatoriom zapewnienie turystom benzyny na wyjazd z wyspy. Tyle że jest to fizycznie niemożliwe. Paliwa ledwo wystarcza na zapewnienie funkcjonowania służb komunalnych i pogotowia ratunkowego. Jeśli prywatna osoba może gdzieś na czarnym rynku coś kupić, to hotel lub sanatorium – jako osoba prawna – potrzebuje dużych ilości paliwa, ale nikt mu go nie sprzedaje. Paliwo na półwyspie zresztą znacznie podrożało. Na przykład 15 czerwca kosztowało średnio 102 ruble, podczas gdy w Rosji 69 rubli.

Tymczasem z powodu braku regularnych połączeń lotniczych transport samochodowy jest głównym sposobem dotarcia na Krym. Według szacunków regionalnego ministerstwa kurortów i turystyki w 2025 roku z autobusów i samochodów prywatnych korzystało 76 proc. gości półwyspu, a pozostałe 24 proc. docierało pociągami. Tymczasem pociągi pasażerskie przestały kursować na północy Krymu. Po atakach ukraińskich wyłączono stację Dżankoj. Na pewnych odcinkach pasażerów przesadza się do autobusów. Efekt? Podróż z Sewastopola do Kerczu trwa teraz około siedmiu godzin. Znacznie pogorszyło się też funkcjonowanie podmiejskiej komunikacji kolejowej – mieszkańcy Krymu skarżą się na dwugodzinne opóźnienia. Jedyną obecnie możliwością dostania się

ILUSTRACJA MARIUSZ TROLIŃSKI AI

eprasa.pl f114f6759d

z Rosji na półwysep jest przejazd Mostem Kerczeńskim. Kiedy w 2018 roku władze go otworzyły, Kreml przedstawiał to Rosjanom i mieszkańcom Krymu jako symbol ustanowienia wiecznej kontroli Federacji Rosyjskiej nad półwyspem. Co dzieje się z mostem dzisiaj? Transport wojskowy przez most praktycznie nie odbywa się, nie jeżdżą po nim ciężarówki, a nawet pociągi z paliwem nie przejeżdżają. Ponadto most jest blokowany na wiele godzin z powodu alarmów. W przeszłości był już kilka razy celem potężnych ataków Ukrainy. Od początku czerwca na moście odnotowuje się niemal stały, wielokilometrowy korek w kierunku Kubania – na rosyjski brzeg. W ciągu dnia regularnie stoi tam ponad 750 samochodów. Na przykład 22 czerwca o godz. 10 czasu moskiewskiego zgromadziło się tam prawie 800 samochodów po obu stronach, oczekujących na ręczną kontrolę. A o godz. 15, pomimo tymczasowego otwarcia mostu w ciągu dnia, korek liczył prawie tysiąc samochodów.

» Stan wyjątkowy, turyści rezygnują

Fatalną sytuację pogłębiają coraz większe problemy z zaopatrzeniem półwyspu w energię elektryczną. Rano 21 czerwca władze wprowadziły rotacyjne przerwy w dostawach prądu w celu naprawy obiektów elektroenergetycznych. Lokalne sieci energetyczne też zostały uszkodzone w atakach Ukraińców. 23 czerwca Krymenergo ogłosiło przerwy w dostawach prądu z powodu awarii technicznych. Problemy dotknęły również popularne wśród turystów kurorty, w tym Eupatorię, Saki i Dżankoj. Dzień później, po zmasowanym ataku dronów na Sewastopol, prądu nie było w całym mieście. Przerwy w dostawach prądu negatywnie wpływają zarówno na lokalnych mieszkańców, jak i na turystów. Tym bardziej że sytuacja ta nakłada się na kryzys paliwowy. Niektóre pensjonaty i hotele mają generatory, podobnie jak wielu mieszkańców. Tyle że działają one na benzynę, a tej… brak. Są więc bezużyteczne.

Nie można więc się dziwić, że 26 czerwca na Krymie i w Sewastopolu wprowadzono stan wyjątkowy. Aksjonow oświadczył, że jest to konieczne do operacyjnego rozwiązywania zadań związanych z zapewnieniem ludności środków do życia. Stan wyjątkowy będzie obowiązywał do czasu poprawy sytuacji. W okresie jego obowiązywania władze mają prawo ograniczać przemieszczanie się obywateli, zawieszać działalność przedsiębiorstw oraz przeprowadzać przymusową ewakuację. Cztery dni wcześniej Aksjonow swoim dekretem odwołał wypoczynek w letnich obozach dla dzieci na półwyspie, ogłaszając zawieszenie rezerwacji i przyjmowania grup do 1 września. Wobec kryzysu z paliwem niektórzy mieszkańcy Krymu przestawili się na rowery elektryczne, hulajnogi i skutery, ale od połowy czerwca na Krymie wprowadzono zakaz jazdy na motocyklach i skuterach od godz. 22 do 6 rano. Tym, którzy się nie dostosują, konfiskuje się dwukołowy pojazd, podczas jazdy którym zostali złapani. Szef regionu Siergiej Aksjonow wprowadził ten zakaz w celu „zapewnienia bezpieczeństwa publicznego" oraz ochrony obiektów strategicznych. Faktyczny powód? Według władzy niektórzy mieszkańcy Krymu rzekomo dorabiają, jeżdżąc na motocyklach podczas ataków powietrznych Ukrainy, co powoduje nadmierny hałas i utrudnia rozpoznawanie dronów.

Ograniczenia w sprzedaży paliwa, przerwy w dostawach prądu i wody, zawieszenie przyjmowania dzieci na obozy letnie, a przede wszystkim ciągłe zagrożenie powietrznymi atakami Ukrainy – wszystko to budzi

eprasa.pl f114f6759d

wątpliwości wśród turystów, którzy już zarezerwowali wyjazdy lub są w trakcie podejmowania decyzji. Turyści rezygnują z już opłaconych wyjazdów na Krym, a w ostatnich dniach anulują nawet rezerwacje na sierpień i wrzesień. W okresie od 24 maja do 6 czerwca 2026 roku liczba rezerwacji hotelowych w kurortach republiki spadła o 31 proc. w ujęciu rok do roku, a w Sewastopolu o 40 proc. Jednocześnie w całej Rosji wskaźnik ten utrzymał się na poziomie z ubiegłego roku. W rezultacie Krym wypadł z grona najpopularniejszych kierunków turystycznych w kraju – obecnie stanowi zaledwie 1,5 proc. sprzedaży. Turyści masowo rezygnują z podróży, a dla wielu mieszkańców jest to główne źródło dochodu. Oficjalnie liczba rezerwacji spadła o 58 proc. w porównaniu z rokiem 2025. Miejscowi mówią: jest znacznie gorzej, z naszego odczucia spadek wynosi 80–90 proc.

» Mieszkańcy Krymu odczuli wojnę

Przyjeżdżają nieliczni – ci, którzy nie wierzą w wiadomości, albo zagorzali miłośnicy półwyspu. W połowie czerwca na nabrzeżu w Sudaku zawsze jest mnóstwo turystów. Rok temu trzeba było się dosłownie przeciskać między nimi, zwłaszcza w pobliżu stoisk z czeburekami i piwem. Teraz jest tu pusto. W wyniku kryzysu półwysep może stracić nawet 3–4 mln turystów. Co więcej, nie dość, że turyści nie chcą ryzykować wyprawy na Krym, to także jego mieszkańcy zaczynają uciekać z półwyspu. Zwłaszcza ci z Rosji, którzy kupowali tu masowo mieszkania i apartamenty po aneksji regionu. Władze informują, że popyt na zakup mieszkań na Krymie znacznie spadł, a liczba niesprzedanych mieszkań wzrosła o 9 proc. W Sewastopolu obserwuje się załamanie na rynku nieruchomości. Podaż obecnie wielokrotnie przewyższa popyt, co prowadzi do znacznego spadku cen. W ostatnich miesiącach Sewastopol codziennie narażony jest na ataki powietrzne i morskie ze strony Sił Zbrojnych Ukrainy. Syreny alarmujące o zagrożeniu powietrznym stały się tu codziennością. Wielu mieszkańców Sewastopola opuszcza miasto, wielu na stałe, wystawiając swoje mieszkania na sprzedaż. Jednocześnie spada liczba osób chcących nabyć nieruchomość, dlatego część sprzedających mieszkania z rynku wtórnego oferuje rabaty sięgające nawet 40 proc., byle tylko szybciej je sprzedać. Na rynku mieszkań nowych sprzedaż spadła o 30 proc.

> Skoro Ukraina nie ma sił, by zbrojnie odbić Krym, to ogłosiła jego „izolację" od Rosji i rozpoczęła ataki na infrastrukturę logistyczną, a także na obiekty wojskowe i energetyczne na półwyspie.

Kryzys paliwowy na Krymie zaczął odbijać się na lokalnym rynku pracy: mieszkańcy półwyspu donoszą o zwolnieniach i wysyłaniu pracowników na bezpłatne urlopy. Pracodawcy opóźniają wypłatę wynagrodzeń i proponują złożenie oświadczeń o odejściu z pracy z własnej woli. Z kolei lokalni przedsiębiorcy informują o przymusowym przestoju oraz braku środków na spłatę zobowiązań wobec pracowników i urzędu skarbowego. Mieszkańcy piszą w mediach społecznościowych o zwolnieniach, gwałtownym spadku dochodów, zamykaniu przedsiębiorstw, niemożności

eprasa.pl f114f6759d

spłacania kredytów hipotecznych i pożyczek, a także proszą władze o wprowadzenie ulg podatkowych dla przedsiębiorców. Przedsiębiorcy indywidualni zajmujący się naprawą i serwisowaniem samochodów poinformowali, że z powodu niedoboru paliwa prawie nie ma już klientów. Ponadto lokalni mieszkańcy zaczęli informować o zakłóceniach w dostawach produktów spożywczych oraz o wprowadzeniu ograniczeń w ich sprzedaży. W szczególności w niektórych supermarketach klienci mogą kupić nie więcej niż trzy butelki oleju roślinnego i trzy opakowania makaronu na osobę. Na lokalnych kanałach Telegramu ludzie skarżyli się, że ze sklepów zniknęły cukier, kasza gryczana, ryż, mąka i sól. Wykupywane są wszystkie produkty o długim terminie przydatności do spożycia. W sklepach w Sewastopolu nie ma cukru.

» Zabójcza strategia Ukraińców

Wszystkie wspomniane problemy półwyspu wynikają z sukcesów strategii przyjętej przez Kijów. Skoro Ukraina nie ma sił, by zbrojnie odbić Krym, to ogłosiła jego „izolację" od Rosji i rozpoczęła ataki na infrastrukturę logistyczną, a także na obiekty wojskowe i energetyczne na półwyspie. Siły ukraińskie zintensyfikowały uderzenia na połączenia drogowe i kolejowe z okupowanym Krymem oraz infrastrukturę krytyczną na tym półwyspie. Celem stały się most drogowy nad Cieśniną Geniczeską, mosty kolejowe nad Sywaszem w rejonie Czonharu i nad Kanałem Północnokrymskim. Atakowane są także mosty kolejowe pomiędzy główną częścią Krymu a Półwyspem Kerczeńskim, infrastruktura w rejonie Kerczu, m.in. przeprawa promowa oraz terminal naftowy. Atakowana jest również infrastruktura energetyczna, m.in. Tawrijska Elektrownia Cieplna, co spowodowało przerwy w dostawie prądu. Jak wspomniano, 24 czerwca w wyniku nocnego zmasowanego ataku dronów na infrastrukturę energetyczną Sewastopol został całkowicie pozbawiony dostaw energii elektrycznej. Głównym celem była Bałakławska Elektrownia w Sewastopolu, jedna z kluczowych na Krymie.

Częściowa blokada Krymu stała się możliwa po tym, jak Ukraina swoimi nowymi dronami – klasyfikowanymi jako „middle strike", ponieważ uderzają z dość dużych odległości – zaczęła zadawać ciosy rosyjskiej logistyce w głębi okupowanych terytoriów, przede wszystkim na trasie M-14. Autostrada M-14, którą po zajęciu południowej części obwodów chersońskiego i zaporoskiego w Rosji zaczęto nazywać autostradą „Noworosja", stała się w pewnym momencie główną trasą zaopatrzenia Krymu w paliwo. Stało się to po wysadzeniu Mostu Krymskiego. Od stycznia 2026 roku zakazano przejazdu po odbudowanym moście ciężarówkom i cysternom z paliwem, kierując je na półwysep przez tzw. lądowy korytarz na Krym – przez tereny Ukrainy okupowane od początku wojny, przez Mariupol i Melitopol. Być może znacznie poważniejszym zagrożeniem dla logistyki rosyjskiej są ataki na mosty. Chociaż przesmyk łączący Krym z obwodem chersońskim uznaje się za lądowy, znajduje się na nim co najmniej jeden most – nad Cieśniną Czonharską. Istnieje jeszcze jedna droga na Krym, prowadząca przez ten sam przesmyk, ale około 40 kilometrów dalej na zachód. W tym miejscu na półwysep prowadzą dwie drogi. Jednak ze względu na to, że znajdują się one bliżej linii frontu, jazda nimi jest bardziej niebezpieczna.

Minister obrony Ukrainy Mychajło Fedorow oświadczył w połowie czerwca, że w najbliższym czasie okupowany przez Rosję Półwysep Krymski zostanie odcięty od świata z powodu uderzeń dronów. Trzeba mu przyznać, że nie rzuca słów na wiatr… ■

eprasa.pl f114f6759d

Tomasz Sakiewicz

Z czego bierze się poczucie bezkarności władzy

Afera pedofilsko-zoofilska w Kłocku z udziałem działaczki Platformy Obywatelskiej (mogło być zamieszanych więcej osób) wydawała się na tyle przerażająca i ohydna, że mogliśmy sądzić, iż nic gorszego już się nie stanie. Trudno porównywać ją z aferą Szpitala Południowego, ale ta przeraża jeszcze bardziej. Nie dość, że niemający ku temu żadnych kompetencji młokos dostał stanowiska, które pozwoliły mu wyciągnąć miliony złotych, stworzył nielegalny salonik VIP ze ścieżką do szybszego przyjmowania uprzywilejowanych osób z obozu rządzącego, w szpitalu mogło dojść do śmierci pacjentów w wyniku dopuszczenia do skomplikowanych procedur medycznych osób nieuprawnionych, to jeszcze urządzono tam biznes na ciałach zmarłych, profanując zwłoki i poniżając rodziny ofiar tego biznesu. Nie wiem, jakie inne fakty zostaną ujawnione, ale to, co już teraz wiemy, wystarczy, by odebrało dech i wzbudziło obrzydzenie.

Skąd to poczucie bezkarności osób zamieszanych w te afery? Z definicji sprawowania władzy. Definicję tę stworzył sam Donald Tusk – że prawo jest „takie, jak my je rozumiemy". To oznaczało, że dopóki jesteś blisko decydentów, definiujesz, jak stosować prawo, a nawet czy je w ogóle stosować. To odwraca porządek cywilizowanego państwa, państwa demokratycznego. Prawo musi być zobiektywizowane wobec wszystkich, czyli każdy uczestnik systemu podlega tym samym regułom. Jeśli ktoś może się z niego wyłamać, to za chwilę powstała dziura stanie się rosnącym wyłomem. Na początku swoich rządów obecna władza twierdziła, że musi łamać prawo, żeby naprawić bezprawie poprzedników. To już samo w sobie wyglądało na kwadraturę koła. I szybko dało kolejne konsekwencje. Nie minęło kilka tygodni, jak władza postanowiła, łamiąc prawo, gnębić przeciwników politycznych. Do tych, jak się okazało, zaliczono też przypadkowe ofiary, które mogły pomóc w złożeniu niekorzystnych zeznań dla ściganych. Szybko zaczęto tuszować własne przestępstwa, nawet te noszące charakter kryminalny. Uzasadniano to tym, że poprzednio nie działał system sprawiedliwości, więc nie wiadomo, jak było naprawdę. Ten drugi etap to już wstęp do tego, co się wydarzyło. Skoro jedni przedstawiciele obozu władzy mogą być bezkarni, to dlaczego inni mają być karani? W końcu „cały system został opanowany przez poprzedników" i każda sprawa przeciwko rządzącym w ten sposób jest do podważenia. Wysyłanie takich sygnałów bardzo ułatwiło tworzenie systemów paramafijnych. Zapewniono poczucie bezkarności każdemu, kto związał się z władzą. Najchętniej korzystają z tego ludzie o patologicznych skłonnościach. Niezatrzymane na czas patologie powiększają się i są zaraźliwe. Sprawa Kłodzka czy Szpitala Południowego to tylko skutek przyjętej przez Tuska filozofii sprawowania władzy. ■

eprasa.pl f114f6759d

InPost | GAZETA POLSKA | NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA NOWE PAŃSTWO

Prenumerata Elektroniczna za **1 zł***

NOWOŚĆ!

Gazeta Polska i Nowe Państwo – teraz do odbioru przez Twój Paczkomat® InPost

Dostawa co środę / Bez kolejki / Bez kompromisów

ZESKANUJ

Zamów już teraz!

prenumerata.swsmedia.pl/inpost

*Kupując roczną prenumeratę Gazety Polskiej lub Nowego Państwa, otrzymasz dostęp do wersji elektronicznej za jedyne 1 zł – na cały okres prenumeraty.

eprasa.pl f114f6759d